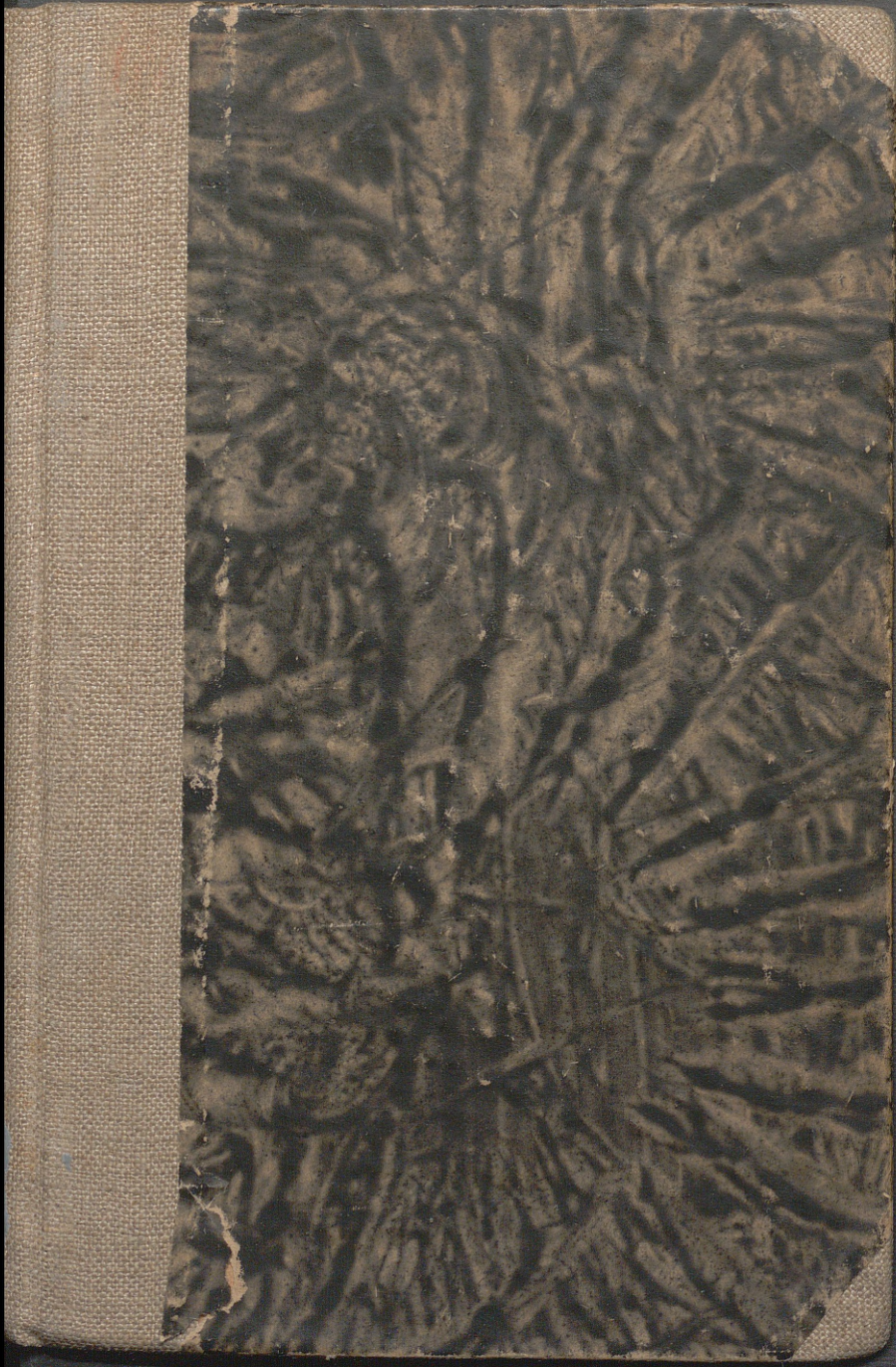
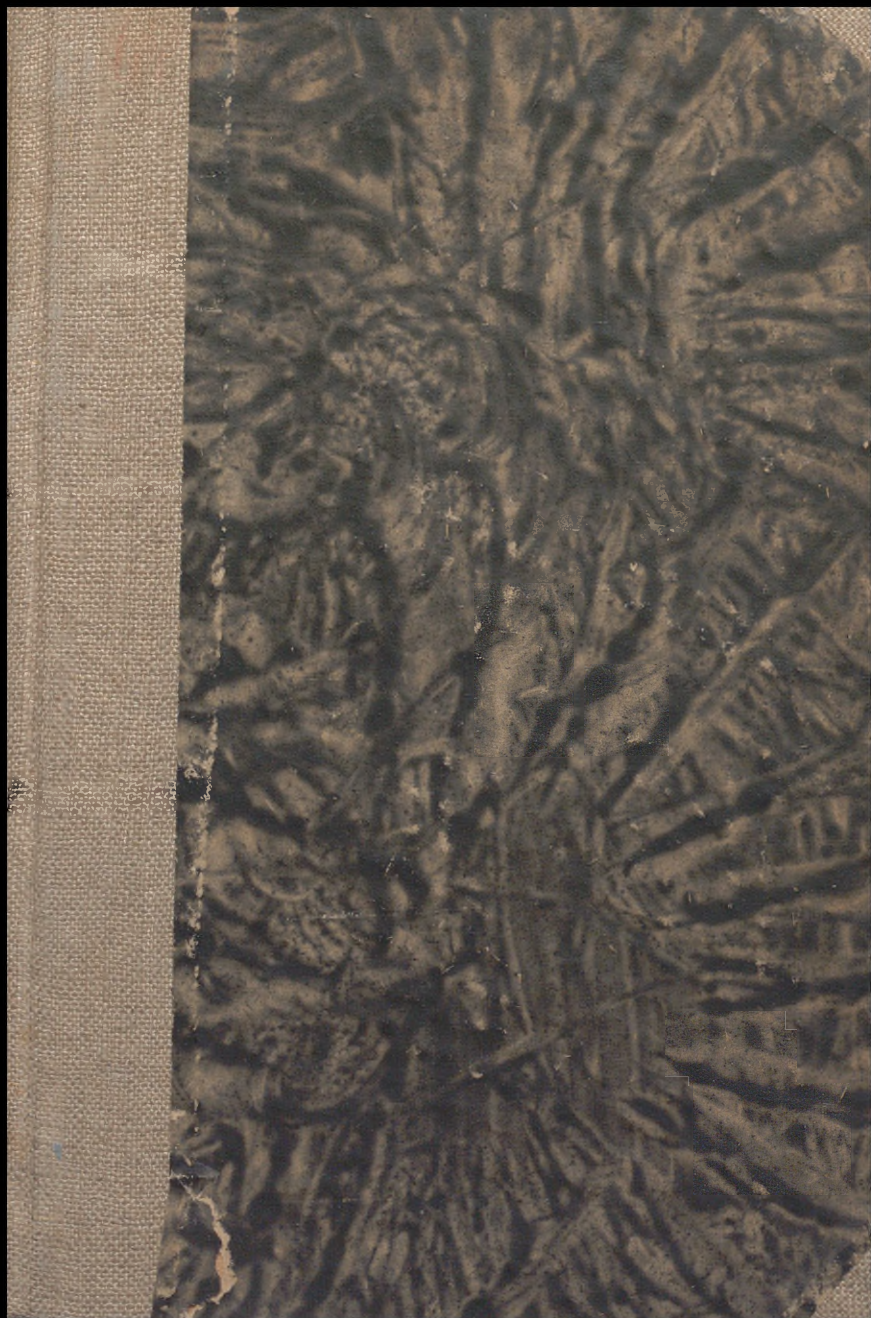


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





1329
2649

Pamiętniki hr. de Ségur

Adjutanta Cesarza Napoleona I.

Przełożyła z francuskiego E. LESZCZYŃSKA.

Część I.

WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.

840-3. 92. 8/09.

6124/1



BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit. - Wych.

l. inw. ~~1925~~ 6976

1529

BIBLIOTEKA

Wyższe Szkoły Polit. - Wych.

Słowo wstępne.

Przez wicehrabiego E. M. de Vogüé.

Rankiem, 18-go Brumaire'a, roku VIII (9-go listopada 1799), dziewiętnastoletni młodzieniec stał oparty o kratę ogrodu Tuileryów, w tem miejscu, gdzie Most Zwodzony łączył dawne ogrody królewskie z placem Rewolucyi, zwanym dziś placem Zgody. Młodzieniaszek przypatrywał się z nienawistną ciekawością obrotom pułków, stłoczonych w cieniu prastarych drzew, przebiegającym co chwila tam i napowrót oficerom sztabu, którzy dążyli ku ulicy Chantèreine lub stamtąd powracali, poprzedzając generała Bonapartego, albo też towarzysząc mu. Wybraniec losu ukazał się, przemówił w ogrodzie do żołnierzy, następnie zaś skierował konia w stronę pałacu, w którym narzucić miał wolę swoją Radzie Starszych. — Sercem przyglądającego się chłopięcia targaly najróżnorodniejsze, sprzeczne a namiętne uczucia. Znużona wewnętrzną rozterką dusza jego wiernie odzwierciadlała nastrój miasta w prze-

dedniu nowych krwawych zamieszek, nastrój tłumu, który zalewał ruchomą falą olbrzymi plac; tak jak ten tłum, chłopie gotowe było uznać nad sobą pana, władcę, dającego mu w zamian niezużytej energii, wyraźną dyrektywę, jasną, ściśle określoną rację bytu.

Ubogi, bez zajęcia, o zapalnym temperamencie, marząc zarówno o sukcesach towarzyskich, jak o dyplomatycznej karierze, o sławie literackiej jak o generalskich szlifach, młodzieniec ten—niby ciężkie brzemie—nosił jedno z najsłynniejszych rodowych nazwisk Ancien Régime'u. Wnuk marszałka Francji, ministra wojny za rządów Ludwika XVI-go, owego Ségur'a, który wślawił się bohaterskimi czyny pod Laufeld i Klosterkamp; syn hrabiego Ludwika Filipa de Ségur, ambasadora francuskiego przy dworze rosyjskim, pierwszego w Wersalu eleganta, który podbił serce Katarzyny Wielkiej i zdystansował rywala swego—pięknego i świetnego kawalera — ks. de Ligne,—biedak, wsparty o kratę ogrodu Tuileryów, z trudem zarabiał na skąpy kawałek chleba, pisując wodewile i ulotne wierszyki.

Urodzony w r. 1780, dwunastoletni podówczas chłopiec, przeżył okropne dni Terroru, oglądał ruinę rodziny swojej, dziadka wtrąconego do więzienia. Sędziwy marszałek cudem niemal uniknął gilotyny ojca, żyjącego pod wieczną grozą takiej samej okrutnej doli, w skromnym domku w Chantenoy, dokąd schronił się hrabia i gdzie wychowywał syna w ubóstwie i trosce o dzień jutrzejszy. Dziecko budziło się do życia wśród złowieszczych odgłosów walącego się ustroju spo-

lecznego, w którym—w myśl tradycji—należało mu się jedno z najprzedniejszych, najbardziej uprzywilejowanych miejsc. Potwornym rykiem zwiastowała Rewolucya świata potęgę swoją i moc żywiolową, nieodpartą moc. Nienawidząc tej niszczycielskiej siły, chłopiec mimowoli ulegał jej wpływom i czuł, jak pod naporem tych nowych tchnień pękały i rwały się spoidła wewnętrznej jego istoty, rozpadały się w proch niewzruszone, rzekomo, pewniki, najświętsze, po dziadach i pradziadach odziedziczone, zasady.

W prześlicznym wstępie do swoich „Pamiętników” Filip de Ségur analizuje niesłychanie trafnie ten moralny przełom swych lat chłopięcych; twierdzi, iż wielu współczesnych mu przez taką samą duchową przechodziło walkę: „Wszelka wiara była zachwiana, wszelki kierunek błędny albo niepewny; im bardziej myślące i zapalne były dusze ludzkie, tem bardziej błędziły i błąkały się bez echa wśród tego niezmiernego przestworza pustyni bez końca ni granic, gdzie nic nie powstrzymywało ich od błędów i upadków, gdzie niejednokrotnie — stargane i zniechęcone—konały wreszcie, zapatrzone w groźne widmo śmierci, poprzez kurzawę rozpadającego się w gruzy gmachu młodzieńczych marzeń i ideałów!... Wkrótce śmierć, jako koniec wszechrzeczy, wydała mi się jedyną, niezaprzeczoną prawdą. Śmierć tylko widziałem wszędzie i we wszystkim... Ginęła w męce znużona dusza moja; coraz bliższy byłem nędznego, bezużytecznego epilogu...”

Dziwny zbieg okoliczności!... W pobliżu

Chantenoy, gdzie młody desperat analizował tak nieujęte swoje cierpienie, rozmyślając o samobójstwie, inny rozbitek owych strasznych czasów, wice-hrabia de Chateaubriand, w skromnym domku w Savigny, ukończyć miał niebawem jedno z arcydzieł swoich: „Réné”, przejrzystą autobiografię, w której temi samemi niemal słowy opisuje tę szczególną „chorobę wieku”. Porównajcie dzieło Chateaubriand’a z pierwszą częścią „Pamiętników” Ségur’a: są to jakgdyby dwie podobizny jednej i tej samej osoby. A kto wie, czy „Pamiętniki” nie są szerszym i wierniejszym portretem.

Owe zniechęcenie do życia, które było raczej niezaspokojonem pragnieniem czynu, wzrastało w duszy Filipa w ostatniej dobie Dyrektoryatu. Napróżno oklaskiwany przez grono modniśców, starał się oszołomić sukcesami na niwie literackiej: napady melancholii wracały ze zdwojoną siłą. Taką właśnie chwilą zwątpienia i rozpaczny był dla niego ów chmurny poranek listopadowy, podczas którego widzimy młodzieńca u wejścia do ogrodu Tuileryów. — Wtem, nagle, otwarły się wrota Pont-Tournant, pod kopytami końskimi zadudniła ziemia: pułk dragonów Murat’a gnał cwałem w stronę Saint-Cloud... Widok ten wstrząsnął do głębi chłopcem, niczem cudowna wizya, która przed wiekami, nieopodal od Damaszku, powaliła w pył przydrożny apostoła Pawła. Nieprzepartym urokiem pociągały go te srogie pułki krwawej Rewolucyi, nienawistne mu jeszcze przed godziną; serce rwało się ku bohaterowi, a instynkt rycerskiego dziecka szeptał mu,

że tam — w armii — jest zbawienie, ratunek i nadzieja: „Chwila ta zadecydowała stanowczo o całej mojej przyszłości; w żyłach zakipiała warem rycerska krew ojców, a przed oczyma roztaczały się świetne obrazy przyszłej chwały i zwycięstwa.”

Kilka dni później, mimo oporu rodziny i perswazyi zgorszonych przyjaciół, zaciągnął się do nowoutworzonego oddziału huzarów Bonapartego. Początkowo roił, iż wskrzesi w armii ducha monarchicznego, niebawem jednak uległ najzupełniej przemożnemu wpływowi genialnego generała. Pierwszy konsul zaś, uszczęśliwiony, że wydarł wybitniejszą jednostkę wrogiej sobie partyi, mianował go odrazu porucznikiem. Potem awansował szybko, po każdej nieledwie większej bitwie. Ciężko ranny pod Somo-Sierrą, komendant do Ségur odbył podróż z Hiszpanii do Francji w kolebce, wysłanej zdobycznemi Sztandarami, które złożył następnie jako trofea w izbie obrad Ciała Prawodawczego. Jako adjutant przyboczny cesarza, mianowany generałem w trzydziestym roku życia, przebywając wciąż w najbliższem otoczeniu Napoleona, Ségur służył mu wiernie aż do końca. Po upadku Cesarstwa wystąpił z wojska i jął się znów pióra; tym razem jednak nie snuł już mglistej przędzy marzeń, lecz opisywał poszczególne wypadki bohaterskiej epopei, w której brał czynny udział i której naocznym a ważnym był świadkiem. Rys historyczny kampanii rosyjskiej, wydany w roku 1824, zainteresował szerszy ogół barwnym opisem męstwa i bezmierznych cierpień Wielkiej Armii. W niespełna trzy lata dziesięciokrotnie ponawiano nakład. Autor

został członkiem Akademii francuskiej w roku 1830; w gronie czterdziestu „Nieśmiertelnych” znajdował się również ojciec jego, znany i ceniony podówczas historyk. Ostatnie miesiące swego życia spędził stary hrabia wraz z synem, na wspólnej pracy, która przypominała im dalekie już czasy Dyrektoryatu i cichy, ubogi domek w Chantenoy. Filip zasiadał w Akademii lat czterdzieści trzy. Żołnierz—tylokrotnie ranny, doczekał późnej starości; zmarł w roku 1873, przeżywszy lat dziewięćdziesiąt trzy. Zostawił jako spuściznę literacką siedem tomów „Pamiętników”, które obejmują całokształt dziejów Cesarstwa.

„Pamiętniki” te ogłoszono dopiero w roku 1873, wkrótce po śmierci generała. Gdyby zniknąć miały z widowni wszystkie dzieła o Napoleonie, za wyjątkiem jednego tylko—bez wahania wybrałbym książkę Ségur’a, jako najciekawsze odbicie danej epoki i potężnej sylwetki wielkiego cesarza. Zbiorowe jednak wydanie nie cieszyło się początkowo równie wielkiem powodzeniem jak część pierwsza, wydrukowana za czasów Restauracji p. t. „Historja Napoleona i Wielkiej Armii w roku 1812”. Pewnym sprawdzianem w tej mierze jest znakomity „Przewodnik bibliograficzny literatury francuskiej od r. 1800 do r. 1906”—Hugona Thieme’go, profesora uniwersytetu w Michiganie. Informacye uczonego amerykańskiego—prawie, że nieomylnie — godne są najwyższego uznania; „Przewodnik” jego wymienia najdrobniejsze nawet utwory naszych pisarzy, zaledwie gdzieś niedzie cośkolwiek pomijając. Prof. Thieme podaje spis wszystkich prac hr. Ludwika—Filipa de

Ségur, ojca generała; kilkakrotnie wyszczególnia również dzieła innych członków tejże rodziny. (Wiadomo, iż obecnie przedstawicielem jej w Akademii jest margrabia Piotr de Ségur, znany i powszechnie ceniony w Europie historyk XVIII-go stulecia). Pominięty został jedynie generał i jego „Pamiętniki”. Łatwo zrozumiałą jest ta nieświadomość bibliografa-cudzoziemca, skoro we Francji nawet, w obszernem wydawnictwie „Historji literatury francuskiej”, redagowanem niegdyś przez grono uczonych profesorów Sorbony, pod kierownictwem Petit de Julleville'a—poświęcono zaledwie kilka wierszy generałowi Ségur i jego „Kampanii r. 1812”, z zupełnem pominięciem „Pamiętników”.

Rozmaicie tłómaczyć można tę niesprawiedliwość. W chwili ukazania się „Pamiętników”, żył i rządził Francją Adolf Thiers. Imię jego było wyrocznią we wszystkich sprawach, dotyczących doby Napoleońskiej; panował więc despotycznie nad całym tym okresem dziejów Francji, nie tolerując żadnego uzurpatorstwa, ani też żadnej innowacyi. Sądził—a ogół podzielał to mniemanie— iż dzieło jego o Napoleonie wyczerpało doszczętnie dany materiał historyczny. Krytyka zaś lękała się narazić w czemkolwiek równie uczonej i wpływowej osobistości. Skądinąd, niechętnie wspominano pierwsze cesarstwo niespełna w trzy lata po fatalnym upadku drugiego. Dopiero dwanaście, a nawet piętnaście lat później, owa niechęć lub conajmniej obojętność dla imienia Napoleonów przekształcić się miała powoli we wrastające coraz bardziej uwielbienie dla bohater-

skiej legendy cesarza, uwielbienie, którego wyrazem są nader liczne wydawnictwa Pamiętników wojskowych, mnożące się w ostatnim dziesiątku XIX-go stulecia. Wreszcie, przestarzały nieco styl generała byłby wywołał pogardliwy uśmieszek na уста czytelników Emila Zoli; w pełni rozkwitu szkoły naturalistycznej, proza starej daty stanowiła zbyt rażąco kontrast. Smutną byłaby dola dzieł romantyka—np. „Męczenników” lub chociażby nawet „Przewodnika” Chateaubriand’a—ukazujących się po raz pierwszy ogółowi francuskiemu w takim momencie.

Kształcony na wzorach klasycznych, Ségur naśladuje sposób pisania Tucydidesa i Liwiusza; lubuje się w długich okresach i kwiecistych zwrotach. Będąc nadto—jak wszyscy współcześni mu—gorącym zwolennikiem Rousseau’a, przejmuje mimowoli cechy stylistyczne Jana-Jakóba. Pragnie być dziejopisarzem szerszej miary—historykiem wielkiego człowieka—próżno więc szukalibyśmy w jego dziełach bezpretensjonalnej prostoty zwykłych pamiętnikarzy. Lecz pod niemodną już zewnętrzzną szatą, odnajdujemy szybko kipiące życiem postacie, szczery dramatyczny nastrój i głęboką prawdę tych autentycznych opisów.

Krzywda, wyrządzona przed laty autorowi, została obecnie wynagrodzona. Nowsza szkoła historyków zrozumiała i oceniła znaczenie i wartość tego niezwykłego dokumentu; przywróciła mu właściwe stanowisko w literaturze, z dniem każdym kładąc nań większy nacisk. Jakkolwiek są to dwa dzieła najzupełniej różne, sprawa „Pamiętników” Ségur’a przypomina inne pamiętniki,

które wyszły w XVII w. z pod pióra Saint-Simona, a któremi zaczęto interesować się dopiero po upływie stulecia. Czytane początkowo przez nieliczne uprzywilejowane jednostki:—„Zajmująca to lektura, pisała w r. 1770 p-ni du Deffand, jakkolwiek styl jest ohydny, postacie źle naszkicowane, a autor pozbawiony dowcipu...” — to niepospolite arcydzieło, o niezwykle oryginalnej i pięknej formie, zdobyło sobie popularność dopiero w r. 1829. — Nieodżałowany Albert Sorel, jeden z największych i najświetlejszych erudytów doby napoleońskiej, mawiał często, że opowiadania Ségur'a rzucają lepsze światło na całą tę epokę, aniżeli wszystkie dokumenty archiwalne. Tego samego zdania jest inny uczony historyk, Albert Vandal.

Thiers wymienia poszczególne fakty, opisuje znakomicie wewnętrzny ustrój Cesarstwa, instytucje cywilne i wojskowe, zagadnienia polityki ówczesnej i matactwa dyplomatyczne; kreśli życiorys konsula i cesarza. Lecz zarówno duchowa istota genialnego zdobywcy jak i warunki, które umożliwiły mu w tak krótkim czasie wzniesienie nowego państwa na zgliszczach i ruinach dawnego ustroju — pozostają dla nas obcemi; Thiers dochodzi do pewnych wniosków w tym kierunku jedynie na podstawie wyrozumowanych dedukcji. Ségur natomiast przenosi czytelnika o sto lat wstecz, czyni go współczesnym wielkiego cesarza i zwycięskiej jego armii, współczesnym owej epoki cudów. Cudem bowiem, który dziś nawet zaledwie zdołamy pojąć i który interesuje nas bardziej od opisów kampanii i bitew—

jest nagły i całkowity przewrót w narodzie, do niedawna jeszcze druzgocącym zaciekle odwieczne prawa i instytucje, jest entuzjastyczne zrządzenie się wolności na rzecz młodego Korsykana i wybór nowego cesarza niespełna pięć lat po ostatnich saturnaliach rewolucyjnych i anarchii czasów Dyrektoryatu. Ségur rozwiązuje drażniącą tę zagadkę, odsłaniając nam własną duszę. Czytelnik zechce wybaczyć mi pewną rozwlekłość opowiadania; jeśli jednak położyłem szczególny nacisk na młodociane lata żołnierza-historyka, na jego życie wewnętrzne i decydujący moment, który pokierował dalszemi jego losami, wbrew przewidywaniom i prawdopodobieństwu, to dlatego, iż w tym właśnie momencie jest on niejako symbolem, typowym przedstawicielem narodu, tak jak on zdjętego uwielbieniem, chylącego się kornie do stóp władcy. Takim samem namiętnem tętnem były wówczas serca w całej Francji.

Co się zaś tyczy osoby cesarza—Ségur daje nam najlepsze, najwiarogodniejsze informacje. Należąc do najbliższego otoczenia cesarza, w ciągu piętnastu lat obserwuje go życzliwie, lecz spostrzegawczem okiem; notuje niez mordowanie potęgę królewskich orlich lotów Napoleona, aż do chwili, w której—jako wierny towarzysz i sluga—stwierdza ze smutkiem stopniowy upadek duchowych władz swego wodza. Dla ogółu czytającego, dla tych zwłaszcza, którzy żądają przede wszystkim od historii psychologicznej prawdy, ujawniającej tajniki duszy tłumu i duszy wielkich

ludzi -- „Pamiętniki” generała stanowią nieocenione źródło poznania.

Mam nadzieję, że z czasem spółka wydawnicza Nelson ogłosi drugi tom, w którym zebrane będą najciekawsze rozdziały. Na razie, ofiarowuje międzynarodowej publiczności część główną, wydaną we Francji w r. 1824 jako oddzielną pracę p. t.: „Historja Napoleona i Wielkiej Armii w r. 1812”. Rok 1812!... Kampania rosyjska!... Kulminacyjny punkt nieśmiertelnej epepei, tragiczny nastrój tysięcy dusz ludzkich, jednocześnie ujarzmionych i buntujących się, zdjętych uwielbieniem dla bohaterskich czynów i pełnych grozy na widok okrutnej nędzy i bezmiernych cierpień!... Ségur był jedną z nielicznych względnie jednostek, które przetrzymały wszystko, które wyszły cało z pośród tego ogromu nadludzkich niemal trudów i niedoli. Wrodzona skromność nie pozwoliła mu mówić o sobie, lecz jego towarzysze broni wspominają niejednokrotnie z jakim stoicyzmem znosił najcięższe próby, największe niewygody, jak własnym przykładem podnosił w innych ducha. Dzięki temu zachował też całkowicie właściwy sobie niezwykły dar obserwacji; wszystko dojrzał, wszystko zauważył i z zupełną ścisłością opisać mógł później straszliwe sceny, które rozgrywały się w ciągu tych okropnych miesięcy, a na które większość jego towarzyszy spoglądała poprzez mgłę obłądnej trwogi. Z pierwszych nieledwie słów jego „Pamiętników” wieje potężne tchnienie prawdy, o głębokiem dramatycznym napięciu. Więc chęć wskrzeszenia legen-

darnej sławy Aleksandra i wymarsz Wielkiej Armii, pociągającej za sobą wojenny kontyngens wszystkich ludów Europy. Więc pierwsze niepowodzenia, namiętny opór Rosyan, walka z klimatem, nieustanna pogoń za niedościgłym nieprzyjacielem, rodzące się zwątpienie, szemranie rozważniejszych dowódców, zaostrzone współzawodnictwo marszałków: Berthier'a, Ney'a, Davout'a, Murat'a. Napoleon ulega pozornie rozumnym perswazyom, ukrywając istotne swoje zamiary z istic włoską przebiegłością—dostrzeżoną jednak przez Ségur'a. Silniejszym od perswazyi i argumentów jest zwodniczy urok barwnego mirażu, który ukazuje mu wroga, pokonanego wreszcie wśród bezkresu stepów. Potem — bitwa pod Moskwą, nieskończona walka, niepewne zwycięstwo, olbrzymie pobojowisko, zaścielane co dnia stosami krwawych trupów. Z dziełem generała, który notuje jedynie całokształt faktów, porównać można uzupełniające je poniekąd, drobiazgowo opisy tejże bitwy w powieści Tołstoja: „Wojna i Pokój”. Pewnego razu rozmawiałem z popem ze wsi Borodino a tematem rozmowy była—jak zwykle na wsi — kwestya żniw i urodzajów, nader lichy zapowiadających się tego roku. „W dzieciństwie mojem — rzekł ksiądz — plony były tu obfitsze, kłosa pełniejsze; krew ludzka użyżniła ziemię doskonale i na długo”.

W ówczesnej działalności cesarza, Ségur zaznacza pewne roztargnienie w chwilach najbardziej krytycznych, pełną fatalizmu rezygnacyę, obcą mu dotychczas trudność powzięcia ostatecznej decyzji i szybkiego orientowania się, zalety,

które przed laty głównie przyczyniły się do świętych zwycięstw pod Marengo i Austerlitz. Według Ségura, zmiany te były jedynie wynikiem dręczących Napoleona dolegliwości fizycznych. Zajęcie Moskwy, podziw armii, zdumionej wschodnim przepychem zdobytego miasta, nadzieja bliskiego a chlubnego dla Francji pokoju—oto jedyne jaśniejsze momenty całej kampanii; niebawem jednak, za przyczyną Roztopczyna, spłonąć miała doszczętnie prastara carów siedziba, otaczając zwycięzców dymami pożogi. Ségur mówi z uwielbieniem o niezwyklej postaci generał-gubernatora i wbrew ogólnie rozpowszechnionej w Rosyi opinii, oddaje cześć patriotycznemu czynowi, który zrodził się z rozpacz, a do którego sam Roztopczyn nigdy niechciał się przyznać, pokrywając zagadkowym milczeniem ostatnie dni pobytu swego w Moskwie.—Dziwnym zbiegiem okoliczności, kilkanaście lat później, córka podpalacza poślubić miała rodzonego siostrzeńca żołnierza-historyka, który w owym krwawym roku zbeczczył świętokradzką dłońią czczoną przez Rosyan bramy Moskwy i Kremlinu. Hrabina de Ségur—znana i ceniona autorka prześlicznych książek dla dzieci, małych arcydzieł, z prawdziwym pisanych talentem, literackim swoim dorobkiem zwiększyła zasługi zdobyte na tem polu przez rodzinę męża.

Z kolei, opisuje Ségur dzieje odwrotu, tragiczny pochód Wielkiej Armii wśród śniegu i lodowych pól, niejednokrotnie krwią zboczonych, nieskończoną wędrówkę malejących z dniem każdym szeregów, nędzę i głód, wzrastające zniechęcenie i niemą, w bólu stężalą rozpacz, okro-

pną biel śniegiem zawianych bezkresów. Potem—przejście Berezyny i dla wielu tych, którzy do-tychczas szczęśliwie uszli śmierci—okropna mo-giła w zdradzieckich nurtach rzeki. Wreszcie odjazd Napoleona i zupełne opuszczenie szczątków wspaniałej niegdyś armii wśród błot i trzęsawisk Polesia... Historyk maluje wiernie coraz bardziej ponure sceny i obrazy, a opowiadanie jego budzi w duszy to samo uczucie żalu i przy-gnębienia, jakiego doznajemy, patrząc na słynne płótno Meissonnier'a, na znękane postacie mar-szałków, dążących po grudzie śladem cesarza, ze zwieszoną na piersi głową, na tle szarego beznadziejnie smutnego nieba. Nosilem się po-czątkowo z zamiarem przytoczenia niektórych, najcelniejszych fragmentów, lecz zaniechałem go wkrótce; zbyt trudnym byłby wybór, gdyż wszyst-kie równie są ciekawe, wszystkie równą przedsta-wiają wartość. Nie wątpię, iż czytelnik potwierdzi w zupełności uznanie moje dla tej pięknej książki.

Za pośrednictwem Ségur'a, pozna cesarza takim, jakim był istotnie, jakim widywał go świa-tły obserwator, pobłażliwy, lecz bynajmniej nie zaślepiony; pozna Napoleona bez obsłonek, nie zniekształconego jeszcze przez legendy i opo-wieści; człowieka z krwi i kości, niekiedy tkliwe-go i czulego, o zwykłej ludzkiej duszy; nieludzkie-go zaś i nadludzkiego w chwilach, gdy władał nim szatan pychy i obłądnych marzeń; pozna wzloty i upadki tego geniuszu, który bądź dorównywał samemu sobie i stawiał mężnie czoło trudnościom szalonych swoim ogromem zamiarów, bądź też

potykał się i błdził, miotany już własnoręcznie rozpętaną nawałnicą, chylącą się do upadku, gnębioną chorobą, zostawiający wreszcie na pastwę losu pulki swoje, starych żołnierzy, w oczach których utracił był częściowo wskutek klęski dawny urok i przewagę. Wobec tych opisów, tchnących życiem i prawdą, dających nam wierną podobną jednostki niewątpliwie niepospolitej, lecz zrozumiałej i szczerze ludzkiej, nie zdziwi zapewne czytelnika końcowe zdanie przedmowy, która poprzedza „Pamiętniki”: „Ujrzymy bohatera w człowieku, człowieka w bohaterze; zgłębimy potęgę wpływu jego na pokolenia, których ostatni przedstawiciele są już na wymarciu”.

Towarzysze moi!

Postanowiłem skreślić dzieje Wielkiej Armii i jej wodza w ciągu r. 1812.

Dzieło to poświęca tym z pośród Was, których śniegi i lody Północy pozbawiły sił i zdrowia, którzy dziś służyć mogą ojczyźnie jedynie wspomnieniem przecierpianych nieszczęść i minionej chwały! Wykolejeni zawistną dłonią losu, żyjecie raczej przeszłością, aniżeli chwilą obecną; wolno jednak żyć wyłącznie wspomnieniem, gdy wspomnienia takiej są miary. Nie obawiam się tedy, przypominając okropne te czasy, zakłócić wam tak drogo okupiony spokój. Wiemy przecież wszyscy, że wśród najgorszych przeciwności wzrok zepchniętego na dno otchłani człowieka, zwraca się mimowoli ku świetności minionych dni wówczas nawet, gdy blask ten kładzie się świetlaną smugą na bezpośrednią przyczynę upadku i oświetla ruiny jego i zgliszcza!

Przyznam się, iż osobiście czuję nieprzeparty pociąg ku tej smutnej epoce naszych publicznych i prywatnych nieszczęść. Bolesną roz-

kosz sprawia mi rozpamiętywanie poszczególnych epizodów tych wszystkich okropności. Czyżby dusza ludzka pyszniła się również liczbą i głębo-kością blizn i obnażała je z upodobaniem? Czy też raczej—poza chęcią poznania—człowiek nie odczuwa w pierwszym rzędzie potrzeby podzielenia się z kimś swojemi wrażeniami? Czyż zdolność odczuwania i budzenia uczuć w bliźnich nie stanowi najpotężniejszego czynnika duszy naszej?

Jakiemikolwiek wszakże byłyby kierujące mną pobudki, ulegam potrzebie odtworzenia wrażeń, jakich doznawałem w ciągu tej nieszczęsnej wojny. Korzystając z dowolnych wczasów, pragnę uporządkować dawne wspomnienia, zebrać je i streścić. Starzy druhowie, przypomnijcie sobie ubiegłe lata! niby cennego skarbu strzeżcie bohaterских wspomnień, które tak drogo okupiliśmy, a które są jedyną po nas puścizną, jedyną pozostałością minionych dni. Porażka wasza chlubniejsza była, aniżeli zwycięstwo wrogów! Bądźcie więc bez sromu! Podnieście z dumą te szlachetne czoła, o które obijały się gromy całej Europy! Nie spuszczać oczu, które widziały tyle stolic zdobytych, tylu władców pokonanych!... Niewątpliwie, godnymi byliście lepszej doli, od was wszakże zależy w zupełności sposób, w jaki zużytkujecie najpożyteczniej resztę życia. W ciszy i osamotnieniu niedoli, dyktujcie historii wasze wspomnienia, a jasny blask prawdy niechaj przyświeca wam zawsze w ciągu bezsennych — pracy poświęconych nocy.

Sam zaś skorzystam z przywileju — niekiedy smutnego, częściej szczytnego — opisania wszy-

stkiego, com widział, odmalowania wszelkich, najdrobniejszych nawet szczegółów. Sądzę jednak, iż pewna drobiazgowość nieodzownie konieczną jest dla należytego zrozumienia geniuszu cesarza i gigantycznych czynów, które są dla nas najrzetelniejszą miarą potęgi, sławy i niedoli człowieka!

Począwszy od roku 1807, znikła przestrzeń, dzieląca Ren od Niemna; obie rzeki stały się rywalkami. Traktat tyłżycki, zawarty wyłącznie na korzyść Aleksandra, z pominięciem Prus, Szwecyi i Turcyi — był wynikiem porażki Rosyan, oraz dniem poddania się imperium pod jarzmo systemu kontynentalnego. Jako taki, przynosił ujmę narodowej godności Rosyan — rzecz zrozumiała dla nielicznych tylko jednostek — i narażał kraj na znaczne straty materyalne, zrozumiałe dla całego ogółu i jednakowo wszystkich obchodzące.

Utworzeniem systemu kontynentalnego, Napoleon wypowiedział Anglii walkę zażartą na śmierć i życie; zaangażował w niej sławę swoją i honor, losy Francyi i własny byt polityczny. System ten odpychał od kontynentu wszelkie towary angielskie, lub też takie nawet, które opłacały Anglii jakiegokolwiek cło. Domagał się zatem powszechnej zgody, akcesu wszystkich narodów, czyli innymi słowy zwierzchnictwa Francyi nad całą Europą.

Francya tymczasem naraziła sobie ludy zwycięstw swemi, władców zaś krwawą rewolucyą i założeniem nowej dynastyi. Nie mogła mieć sprzymierzeńców ani też rywali, lecz tylko poddanych, gdyż sprzymierzeńcy byliby fałszywi

a współzawodnicy bezlitośni. Musiała tedy albo wszystkim ujarzmić, lub też wszystkim uleż.

Jakkolwiek wysoko wzniósł się był Napoleon ponad ludy Południa i Zachodu, dostrzegał zawsze wśród śniegów i lodów Północy prastary tron Aleksandra, współrzędny mu siłą i ogromem. Na dalekich rubieżach Europy, skąd płynęły niegdyś zwartą falą dzikie hordy najeźdźców—widział zbiorowisko nieokiełznanych żywiołów, do nowego gotujących się zalewu. Dotychczas Austria i Prusy stanowiły ochronną tamę od wschodu; własnoręcznie jednak cesarz tamę tę przerwał lub osłabił. Stał więc teraz samotnie jako jedyny obrońca cywilizacji, dobrobytu i zdobyczy kulturalnych ludów Południa, przeciw ciemnocie i chciwości ubogich mieszkańców Północy, przeciw zaborczym instynktom cesarza ich i szlachty.

Widocznem było, że tylko wojna zdoła rozstrzygnąć namiętny ten spór, tę odwieczną walkę nędzarza z bogaczem, głodnego z sytym; skądinąd jednak wojna ta nie była ani wojną ogólnoeuropejską, ani nawet narodową. Europa była jej niechętna, gdyż ewentualne zwycięstwo wzmogłoby potęgę Napoleona; Francya, wyczerpana, łaknęła pokoju; kwiat arystokracji i inteligencji francuskiej, wchodzący w skład dworu cesarskiego, z lękiem myślał o przyszłości, z lękiem spoglądał na nowe przygotowania wojenne, na rozproszone między Kadyksem a Moskwą wojska, a jakkolwiek uświadamiano sobie bliskość tego zatargu, nikt nie był przekonany o jego nieodzowności.

Cesarz wszakże – zarówno z pobudek poli-

tycznych, jak i ulegając wrodzonej sobie przedsiębiorczości — powziął tytaniczny zamiar całkowitego opanowania Europy przez pognębienie Rosyi i odebranie jej zagarniętych ziem polskich. Wbrew woli jednak i chęci, tajemnica stała się publiczną. Olbrzymie przygotowania, jakich domagała się tak daleka wyprawa, stopy prowiantów i amunicyi, szcęk broni, turkot ładownych wozów i furgonów, wzmożony, gorączkowy ruch w koszarach i depôts wojskowych, majestatyczny i straszliwy pochód wszystkich sił Zachodu — przeciw wschodnim, pół-dzikim ludom, wszystko to zwiastowało Europie bliskie starcie dwóch potężnych współzawodników.

Aby osiągnąć granic Rosyi, trzeba było przejść przez ziemię pruskie i minąć terytorium austriackie, mając z jednej strony Szwecyę, z drugiej zaś Turcyę. Koniecznem więc było zawarcie zaczepno odporne go przymierza z czterema temi państwami. Austria podlegała wówczas wpływowi Napoleona; Prusy zależne były od Francyi. Odrazu też projekt cesarza zyskał sobie w Wiedniu akces dobrowolny, w Berlinie przymusowy. Na mocy umowy z 12 lutego 1812 r. Prusy zobowiązały się dostarczyć dwadzieścia do trzydziestu tysięcy ludzi, oraz oddać większość fortec swoich i magazynów do dyspozycyi armii francuskiej.

Natomiast współudział Austrii wyrozumowany był i na ścisłej oparty rachubie. Leżąc w pośrodku, między olbrzymim obszarem Rosyi a potęgą Napoleona, Austria przyklasnąć mogła tylko walce; bez względu na rezultat, obaj zapaśnicy musieli w końcu wzajemnie się osłabić ku

jej bezsprzecznej korzyści. 14-go marca 1812 roku przybiecała dać Francji trzydzieści tysięcy ludzi; potajemnie jednak udzieliła dowódcom szczegółowych, nader oględnych instrukcyi. Jako indemnizacyę poniesionych kosztów, otrzymała w zamian mglistą obietnicę rozszerzenia terytorium oraz gwarancyę przynależności Galicyi. Na wypadek zaś częściowej cesyi tej prowincyi na rzecz Królestwa Polskiego, dostać miała tytułem odszkodowania Krainę, Karyntyę i całą tę część pobrzeża. (Tajna Umowa art. 6).

Pomyślny wynik wojny nie był więc w niczem zależny ani od cesyi Galicyi, ani też od względów, jakich domagała się zawistna i drobiazgowa dyplomacya austriacka. Z chwilą tedy wejścia do Wilna, Napoleon mógł być obwieścić wyzwolenie całej Polski, zamiast zwlekać, osłabiając tem samem zapał i ofiarność narodu.

A jednak był to właśnie jeden z tych najważniejszych momentów, które grają decydującą rolę w każdym przedsięwzięciu politycznem czy też militarnem, jeden z tych momentów, z którymi wszystko się wiąże, od których wszystko zależy. Lecz bądź Napoleon zbyt liczył na przewagę własnego geniuszu, na potęgę i sprawność armii swojej, na niemoc Aleksandra, lub uważał, iż zbyt ryzykownem byłoby powolne i systematyczne prowadzenie tak dalekiej ekspedycyi; bądź też — jak sam do tego się przyznaje — nie był pewny wygranej, dość, że zaniechał prawnego wyzwolenia kraju, który oswobodził, albo raczej projekt ten odroczył.

Nie starał się nawet oczyścić południowych

provincyi Polski z nielicznych oddziałów nieprzyjacielskich, które obecnością swoją hamowały patriotyzm Polaków, nie pozwalając na swobodne organizowanie—duszą i ciałem oddanych Francyi—pułków powstańczych.

Przyzwyczajony do szybkiego działania, do błyskawicznych obrotów, naśladować chciał samego siebie, mimo zasadniczej różnicy warunków i okoliczności. W ułomnej naturze ludzkiej leży bowiem potrzeba naśladownictwa; wielcy zaś ludzie, zwykłą przerastający miarę, z nawyknięcia naśladowają samych siebie i giną zazwyczaj od broni, którą wojowali, giną zawczasie, tem właśnie, co stanowiło najelementarniejsze zalety ich geniuszu.

Napoleon zawierzył ślepo szczęśliwej swojej gwiazdzie. Sądził, iż pięćkroć stotysięczna armia w zupełności zapewniała mu zwycięstwo. W niej też wszystkie pokładał nadzieje. Zamiast dążyć do zwycięstwa drogą ofiar i poświęcenia, przez zwycięstwo przeciwnie otrzymać chciał wszystko; to, co miało być celem — stawało się jeno środkiem, do celu prowadzącym. Na zwycięstwo liczył tak bardzo, obciążał je takim brzemieniem odpowiedzialności, że potrzeba przekształciła się zwolna w nieodzowną konieczność. Tem tłumaczy się nadmiernie przyśpieszona akcja, tem—namiętna chęć jaknajszybszego wydostania się z krytycznej sytuacji.

Nie należy jednak wydawać pobieżnych sądów o tak potężnym i uniwersalnym geniuszu. Przekonamy się bowiem wkrótce, że w znacznej mierze zniewolony został do tego przedsięwzięcia

szczególnym zbiegiem przemożnych okoliczności, a jeżeli nawet zuchwały był sposób prowadzenia tej kampanii, ostateczne jej wyniki byłyby niewątpliwie pomyślne, gdyby nie choroba cesarza i przedwczesny upadek sił.

Traktaty, zawarte z Austryą i Prusami, otwierały Napoleonowi drogę do Rosyi. Pozostała jeszcze Szwecya i Turcya.

W owym czasie wszystkie kombinacye militarne do tak olbrzymich doszły rozmiarów, że przy układaniu planów kampanii nie brano już w rachubę konfiguracyi pojedynczych prowincyi, rzek, lub łańcuchów górskich. Gdy tacy potentaci, jak Aleksander i Napoleon ubiegali się o zwierzchnictwo nad Europą, należało ogarnąć całokształt ogólnej sytuacji wszystkich państw, oraz wzajemny ich stosunek; celem zaś obrad i zamysłów nie były już poszczególne krainy, lecz cała kula ziemską!

Owóz Rosya panowała i panuje niepodzielnie nad tą połacią Europy. Z północy i południa morze naturalną stanowi granicę, a olbrzymie, prawie że niezmierzone przestrzenie i ostry klimat, z którym niekażdy naród mógłby walczyć—najlepszą są obroną. Konieczną więc była pomoc Turcyi i Szwecyi, aby uderzyć na imperyum, ugodzić je w samo serce przez zajęcie Petersburga i—zamiast atakować częściowo czoło wojsk rosyjskich wśród rozległej równiny, która jest wymarzoną terenem dla rozproszonych i uciekających pułków — w znacznej odległości obejść z lewego flanku wielką armię nadnie-meńską.

To też wszyscy, nawet prości żołnierze, z dnia na dzień oczekiwali wieści o pochodzie Wielkiego Wezyra na Kijów i wkroczeniu wojsk Bernadotté'a do Finlandyi. Ośmiu monarchów zaciągnęło się już pod sztandary Napoleona, lecz wahali się dotychczas ci dwaj, na których najwięcej mu zależało. Zaiste, godnem wielkiego cesarza byłoby zjednanie sobie wszystkich mocarstw, wszystkich narodów całej Europy; godnem wielkiego cesarza byłoby zupełne zgnębienie potężnego przeciwnika, urzeczywistnienie kolosalnych, szalonych niemal snów i rojeń. Gdyby zaś zabrakło nowoczesnego Homera, aby uniesmiertelnić bohaterską epopeję władcy nad władcami, spiżowy głos XIX-go stulecia — wówczas niezapomnianego stulecia boju i chwały — byłby zastąpił gędźbę natchnionego pieśniarza, dźwięcząc potężnie, rozgłośnie, w ciągu długich lat budząc do życia młode, w chwale poczęte pokolenia.

Nie był nam wszakże sądzony taki ogrom sławy.

Bezgranicznem tedy było zdumienie nasze, gdy doszły wreszcie wieści o zawarciu przez Rosyę wrogich nam traktatów z Turcyą i ze Szwecyą. Z niepokojem spoglądaliśmy na prawe nasze skrzydło — odsłonięte, lewe — znacznie osłabione, na zagrożoną teraz powrotną drogę.

Cesarz — przeciwnie — mniemał, iż potęga jego geniuszu i olbrzymia, sześćkroć stotysięczna armia, przeważą na szali; że zwycięstwo, odniesione nad Niemnem, przetnie splątany węzeł dyplomatycznych trudności, które może zbytnie

sobie lekceważył; że wówczas wszyscy monarchowie europejscy, olśnieni świetnym blaskiem gwiazdy cesarskiej uchylą przed nim czoła, że będzie gorzał jako słońce w otoczeniu satellitów.

9-go maja 1812 roku Napoleon—dotychczas zwycięzca,—opuścił pałace cesarskie, do których powrócić miał w niedalekiej przyszłości zwyciężony i znękanym.

Z Paryża do Drezna otaczał go wonny dym kadzideł. Pokonani i ujarzmieni, Niemcy—bądź to z poczucia miłości własnej, bądź też wskutek upodobania do niezwykłych zjawisk, gotowi byli uznać Napoleona za istotę nadprzyrodzoną. Ulegając z pewnem zdziwieniem ogólnemu prądowi, te poczciwe ludy szczerze staraly się uwierzyć w narzucone im przymusowo zewnętrzne objawy nieistniejących uczuć.

Tłumnie ciśnięto się wzdłuż drogi, którą przebywał cesarz. Książęta opuszczali stolice swoje, wypełniając po brzegi miasta, w których zatrzymać się miał, choćby tylko na krótko, przepotężny arbiter wspólnych ich losów. Cesarzowa towarzyszyła Napoleonowi wraz z licznym dworem. Barwny ten i świetny pochód przypominał raczej tryumfalny powrót zwycięzcy, aniżeli wędrówkę ku niepewnej przyszłości, ku dalekim i strasliwym pobojowiskom rozstrzygającej walki. Nie w ten sposób Napoleon gotował się być niegdyś do boju.

Życzenie jego, iżby cesarz austriacki, kilku królów i liczni udzielnicy książęta powitali go w Dreźnie, spełnione zostało w zupełności; przybyli wszyscy, bądź to z wyrachowania, bądź

też z obawy; jedyną zaś pobudką, która kierowała Napoleonem, była chęć upewnienia się o swojej wszechmocy i zadokumentowania jej w oczach Europy.

Dzięki spowinowaceniom ze starożytnym domem Habsburgów, zjazd ten przybrał niejako cechy uroczystości rodzinnej. Sądził Napoleon, że świetność tego zjazdu stanowić będzie rażąca sprzeczność z osamotnieniem cara, który być może złąknie się swego opuszczenia. Że nadto, obecność w Dreźnie sprzymierzonych monarchów upewni Europę, iż zamierzona wojna jest istotnie wojną ogólnoeuropejską.

Tam więc—w centrum Niemiec—zatrzymał się nieco dłużej z małżonką swoją—córką imperatorskiego rodu—i licznym dworem. Na wieść o jego przybyciu, zbiegły się zewsząd nieprzebrane tłumy: magnaci i nędzarze, szlachta i lud, przyjaciele i wrogowie. Ruchoma ludzka fala zalała drogi, ulice i place. Z namiętym uporem, ze wzrokiem utkwionym w okna i wierzaje królewskiego pałacu, wyczekiwano dniem i nocą ukazania się przelotnej, a niezapomnianej wizyi. Niczem był dla tego tłumu olśniewający blask korony cesarskiej, niczem świetność i przepych dworu i generalicyi. Napoleona jedynie chciano oglądać, by zapamiętać na zawsze nieprzeniknione jego oblicze, by móżdżek później opowiadać o nim mniej szczęśliwym rodakom, dzieciom i wnukom.

Poeci czynili zeń pół-boga; ludy całe składały korny hołd geniuszowi jego i potężde.

Bardziej jeszcze zdumiewający widok przedstawiała antykamery cesarskie. Na równi z in-

nemi, czekały na audyencyę ukoronowane głowy, widniejące tu i ówdzie wśród barwnej mozaiki wojskowych mundurów, a tak dziwnie zmalę, z takim dworactwem chylące się za każdym skrzygnięciem drzwi do gabinetu Napoleona, że nieraz oficerowie musieli przestrzegać się wzajemnie, by nie urazić mimowoli tych niezwykłych pochlebców. Obecność Napoleona, przewaga jego nad wszystkim i wszystkimi — niwelowała wszelkie różnice. Być może, iż źle hamowana buta wojskowa niektórych naszych generałów zraziła wówczas obecnych w Dreźnie królów i książąt; nie należy jednak zapominać o tem, że zwycięzca zawsze równy jest zwyciężonemu, bez względu na dostojność jego i znakomite pochodzenie.

Tymczasem rozważniejsze jednostki przyglądały się z pewnem zaniepokojeniem temu osobliwemu widowisku. Szeptano po cichu, że tylko nadprzyrodzona istota mogła bezkarnie wszystko zmieniać i przekształcać; że jadem nienawiści dławili się już ci sami monarchowie, którzy niedawno najuniższej zapewniali Napoleona o niezmiennej swojej życzliwości; że poufne, nocne narady z ministrami i zausznikami niejednokrotnie przeplatane były objawami żalu i oburzenia. Każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, zwiększał rozgoryczenie. Jakżeż natrętnym wydawał się tym królom i książętom tłum, otaczający zwartem kolistkiem pałac Napoleona, podczas gdy własne ich rezydencje opustoszałe były i samotne, gdy odbieżeli ich wszyscy, własne nawet ludy! Przyjazd ich do Dreznia zwiększył jeno wpływ i urok Napoleona, uwydatnił świetność gwiazdy cesarskiej:

każdy okrzyk uwielbienia i podziwu dla cesarza dźwięczał dla nich złowrogo — przypominając własną niemoc, własną porażkę i poniżenie.

Z dniem każdym rosła tedy zawiść, wzma- gała się niechęć. Niebawem pod najbliższym pozorem wyjechał jeden z dostojnych uczestni- ków zjazdu, nie mogąc znieść już dłużej niewy- powiedziane przykrej dla niego sytuacji. Wśród pozostałych, szczególną nienawiścią — nieumie- jętnie skrywaną — odznaczała się cesarzowa austriacka, wnuczka księcia, zdetronizowanego niegdyś we Włoszech przez generała Bonaparte- go. Napoleon z uśmiechem na ustach, zręcznie rozbrajał uroczonego przeciwnika, niemniej jednak wdzięk i dowcip cesarzowej jednał jej coraz wię- cej zwolenników, coraz szerzej rozpleniał rzuco- ny drobną dłonią posiew niechęci i zawiści.

Marya-Ludwika przyczyniła się również mi- mowoli do zaostrenia już i tak naprężonych sto- sunków. Przepychem toalet i klejnotów starała się zaćmić wszystkie inne panie, co wzbudziło iście kobiecą zazdrość w sercu jej macochy, a jakkolwiek Napoleon nieraz skłaniał żonę do pewnych w tym kierunku ograniczeń, ostatecznie ustępował zawsze wobec próśb a nawet i łez. Pozatem, jakgdyby zapominając o własnej naro- dowości, Marya-Ludwika kilkakrotnie zraniła po- podobno miłość własną Niemców, przez nietaktowne porównywanie losów swojej dawnej i obecnej ojczyzny; Napoleon strofował ją z obowiązku ra- czej, aniżeli z przekonania: w głębi duszy cieszył się bowiem z uczuć patryotycznych cesarzowej,

a sutymi darami — pozornie przynajmniej — okupywał popełnione przez nią błędy.

Jedynym zatem rezultatem tego zjazdu była ogólna niechęć i rozgoryczenie. Napoleon tymczasem — czekając najspokojniej na ostatnie oddziały olbrzymiej swojej armii, która przejść miała przez terytorium mocarstw sprzymierzonych — zajmował się ze szczególnem zainteresowaniem sprawami bieżącej polityki.

General Lauriston, ambasador francuski przy dworze petersburskim, otrzymał rozkaz przedstawienia carowi decydujących propozycji. General Narbonne, adjutant Napoleona, udał się do Wilna do głównej kwatery rosyjskiej, aby zapewnić Aleksandra o pokojowych zamiarach Francji i, jak fama niesie, ściągnąć go do Drezna. Jednemu z księząt kościoła, głowie episkopatu w Malines, powierzono dyrektywę nad patryotycznymi porywami Polaków. Królowi Saskiemu, który lękał się utraty Wielkopolski, obiecana została sowita nagroda.

Dziwiono się wszelako i gorszono niepomiernie nieobecnością króla pruskiego na dworze cesarskim. Wkrótce jednak rozeszła się pogłoska o właściwej przyczynie tej nieobecności, przyczynie, którą miał być niemal, że wyraźny zakaz cesarza. Wobec grożącej mu niełaski, ulegając namowom jenerała Narbonne, Fryderyk przybył niebawem do Drezna. W pierwszej chwili, Napoleon — zirytowany — wzdragał się go przyjąć, lecz na skutek perswazyi Duroc'a, który przypomniał cesarzowi konieczność pozyskania sobie Prus prze-

ciw Rosyi, otwarły się gościnne bramy cesarskiego pałacu. Król pruski przyjęty został z wszystkimi, należnymi mu honorami. Wysłuchano łaskawie zapewnień jego o niezmiennej życzliwości i szczerem poświęceniu, którego dowody dał w rzeczy samej niejednokrotnie.

Podobno obiecano mu wówczas w zamian inwestyturę rosyjskich prowincyi nadbałtyckich, które okupować miały wojska pruskie. Nadto Napoleon miał, jakoby, zgodzić się na projekt małżeństwa jednej ze swoich siostrzenic z pruskim następcą tronu. Miało to być nagrodą za usługi, oddane przez Prusy w ciągu zamierzonej wojny. Tym sposobem, Fryderyk — jako aliant Napoleona — mógł utrzymać się przy władzy. Brak skądinąd dowodów, któreby stwierdzały, że koligacya z rodziną cesarza była istotnie równie pożądana dla króla pruskiego jak niegdyś dla następcy tronu hiszpańskiego.

Napoleon wszakże wyczekiwał jeszcze na rezultat negocyacyi Lauriston'a i Narbonne'a. Łudził się nadzieją, że pokona i zjedna sobie Aleksandra grozą niezwyciężonej dotychczas armii swojej i urokiem świetnego zjazdu drezdeńskiego. Kilka dni później, w Poznaniu, zwierzył się niejako z tych złudzeń generałowi Dessoles: „Skoro zjazd drezdeński nie skłonił Aleksandra do zawarcia pokoju, skłoni go do tego wojna“.

Preliminarya te i pertraktacye były w gruncie rzeczy nietyle usiłowaniem zawarcia pokoju, ile raczej podstępem wojennym. Napoleon pragnął albo uspić czujność Rosyan i doczekać się dyslokacyi pułków rosyjskich — a wtedy zgnieść

je i rozbić doszczętnie; albo też rozdmuchać butę i zarozumiałość armii carskiej i odrazu dojść do walnej rozprawy, której wyniki żadnych nie przedstawiały wątpliwości wobec znacznej przewagi sił francuskich. Tak w jednym jak i drugim wypadku — drogą zwycięstwa czy też podstępny — wojna byłaby wnet ukończona. Lecz misya Lauriston'a spelzła na niczem, a Narbonne zgola nieoczekiwane przyniósł wieści: „Nie zauważyłem w obozie rosyjskim — mówił generał — ani przygnębienia, ani też czczej fanfaronady. Z audyencyi u cara wywnioskowałem, że Rosya godzi się raczej na wojnę, aniżeli na haniebny pokój; że Rosyane unikać będą rozstrzygającej bitwy z równie groźnym przeciwnikiem, że naród cały gotów jest do najcięższych ofiar, aby tylko wojnę przedłużyć i zniechęcić do niej Napoleona“.

Cesarz — w owej chwili u szczytu potęgi i sławy — lekce sobie ważył zawartą w tej odpowiedzi przestrozę. Jeśli mam być zupełnie szczerym, dodać muszę, iż pewien magnat rosyjski przyczynił się również niemało do ugruntowania mylnych zapatrywań Napoleona; bądź to nieświadomie, na podstawie błędnych informacyi, bądź też rozmyślnie — upewnił cesarza, że Aleksander łatwo upadał na duchu, że cofał się przed lada przeciwnością. Na nieszczęście, wspomnienie licznych ustępstw cara w Tylży i Erfurcie utwierdziło jeno Napoleona w fałszywym tem mniemaniu.

Pobył w Dreźnie przeciągnął się do 29-go maja.

W końcu, znudzony hołdami Niemców, prag-

nać corychlej rozpocząć wojnę, Napoleon z Drezna udał się do Poznania, gdzie witali go najwybitniejsi przedstawiciele narodu polskiego; stamtąd podążył zaś nie do Warszawy, która w danym momencie leżała poza głównym terenem zamierzonej akcji, lecz do Torunia, w celu obejrzenia fortyfikacji, magazynów i załogi. W Toruniu ozwały się po raz pierwszy skargi miejscowej ludności polskiej, niemiłosiernie ograbianej i łzonej przez naszych aliantów. Napoleon nie szczędził królowi westfalskiemu nagany, a nawet i pogroźek. Lecz zarówno nagana jak i pogroźki ginęły bez echa wśród chaotycznej wrzawy nieprzebranego mrowia ludzkiego; zresztą wybuchy gniewu cesarza były zazwyczaj krótkotrwałe; ochłonawszy, załował zawsze uniesienia, i z właściwą sobie dobrocią niejednokrotnie starał się nagrodzić wyrządzoną przykreść; przytem — sam ponosił do pewnego stopnia odpowiedzialność za nieład i nadużycia, gdyż, o ile zapasy żywności obfite były i doskonale rozlokowane na przestrzeni między Odrą, Wisłą i Niemnem, o tyle dotkliwie odczuwano brak paszy i furazu. Już w owym czasie kawalerya nasza zmuszona była kosić zielone żyta i zrywać z dachów strzechy, aby wyżywić jako tako konie. Co prawda nie wszystkie pułki na tem poprzestały; skoro jednak dozwolono na jedno nadużycie, w jakiż sposób zapobiedz innym?

Opuściwszy Toruń, Napoleon jechał brzegiem Wisły, na Grudziądz i Marienburg. Ponieważ Grudziądz ważny był jako jedna z warowniejszych a nie oddanych do dyspozycji Francuzów fortec

pruskich, przeto cesarz wysłał oficera artylerii z kilkunastu puszkarzami, rzekomo dla robienia naboju, w rzeczy samej zaś, w innym zupełnie, tajemnym celu. Ekspedycja spełzła wszakże na niczem, wobec niezwyklej czujności licznej załogi.

W Marienburgu powitał cesarza marszałek Davout. Bądź to przez pychę, bądź też z innych pobudek, marszałek nie uznawał nad sobą nikogo, prócz Napoleona. Wyjątkowo wytrwały i uparty, o silnej, nieugiętej woli, nie znosił żadnego zwierzchnictwa, żadnej zależności, niczyim nie podlegał wpływom. W r. 1809, Davout, pozostający wówczas chwilowo pod dowództwem Berthier'a—wygrał bitwę i ocalił armię, tylko dzięki temu, iż nie usłuchał rozkazów swego wodza. Stąd śmiertelna nienawiść, wzrastająca w dniach pokoju nieustannie, lecz bez zewnętrznych objawów, dla tej prostej przyczyny, że Berthier mieszkał wtedy w Paryżu a Davout w Hamburgu. Otóż kompania rosyjska postawiła oko w oko obu przeciwników.

Znękany dwudziestu latami nieustannej pracy, Berthier starzał się już widocznie i słabł z dniem każdym. Począwszy od roku 1805, wstręt budziła w nim wszelka wojna. Militaryny talent jego polegał głównie na niezmiernie pracowitości i niezwyklej pamięci. Nie myląc się nigdy, mógł odbierać i rozsyłać—o każdej porze dnia i nocy—najróżnorodniejsze wieści i rozkazy. Lecz w danym wypadku sądził, iż przysługuje mu prawo wydawania rozkazów samodzielnych. To zachowanie się Berthier'a dotknęło i uraziło Davout'a.

Przy pierwszym tedy spotkaniu się, w obecności cesarza, który dopiero co przybył do Marienburga, doszło pomiędzy nimi do gwałtownej sprzeczki.

W uniesieniu Davout nie cofnął się nawet przed zarzutami nieudolności i zdrady. Padły obelżywe słowa. A gdy Berthier wyszedł, Napoleon — ulegając mimowoli podejrzliwym insynuacyom marszałka — zawołał: „Zdarza mi się niekiedy wątpić o wierności najdawniejszych moich towarzyszków broni; wówczas jednak takim żalem ściska mi się serce, że odpycham czempredziej te bolesne myśli“.

Podczas kiedy Davout nieopatrznie rozkoszował się poniżeniem swego przeciwnika, cesarz podążał ku Gdańsku wraz z palającym zemstą Berthier'em. Od tej chwili datuje się niepomysłny zwrot w karierze Davout'a, wbrew poświęceniu jego, niezaprzeczonej sławie i oddanym czasom tej wojny usługom. Mściwe intrygi Berthier'a; niczem nieusprawiedliwione faworyzowanie Murat'a, którego zuchwałość większe rokowała mu nadzieje; zepchnięcie na podrzędne stanowisko istotnie mężnego i rozumnego wodza; cała ta małostkowość, jadem prywaty zaprawna, zgubne wydać miała owoce. Napoleon wszelako nie martwił się, ani też nie gorszył tem współzawodnictwem swoich marszałków; zbytnia jedność byłaby go raczej niepokoiła.

12-go czerwca cesarz wyruszył z Gdańska do Królewca. W Królewcu, który był drugim punktem zbornym armii francuskiej, ukończona wreszcie została uciążliwa inspekcya olbrzymich

magazynów, zawierających nieprzebrane wprost zapasy żywności, broni i mundurów. Nie zanedbano niczego, aż do najdrobniejszych nawet szczegółów. Twórczy geniusz Napoleona skupił się wtedy całkowicie nad tą jedną, niezmiernie ważną i bodaj czy nie najtrudniejszą częścią przygotowań wojennych. Nie szczędził ani szczegółowych zleceń, ani rozkazów, ani pieniędzy; godzinami całymi, dniem i nocą dyktował odnośne instrukcje. W ciągu jednego tylko dnia pewien generał otrzymał z kancelaryi cesarskiej aż sześć depesz, tego samego tyczących się przedmiotu.

Między innymi, podkreślić należy następujące zdanie tekstu: „Wobec ogromu armii, zbraknąć musi koni, jeśli nie zostaną przedsięwzięte należyte ostrożności“. Dalej zaś: „Wszystkie furgony, prócz tych, które potrzebne są przy ambulansach, powinny być zużytkowane do przewozu mąki, chleba, ryżu, jarzyn i wódki. Wynikiem dotychczasowej mojej akcji będzie zgromadzenie w jednym punkcie czterystu tysięcy ludzi. Wówczas zaś nie możemy liczyć na mieszkańców danej okolicy, jeno na siebie i na własne zaprowiantowanie“. Zawiodły jednak wszelkie rachuby: zbrakło wkrótce środków przewozu, a i cesarz sam dał się niebawem unieść własnemu zapalnemu temperamentowi.

I.

Przejście Niemna.

Napoleon skoncentrował wojska swoje w Polsce i Prusiech Wschodnich, między Królewcem i Gąbinem. Pod koniec wiosny r. 1812 odbył przegląd niektórych korpusów. Przemowy jego do żołnierzy wesołe były, częstokroć szorstkie i rubaszne; wiedział bowiem dobrze, że w stosunku do tych prostych, a jak stał hartownych ludzi, szorstkość jest szczerością, rubaszność—siłą, wyniosłość — pańskością; że przeciwnie, salonowe formy i wykwint obejścia uważane są przez nich jako objawy płochości i zniewieściałości; że miodowe słówka brzmią w ich uszach, jak obca — równocześnie niezrozumiała i śmieszna gwara.

Przyjętym przez się zwyczajem, pieszo obchodzi szeregi. Pamięta doskonale kiedy i w jakich kampaniach brał udział każdy pułk. Interpeluje najstarszych żołnierzy, przypominając im ubiegłe lata: Piramidy, Marengo, Austerlitz, Jenę, Friedland. Ze wspomnieniem łączy niekiedy szor-

stką pieszczotę, a stary wiarus — wzruszony, pijany dumą, spogląda z góry na młodszych, mniej zasłużonych kamratów!

Napoleon zaś idzie dalej, nie pomijając nikogo, aż do najmłodszych rekrutów, którym szczególnie okazuje zainteresowanie; znane mu są najdrobniejsze ich potrzeby; z iście ojcowską troskliwością wypytuje się o wszystko: o żołd i zwierzchników, o pożywienie i ubranie; przegląda nawet zawartość ich tornistrów.

Dotarłszy wreszcie do środkowych szeregów— informuje się o stanie listy służbowej i o najgodniejszych kandydatach na wakujące stopnie. Sam wypytuje kandydatów: ile lat służby? ile odbytych kampanii? wiele razy ranny? gdzie odznaczył się? Poczem niezwłocznie mianuje ich oficerami, asystując osobiście przy odnośnych formalnościach. Wszystko to podnosi jego urok i zjednywa mu serca żołnierzy. Szorstkie głosy szepcą wśród szeregów, że ten mocarz nad mocarzami, który całą ujarzmił Europę i wszystkim ludom przewodzi, interesuje się dobrotliwie każdą drobnostką, losu żołnierzy dotyczącą; że jest dla nich ojcem i tak jak ojciec czuwa nad dźwiatwą swoją. W ten sposób powstał kult wojny i sławy, i bałwochwalcza cześć dla osoby cesarza!

Tymczasem, armia posuwała się od Wisły ku Niemnu.

Sięgaliśmy już granicy rosyjskiej. Armia cała rozciągnięta była wzdłuż Niemna, na znacznej przestrzeni. Najpierw, na skraju prawego skrzydła, trzydziestoczwartotysięczny korpus Austriaków Szwarzenberga, który przybył tu z Galicyi

przez Drohiczyn; na lewym jego flanku, idący od Warszawy na Białystok i Grodno — korpus króla westfalskiego, złożony z siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy dwustu Westfalczyków, Saksończyków i Polaków; obok niego, w pobliżu Maryampola i Pilonów, stał wice-król włoski na czele siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy pięciuset Bawarczyków, Włochów i Francuzów; dalej jeszcze — sam cesarz i dwieście tysięcy ludzi pod dowództwem króla neapolitańskiego, ks. Eckmühl, ks. Gdańskiego, książąt: Istrii, Reggio i Elchingen. Przybyłe z Torunia, z Marienwerder i z Elbląga korpusy te zeszyły się 23-go czerwca nieopodal Nogaryska, o milę powyżej Kowna. Na skraju lewego skrzydła, wprost Tylży, stał korpus Macdonald'a, trzydzieści dwa tysiące pięciuset ludzi — Prusaków, Bawarczyków i Polaków.

Wszystko było w pogotowiu. Od brzegów Gwadalkiwiru i zatoki Kalabryjskiej aż po Wisłę ściągnięto sześćkroć siedemnaście tysięcy ludzi, z których czterysta osiemdziesiąt tysięcy stało już wzdłuż linii nadniemeńskiej; prócz tego — sześć kompletnych ekwipaży pontonowych, z których jeden obłęzniczy; kilkanaście tysięcy wozów z żywnością; nieprzeliczone stada wołów; tysiąc trzysta siedemdziesiąt dwa dział, oraz mnóstwo jaszczyków z amunicją i furgonów ambulansowych.

Wielka armia dążyła tedy ku Niemnu trzema oddzielnymi partjami.

Król westfalski, na czele ośmiudziesięciu tysięcy ludzi, posuwał się ku Grodnu; wice-król włoski, z sześćdziesięciotysięcznym korpusem — ku Pilonom; Napoleon — z dwustu tysiącami lu-

dzi — ku Nogarysku, folwarkowi położonemu o milę powyżej Kowna. 23-go czerwca kolumna cesarska doszła przed świtem do Niemna, który w tem miejscu krył się wśród wzgórz i gęstego pilwiskiego lasu.

O godzinie 2-iej z rana, Napoleon, jadący dotąd powozem, dosiadł konia. Pięć miesięcy później, nocą również — lecz znękany, zwyciężony — przepłynąć miał znów tę samą pamiętną rzekę. Owóz, gdy dojeżdżał do Niemna, koń nagle zwinął się pod nim i wysadził go z siodła. Jakiś głos zawołał: „Zła to wróżba; Rzymianin cofnąłby się!” — Niewiadomo, kto wyrzekł te słowa: sam cesarz, czy też ktoś ze świty cesarskiej.

Ukończywszy rekonesans, wydał rozkaz, tycający się budowy mostów: nazajutrz, o zmierzchu, trzy mosty stanąć miały w pobliżu wsi Ponienien. Resztę dnia spędził cesarz w swojej kwaterze, bądź to w namiocie, bądź też pod gościnnym dachem polskiego dworku, szukając napróżno spoczynku, zgorączkowany, znużony niewywcześnie i niezwykłym upałem.

Z nadejściem nocy skierował się znów nad rzekę. Najpierw przepawiło się łódką kilku saperów. Zdziwieni panującą dookoła ciszą, wylądowali na rosyjskim brzegu bez żadnej przeszkody. Z tej strony Niemna wszystko spokojne było, w mrokach nocy spowite, cichym uśpione snem. Po chwili dopiero zjawił się młody oficer kozacki, dowodzący nadbrzeżnym patrolem. Zjawił się samotrzeć, jakgdyby nieświadom tego, iż tam — za rzeką — stoją w bojowym szyku nieprzebrane

hufce wszystkich niemal ludów Europy. „Kto idzie”? — zapytał. „Francuzi” — brzmiała odpowiedź. „Czego chcecie? w jakim celu przekroczycie granicę?” — „Czego chcemy?... Bić się z wami!.. Zająć Wilno!.. oswobodzić Polskę!” — krzyknął jeden z saperów. Kozak zawrócił konia i znikł wkrótce w leśnej gęstwinie. Wówczas — uniesieni zapalem, trzej nasi żołnierze zdjęli z ramion karabiny. Huknęły trzy strzały... Huknęły i umilkły..

A słabe ich echo było jedyną zapowiedzią rozpoczynającej się — nieszczęsnej a wiekopomnej kampanii.

To pierwsze hasło bojowe zirytowało mocno cesarza. Skarcił surowo niewczesny wybryk żołnierzy. Trudno nam wszakże dociec, jakie pobudki kierowały nim: przezorność, czy też złowieszcze przecucie.

Natychmiast trzystu wołyżerów przeprowiło się przez rzekę dla ochrony mostów. Wówczas z lasu i z wąwozów wysunęły się równocześnie wszystkie kolumny francuskie. Szły w milczeniu, groźne, nieugięte, pod osłoną ciemnej nocy. Zakazano rozpalania ognisk, niecenia najdrobniejszych nawet światełek. Nad samą już rzeką pułki stanęły. Odpoczywano z bronią w rękę, jak w przededniu bitwy. Mokre od rosy, żytnie i pszeniczne łany — łożem były dla ludzi, strawą dla koni.

Przenikliwy chłód dobiegającej końca nocy letniej, cisza i mrok, który smutkiem zasnuwa dusze ludzkie, wreszcie bliskość niebezpieczeństwa — wszystko to wzmagало ponury nastrój

Otuchy dodawała jedynie nadzieja zwycięstwa. Szeptem powtarzano sobie najcelniejsze urywki ostatniej proklamacji Napoleona, a geniusz wojny płomiennem swoim tchnieniem rozpałał wszystkie wyobraźnie!

Przed nami leżała granica rosyjska, cel długiej i uciążliwej wędrówki, a za nią kraina, której podbój okryć nas miał nieśmiertelną chwałą. Zgorączkowane mózgi snuły barwną przedzę marzeń. Zdawało nam się, że słyszymy już radosne okrzyki Litwinów; że widzimy za rzeką tysiące błagalnie wyciągniętych ku nam dłoni, tysiące źrenic — płomiennych a łzawych; zdawało nam się, że naszem są już wszystkie serca tego gnębnego ludu, że pod każdą strzechą czekają na nas z serdeczną a głęboką wdzięcznością. Czemżeż był wobec tego trud bezsennej nocy?... Niebawem oto zbudzić się miał dzień, a wraz z nim wszystkie jego uroki. — Lecz światło dzienne ukazało nam pustą jeno, piaszczystą wydmę i posępne, liściastym gąszczem podszyte lasy. Wtedy oczy nasze spoczyły ze smutkiem na znużonych postaciach kamratów, na stratowanych łańcach i zdeptanej trawie. Wrótce jednak imponujący widok olbrzymiej naszej armii nową pokrzepił nas otuchą.

W odległości trzystu kroków od rzeki — na najwyższym pagórku, bielił się namiot cesarza. Dookoła zaś wszystkie wzgórza, stoki pagórków, jary i wąwozy zalane były ruchomą falą ludzi i koni. Gdy błysnęły pierwsze promienie słoneczne, ozwały się trąbki i trzy olbrzymie kolumny ruszyły ku trzem mostom. Jak potworne cielska ogromnych węzów — wiły się i pełzały

pośród niewielkiej piaszczystej równiny, poprzedzającej właściwe wybrzeże, coraz bliżej rzeki i mostów; niebawem głucho zadudniły deski, a po chwili pierwsze szeregi rozwijały się już na tej obcej ziemi, którą początkowo zagarnąć miały i spustoszyć, a następnie zasłać własnymi, krwawymi szczątkami.

Tak wielki był zapal, że doszło niemal do utarczki między dwiema dywizjami przednich straży, które usiłowały jednocześnie dostać się na przeciwległy brzeg. Z trudem zdołano zaledwie uśmierzyć wzburzonych żołnierzy. Napoleon pośpieszył również stanąć na terytorium rosyjskiem. Bez lęku ani też wahania stawiał ten pierwszy krok na drodze prowadzącej do zguby. Początkowo nawet osobiście doglądał przeprawy, obecnością swoją zagrzewając żołnierzy. Witano go zwykłym, entuzjastycznym okrzykiem. Iskrzyły się wszystkie oczy, płonęły lica. A cesarz stał zadumany i patrzył na przelewające się mrowie ludzkie... Może w owej chwili padł mu na duszę mroczny cień wątpienia; może dziwił się jeno, iż nic więcej nie ma już do zdobycia; lub też poprostu może osłabł chwilowo, zmożony bezsennością i upałem.

Wreszcie—zniecierpliwiony — ściągnął cugle i pomknął jak wiatr wąską leśną drożyną. Milę przeszło jechał lasem, wśród niezmaconej ciszy i zupełnej samotności. W końcu zawrócił znów ku rzece i brzegiem Niemna podążył wraz z gwardyą ku Kownu.

Głuchy huk wstrząsnął nagle powietrzem. Idąc, nasłuchiwaaliśmy w której stronie rozpoczy-

nała się bitwa. Lecz z wyjątkiem luźnych oddziałów kozackich, zarówno tego dnia, jak i następnych, walczyły z nami jedynie żywioły. Za ledwie bowiem cesarz przeprowił się przez rzekę — kędyś, daleko, zahuczał grom. Niebawem ściemniło się; zawyła wichura. Otaczająca nas pustka i brzemienne czarnymi chmurami niebo — posępny wytwarzały nastrój. Najwięksi nawet zapaleńcy spoglądali z zabobonną trwogą na zbliżającą się nawałnicę. Zdawało się, że z łona rozdzielanych błyskawicami chmur — ogniste węże spadały na ziemię jakgdyby broniąc ją przed naszym najazdem.

W ciągu kilku godzin, na przestrzeni pięćdziesięciu mil nadciągały zewsząd czarne i gęste chmury, sinawym mrokiem powlekając wystraszone tłumy. Wkrótce rozpętały się żywioły. Niebo prażyło ogniem, a chłostało ulewą. Woda pozalała drogi i pola; straszliwy upał przemienił się nagle w niemiły, przejmujący chłód. Padło wtedy dziesięć tysięcy koni, częściowo podczas marszu, głównie zaś na postojach. Wzdłuż piaszczystego wybrzeża porzucono mnóstwo wozów. Dzień ten wielu ludzi przyplaciło zdrowiem, a nawet i życiem.

Na początku burzy, cesarz schronił się do pobliskiego klasztoru. Wkrótce jednak ruszył dalej, ku Kownu, gdzie panował zupełny bezład i rozprężenie. Błyskawice i pioruny nie przstraszały już nikogo nie zwracano na nie żadnej uwagi. Jeśli burza — zwykle o tej porze zjawisko — zatrzymała nieliczne jednostki, ogół natomiast zachowywał się obojętnie. Powszechna niewiara — bądź to wyrozumowana, bądź też prostacka i bez-

myślna, gwałtowne żądze i namiętności, wzrastająca coraz bardziej ilość nieodzownych potrzeb, wszystko to oddalało duszę ludzką od nieba, kolebki jej i ostatniego przytułku. To też straszliwa owa burza na nikim właściwie nie wywarła głębszego wrażenia; zapatrywano się na nią jedynie, jako na niefortunny przypadek, względnie na powód do gniewu przeciw niebiosom, które tą drogą ostrzegały wówczas — świadomie, czy nieświadomie — przed niedolą i przed okropnością gniewu bożego.

Tegoż dnia zdarzył się w łonie armii nader smutny wypadek. Opoдал Kowna, Kozacy zburzyli na Wilji most, uniemożliwiając tem samem przejście korpusowi Oudinot'a. Napoleon — zirytowany nieoczekiwaną przeszkodą, lekceważąc ją tak, jak lekcewał wszystko, co stawało mu na zawadzie, rozkazał szwadronowi Polaków przebyć wpływ rzekę. Bez wahania wskoczyli dzielni żołnierze w spienione nurty.

Początkowo płynęli szeregami, niebawem jednak — na głębinie — zniosła ich fala. Przestraszone konie, szarpiąc się, usiłowały napróżno walczyć z wartkim prądem. Jeźdźcy dobywali ostatka sił, by dopłynąć i rozkaz spełnić, lecz wkrótce i oni również zanurzali się coraz bardziej, coraz widoczniej szli na dno. Nieuchronną była ich zguba, pewną — śmierć, lecz że na ojczyjstę ginęli ziemi, za sprawę wspólnej Matki, za jej zbawcę, więc, zwróciwszy nadludzkim wysiłkiem poblądle głowy w stronę Napoleona, z okrzykiem: Niech żyje cesarz! — zniknęli pod wodą. Trzej zwłaszcza okrzyk ten powtórzyli kilkakrotnie, nim pochłonęła

ich wzburzona topiel. Tysiące oczu, rozwartych grozą i uwielbieniem, spoglądało na ten bohaterski zgon!

Co się tyczy Napoleona, to wydał wprawdzie z całą precyzją odpowiednie polecenia i zarządził akcyę ratunkową, nie znać było jednak na nim żadnego wzruszenia: bądź to dzięki umiejętnemu panowaniu nad sobą; bądź to, iż podczas wojny uważał wszelkie wzruszenia za karygodny objaw słabości; bądź też wreszcie, że przewidywa większe nieszczęścia, wobec których niczem była utrata jednego szwadronu.

Z Kowna, w przeciągu dwóch dni, dotarł Napoleon do wąwozów, okalających w pewnej odległości Wilno. Lada chwila spodziewał się wiadomości od przednich straży. Sądził, iż Aleksander bronić będzie odwiecznej stolicy Litwy i cieszył się nadzieją walki i zwycięstwa. Lecz wbrew rachubom i życzeniu cesarza — bramy Wilna były otwarte. Rozczarowany i chmurny, nie szczędził nikomu wymówek; oskarżał swoich generałów o rozmyślne wypuszczenie z pułapki armii rosyjskiej; w uniesieniu, nie wahał się grozić nawet jednemu z nich, dzielnemu Montbrun'owi. Zarówno gniew ten, jak groźby, które zresztą nie pociągnęły za sobą żadnych skutków, w stosunku do Napoleona godne są raczej uwagi, aniżeli potępienia, stwierdzają bowiem niezbiejnie jak wielką wagę przywiązywał cesarz do rychłego zwycięstwa.

Mimo gniewu, cesarz zajął się osobiście ceremoniałem wjazdu do Wilna: na czele i na tyłach armii szły pułki polskie. Bardziej jednak poruszony nagłym odwrotem Rosyan, aniżeli obja-

wami radości i wdzięczności Litwinów, szybko przejechał przez miasto, kierując się czemprowadzej ku przednim strażom.

Skoro armia rosyjska cofnęła się wstecz, trzeba było podążyć jej śladem.

II.

Bitwa pod Ostrownem, wzięcie Witebska i Smoleńska, bitwy pod Walutyną, Połockiem i Wiaźmą.

Począwszy od Niemna, armia nasza nie ustawała w pościgu za Rosyanami. 25-go lipca Murat podążył na czele swojej jazdy ku Ostrownu. O dwie mile od tej wioski, szerokim traktem — brzozaami ocienionym, jechał rażno 8-my pułk huzarów pod dowództwem oficerów: Domon'a, du Cötlosquet'a i Carignan'a. Droga wiodła na szczyt pobliskiego wzgórza, na którem stał, w części tylko widny, korpus nierzyjacielski, złożony z trzech gwardyjskich pułków kawaleryi i z sześciu dział. Linia rosyjska całkowicie była odsłonięta.

Oficerowie 8-go pułku sądzili, iż poprzedzani są przez dwa regimenty tejże samej dywizyi, maszerujące na przelaj polami z prawej i z lewej strony drogi, a zasłonięte pniami i gałęzmi brzoza. Lecz w ciągu marszu oba te oddziały stanęły, 8-my zaś pułk, który poprzednio już znacznie był naprzód wysunięty, oddalał się coraz bardziej, mniemając, że widniejące w odległości stu pięć-

dziesięciu kroków szeregi — są szeregami bra-
tnimi.

Nieruchomość Rosyan podtrzymała złudze-
nie. Skądinąd wyraźnym był rozkaz atakowania.
Obawiając się tedy pomyłki, wysłano na zwiady
oficera, a pułk najspokojniej jechał dalej. Wtem
nagle huknęły strzały, zwałił się z konia oficer
i kilku z pośród towarzyszących mu żołnierzy.
Nie wahając się już dłużej, morderczym prażony
ogniem, pułk pognał w cwał na baterię. Strato-
wano i wybito kanonierów, zabrano działa, rozno-
sząc na szablach centrum linii nieprzyjacielskiej.
Poczem, nie zwlekając, uderzyli huzarzy na
drugi pułk, który tworzył prawe skrzydło rosyjskie.
A gdy popłoch wszczął się wśród Rosyan, gdy
trzeci pułk — wylękły — cofać się zaczął z pola
bitwy, ozwały się znów trąbki. Pod kopytami
końskimi jęknęła ziemia i niebawem zostały na
pobojowisku jeno niedobitki, trupy i ranni.

Zachęcony pomyślnym wynikiem walki, Mu-
rat przyparł nieprzyjaciela do lasów ostrownickich,
lecz gdy podążać chciał jego śladem, nieoczeki-
wany napotkał opór.

Pod każdym względem Ostrowno znakomitą
była pozycją. Wieś leżała przy trakcie, na wzgó-
rzu, lasem porosłym. Z lewej strony ciągnął
się rozległy i gęsty bór, z prawej — Dźwina;
z frontu bronił dostępu głęboki parów. Nieopodal
zresztą wznosiły się cenne dla Rosyan magazyny,
a trakt prowadził do Witebska, stolicy tej połaci
kraju. Czempredziej też nadciągnął do Ostrowna
Osterman ze swoim korpusem.

Tymczasem, Murat — równie waleczny dzisiaj, jak i niegdyś, równie nieopatrzenie narażający własne życie — postanowił za wszelką cenę przełamać opór nieprzyjaciela i zdobyć las, ustawicznie ogniem ziejący. Lecz niebawem zrozumiał, że walka długa będzie i zawzięta. Rosyanie atakowali z kolei pozycję, zajęta początkowo przez 8-my pułk huzarów; z konieczności zatem czoło kolumny francuskiej, składające się z dywizji Bruyères'a, i Saint-Germain'a 8-my pułk piechoty, odpierać musiało całą armię nieprzyjacielską.

Broniono się tak, jak zwykli bronić się zwycięzcy — atakując. Napróżno wysuwały się z lasu, szarżujące rzekomo, korpusy nieprzyjacielskie: kawalerya musiała wnet cofać się pod osłonę drzew; piechota, szablami rąbana, uciekała w płochu. Znużenie ogarniało już wszakże nasze pułki, gdy nadciągnęła dywizya Delzons'a. Murat skierował ją niezwłocznie ku prawemu skrzydłu, aby uniemożliwić odwrót nieprzyjacielowi, który zatrwożył się i zaniechał dalszej walki.

Wspomniane powyżej wąwozy i jary ciągną się na przestrzeni kilku mil. Tegoż samego dnia, wieczorem, wojska wicekróla połączyły się z korpusem Murat'a. W ciągu nocy siły Ostermann'a wzrosły w trójnasób dzięki przybyciu korpusów Pahlen'a i Konownicyna. — Nazajutrz zaś, skoro świt, nowa zawrzała bitwa. Zabezpieczywszy się od lewego skrzydła rosyjskiego, obaj książęta francuscy wyznaczali już swojemu prawemu skrzydłu pozycję, z której pułki ruszyć miały do boju i która miała być jednocześnie dla nich punktem

oparcia, gdy wtem nagle ozwała się z lewego flanku głośna wrzawa; to Rosyane — ośmieleni dwukrotnem odparciem kawaleryi i piechoty naszego skrzydła — tłumnie wysypywali się teraz z lasu, dzikie wznosząc okrzyki. W owej chwili zapal i męstwo ożywiały szeregi rosyjskie, zwątpienie i bezradność ogarnęły zawsze i wszędzie zwycięskich dotychczas Francuzów.

8-my pułk i batalion Kroatów napróżno usiłowały oprzeć się przeważającym siłom; topniały jeno coraz bardziej, zaścielając ziemię stosami trupów i rannych; pod pozorem ratowania i przenoszenia rannych, częstokroć rany symulując, zdrowi i silni licznie opuszczali szeregi. Widmo porażki unosiło się nad nami. Wśród ogólnego rozprężenia, przez nikogo nie podtrzymywana, cofać się już zaczynała artylerya, najwytrwalsza i najbardziej doborowa broń. Chwilę jeszcze, a wszystkie pułki, rozbite i zdeorganizowane ucieczką — spotkałyby się w ciasnej gardzieli wąskiego jaru; wówczas zaś próżnemi byłyby groźby i nawoływania oficerów, bezcelowem — największe nawet męstwo.

W owym momencie Murat — wzburzony przebiegiem walki — stanął osobiście na czele pułku ułanów polskich, którzy zarówno pod wpływem ognistej przemowy króla jak i nieprzejednanej nienawiści względem Rosyan, cwałem ruszyli do ataku. Podobno Murat chciał jedynie poprowadzić ich w wir walki; nie wypadło mu brać w niej czynnego udziału, gdyż jako naczelny wódz, obowiązany był wszystko widzieć i wszystkiem kierować; lecz na znacznej przestrzeni lance ułanów polyskiwały za nim zwartą gęstwiną, a ko-

nie mknęły jak wiatr. Nie mógł więc ani usunąć się na bok, ani zatrzymać. Pierwszy tedy wpadł na szeregi rosyjskie i bił się na równi z innymi, niepomny godności swojej, ze zwykłą sobie zachwałą odwagą.

Równocześnie, generał d'Anthouard zagrzewał do walki swoich kanonierów, a generał Girardin poprowadził 106-ty pułk przeciw prawemu skrzydłu rosyjskiemu i wyparł je z pozycji, zabierając mu dwa działa. Z przeciwległej strony, gen. Piré obszedł nieprzyjaciela z lewego flanku i zmusił go do odwrotu. Rosyjanie cofnęli się w mroki leśne.

Mimo to wszakże bronili uparcie gęstego lasu, którego nader wysunięta pozycja przerywała ciągłość naszej linii bojowej. 92-gi pułk, zaskoczony zięjącym z lasu ogniem, gradem kul zasypany, stał nieruchomo, nie śmiejąc ani atakować, ani też cofać się. Sercem żołnierzy miotały dwojaki, najzupełniej sprzeczne uczucia: trwoga przed niebezpieczeństwem i obawa hańby. Rosyjanie szerzyli tymczasem w szeregach straszliwe spustoszenie. Lecz gen. Belliard, w ślad którego podążył wkrótce gen. Roussel, tak umiejętnie podniósł ducha w żołnierzach, że po krótkiej walce las zdobyto.

Dzięki temu, znaczny oddział nieprzyjacielski, który starał się obejść lewe nasze skrzydło, został nagle odsłonięty. Dostrzegłszy, go Murat ruszył pierwszy ze wzniesioną szablą w dłoni, wołając: „Za mną, wiara!” — Liczne jednak jary i parowy ułatwiły Rosyanom odwrot: cofnęli się wszyscy w głąb rozległego lasu, który ciągnął się

na przestrzeni dwóch mil i był ostatnią zasłoną, kryjącą przed nami Witebsk.

Po tak uciążliwej i zażartej bitwie, zarówno król neapolitański, jak i wicekról włoski, obawiali się iść dalej, gdy nadciągnął cesarz. Wysłuchawszy złożonego mu przez obu książąt raportu, Napoleon udał się przedewszystkiem na szczyt najwyższego i najbardziej wysuniętego ku nieprzyjacielowi wzgórza. Z wyniosłości tej geniusz jego wzniosł się orlemi loty ponad wszystkie te przeszkody, przeniknął tajemniczy gąszcz posępnych lasów i zwartość sinawych, dalekich wzgórz — i, nie wahając się, odnośnie wydał rozkazy. Dwa lasy, o które poszczerbiła się moc Murat'a i wicekróla, zostały niebawem przebyte i tegoż jeszcze dnia — o wieczornym mroku — mieszkańcy Witebska dojrzeć mogli wśród okalającej miasto równiny ciemne sylwetki naszych strzelców.

Powstrzymała tutaj cesarza noc, tysiące ognisk nieprzyjacielskich biwaków, nieznamość terenu, potrzeba wywiadów dla należytego rozlokowania dywizji, wreszcie zwłoka, spowodowana wąskością jaru, przez który pułki kolejno wydostawały się na równinę. Odpoczynek był zresztą konieczny, tak dla ludzi, jak i dla koni. Napoleon spędził noc pod namiotem, na pagórku, położonym z lewej strony traktu, opodal wsi Kukowiacze.

Nad ranem, 27-go, ukazał się cesarz na forpocztach. Dzienny brzask dozwolił mu ujrzeć wreszcie armię rosyjską na płaskowzgórzu, które góruje nad wszystkimi drogami, wiodącymi do Wi-

tebska. Rzeka Łuczyssa, głębokim płynąca ko-
rytem, okalała tę niezwykle silną pozycję. W pe-
wnej odległości od rzeki, dziesięć tysięcy jazdy
i nieco piechoty zdawało się bronić doń przystę-
pu: piechota ustawiona była częściowo w cen-
trum, wpoprzek traktu, częściowo w lesie, na le-
wym skrzydle; cała zaś kawalerya — na prawym
skrzydle, o Dźwinę oparta.

Czoło armii rosyjskiej nie godziło już wprost
w naszą kolumnę, lecz nieco na lewo; a zmie-
niło kierunek, idąc brzegiem rzeki, która
w tem miejscu oddalała się od nas nagłym skrę-
tem. Przeszedłszy wąwóz, który dzielił ją od te-
go nowego pola walki, kolumna francuska musia-
ła zatem zwrócić się na lewo, wysunąć ku przo-
dowi prawe skrzydło tak, aby utrzymać z tej stro-
ny kontakt z rzeką i stanąć naprzeciw szeregów
nieprzyjacielskich. Na skraju wąwozu, w pobliżu
mostu, odosobniony pagórek zwrócił był odrazu
uwagę cesarza: z pagórka tego obserwować mógł
obie armie, stojąc sam na uboczu—jak sekundant
podczas pojedynku.

Najpierw wysunęło się na płaskowzgórzu dwu-
stu wołyżerów, rodem z Paryża, wchodzących
w skład 9-go pułku piechoty liniowej. Skierowano
ich niezwłocznie na lewo, pobok Dźwiny, wprost
całej jazdy rosyjskiej. Z tyłu, za wołyżerami,
szedł 16-ty pułk konnych szaserów, oraz kilka
lekkich dział polowych. Rosyanie przyglądali się
obojętnie defiladzie naszych szeregów i czynio-
nym przez nas przygotowaniom do ataku.

Bezczyność ta była dla nas pomyślna. Lecz
król neapolitański, upojony tyłoma spojrzeniami,

ulegając wojennemu animuszowi, skierował szaserów 16-go pułku przeciw całej jeździe rosyjskiej. Z żalem i przerażeniem spoglądano na nieliczny oddział francuski, który—poprzez wyrwy i usypiska — przedostawał się z trudem ku nieprzyjacielowi. Niechętnie szli nieszczęśni żołnierze, ociągając się wobec niechybnej zguby. To też przy pierwszym natarciu ułanów gwardyi rosyjskiej — podali tyły; lecz przebyte dopiero co jary utrudniały ucieczkę; chwila jeszcze — a ziemia spłynęła krwią, ozwały się krzyki i jęki.

Murat—zrozpaczony—z szablą w dłoni rzucił się wówczas w odmet walki. A za nim runęło około sześćdziesięciu jeźdźców: oficerów i żołnierzy. Stanęli—zdumieni zuchwałym tym czynem ułani rosyjscy. Wprawdzie Murat o mało nie przypłacił życiem szalonej swojej odwagi, lecz pościg powstrzymał. Szczątki nieszczęsnego regimentu szaserów zdołały schronić się pod opiekuńcze skrzydło 53-go pułku.

Śmiała szarża ułanów rosyjskich dozwoliła im dotrzeć aż do stóp wzgórza, z którego Napoleon obserwował przebieg bitwy. Według przyjętego zwyczaju, bronilo cesarza kilkudziesięciu spieszonych szaserów gwardyi francuskiej. Celnymi strzałami odparli oni atak nieprzyjaciela. Cofając się, ułani napotkali owych dwustu wołyżerów—działwę Paryża,—którzy po ucieczce 16-go pułku pozostali sami na placu boju. Zawrzała walka. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę stronę.

Mniemano zobopólnie, iż nieuchronną jest zagłada szczupłej garstki piechurów. Oni wszakże nie zwątpili o sobie. Kapitanowie cofnęli się

przedewszystkiem wraz ze swojemi kompaniami pobok Dżwiny na teren wyboisty, gęstemi porosły krzakami, pełen dziur i rozpadlin. Obyci z wojną i jej wybiegami, zbiegli się wnet wszyscy na krótką a decydującą wobec groźnego niebezpieczeństwa rozprawę. I wszyscy — od najmłodszego gołowąsego rekruta, do starych, w służbie osiwiiałych wiarusów, oficerowie i żołnierze— spojrzeli po sobie, starając się wyczytać wzajemnie we własnych oczach to, co każdy z nich krył na dnie duszy. Lecz wszystkie twarze spokojne były, wszystkie oczy gorzały męstwem. Ogólną widząc ufność, każdy łacniej zawierzył własnym siłom.

Wykorzystano umiejętnie właściwości terenu. Próżnemi były wszelkie usiłowania ułanów rosyjskich: krzaki i rozpadliny zatrzymywały ich co chwila; długie lance przeszywały jeno powietrze. Przy wtórze świstu i warkotu kul, któremi prażyli ukryci za krzakami woltyżerowie, coraz gęściej padały ludzkie i końskie trupy, nowe tworząc przeszkody. Zniechęceni i zdziśiatkowani, Rosyanie zawrócili wreszcie i pognali ku swoim. Ucieczka ich, radosne okrzyki naszej armii, honorowe odznaki natychmiast przesłane przez cesarza najwaleczniejszym, uznania pełne słowa jego, które po całej rozbrzmiały Europie—wszystko to zwiastowało tym walecznym żołnierzom zdobytą przez nich chwałę. Sami nie oceniali dostatecznie jednak własnego bohaterstwa: piękne czyny zazwyczaj kryją się skromnie w cieniu, unikając wrzawy i rozgłosu. Bliscy śmierci lub

conajmniej niewoli, w tej samej prawie chwili — zwyciężali, blaskiem sławy promienni!

Zuchwała buta Rosyan, zajmujących obronną pozycję u bram gubernialnego miasta — zwiadła Napoleona. Sądził bowiem, iż poczucie honoru nie dozwoli im cofać się bez walnej bitwy. Mimo wczesnej pory—minęła zaledwie jedenasta—kazał zaprzestać walki, aby mózdz objechać spokojnie front całej linii bojowej i wszystko przygotować na dzień następny, do decydującej rozprawy. Nim jednak ucichły strzały, ulokował się na niewielkim pagórku, wpośród strzelców — i tam spożył naprędcę śniadanie. Z tego samego wzgórza ciekawie obserwował nieprzyjaciela, gdy zbłąkana kula zraniła stojącego przy nim żołnierza. Reszta dnia upłynęła na szczegółowych wywiadach i na wyczekiwaniu nie nadeszłych jeszcze korpusów.

Napoleon zapowiedział bitwę na dzień następny. Żegnając Murat'a, zawołał: „Jutro — o piątej — zabyśnie znów słońce z pod Austerlitz.” Słowa te tłómaczą nagle zaprzestanie walki w chwili, gdy zwycięstwo zdawało się na naszą przechylać stronę, gdy pułki nasze, zniechęcone i wyczerpane nieustannym pościgiem, dopadły wreszcie nieuchwytej dotychczas armii rosyjskiej. Murat, który napróżno wyglądał co dnia walnej rozprawy—wbrew opinii cesarza—utrzymywał, że Barclay dlatego jedynie przygotowywał się rzekomo do walki, aby ujść spokojnie pod osłoną nocy. Nie mogąc jednak przekonać Napoleona, rozłożył się obozem nad samym brzegiem Łuczyssy, oniemal wpośród wojsk rosyj-

skich. Pozycja ta, z której obejmował całe płaskowzgórze, z której mógł ewentualnie uczynić wycieczkę na przeciwny brzeg i zakłócić Rosyjanom odwrót—odpowiadała najlepiej awanturniczemu jego usposobieniu.

Murat był w błędzie, a jednak miał rację; Napoleon trafnie rozumował, a jednak omylił się. Człowiek bowiem jest zawsze igraszką losu. Cesarz przeniknął w zupełności zamiary wodza rosyjskiego. Istotnie, Barclay, sądząc, iż Bagration znajduje się koło Orszy i niebawem nadciągnie pod Witebsk, zdecydował się na walną bitwę. Lecz otrzymane wieczorem wieści o cofaniu się Bagration'a przez Nowy-Bychów na Smoleńsk — zmieniły całkowicie jego plany.

W rzeczy samej, 28-go o świcie, Murat zawiadomił cesarza, iż puszcza się w pogoń za Rosyjanami, o których już słuch zaginął. Napoleon wszakże nie dał się odrazu przekonać, twierdząc uparcie, że cała armia nieprzyjacielska jest w pobliżu i że wobec tego działać należy z wielką ostrożnością. Spowodowało to, oczywiście, znaczną zwłokę. Wreszcie dosiadł cesarz konia. Potrochu rozwiewały się jego złudzenia, a pierzchyły zupełnie, gdy stanął w pośrodku opuszczonego przez Rosyan obozu.

Obóz ten zdradzał niepospolitą znajomość sztuki wojennej, zarówno doborem terenu i symetrią poszczególnych kwater, jak ścisłym i wyłącznym przestrzeganiem obowiązujących przepisów, wzorowym porządkiem i czystością; nic nie zostawiono, o niczem nie zapomniano. Poza granicami obozu nie było żadnych śladów, nic, coby

wskazywało kierunek, w jakim zwrócili się Rosyanie. W porażce ich więcej było ładu, aniżeli w naszym zwycięstwie. Cofając się, świecili przykładem, z którego niestety! zwycięzcy nigdy nie korzystają: bądź to dlatego, że powodzenie zaślepia, bądź też, że niedola dopiero uczy rozumu i dawne wykorzystania przywary.

Jedynym wynikiem owego pościgu było ujęcie żołnierza rosyjskiego, którego znaleziono śpiącego pod krzakiem. Wkrótce potem wojska nasze wchodziły do Witebska.

Przeszukano napróżno wszystkie drogi. Nikt nie mógł dociec, dokąd udali się Rosyanie: w kierunku Smoleńska, czy też brzegiem, w górę Dźwiny. Ney podążył ze swoim korpusem ku Smoleńskowi, reszta zaś armii śladem dojrzanego w oddali luźnego oddziału kozaków. Brodząc po kostki w grząskim piasku, wśród tumanów kurzu, w słońcu i spiekocie, uszliśmy sześć mil. Noc zastała nas w pobliżu wsi Agaponowczyzny.

Podczas kiedy zmordowane i spotniałe pułki gasiły pragnienie mętną wodą z błotnistych kałuży, na wzgórzu, obok traktu, toczyły się pod cesarskimi namiotami ożywione obrady, w których brał udział cesarz, król neapolitański, wicekról i ks. Neuchâtel'u.

„Znów tedy — jak pod Wilnem — wymknęło mi się z rąk tyle upragnione, tak bardzo oczekiwane i nieodzownie potrzebne zwycięstwo. Doścignęliśmy wprawdzie tylne straże, lecz były one niemi istotnie? Czyż Barclay nie cofnął się raczej ku Smoleńskowi przez Rudnię? Czyż długo jeszcze trzeba będzie ścigać Rosyan, zanim

zmusi się ich do rozstrzygającej rozprawy? Potrzeba zorganizowania oswobodzonej Litwy, stworzenia magazynów i szpitalów, ustanowienia nowego punktu zbornego, gdzie mogłyby gromadzić się i wypoczywać strudzone oddziały, wreszcie ogrom linii bojowej, która rozwijała się w sposób wręcz zatrważający — wszystko to czyż nie powinno nakłaniać do zatrzymania się u granic starej Rosyi?"

W czasie narady Murat pokrył milczeniem utarczkę, która rozegrała się nieopodal Agaponowczyzny. Forpocztę nasze zostały rozbite: część jeźdźców zmuszona była uciekać pieszo, inni zaś zaledwie uchronić zdołali zmordowane i osłabłe konie. Interpelowany przez cesarza, generał Belliard oświadczył bez ogródek, że pułki wyczerpane są doszczętnie; że po sześciu dniach równie forsownych, jak dotychczas, marszów — wyginęłyby wszystkie konie; że wypoczynek nieodzownie jest potrzebny, zarówno dla ludzi, jak dla zwierząt.

Straszliwy upał, żar bijący od rozpalonych piasków — przeważały na szali. Cesarz — zmęczony sam i wyczerpany — uległ wreszcie rozumnym perswazyom. Armia francuska rozłożyła się wzdłuż Dźwiny i Dniepru, oraz na zawartej między temi rzekami przestrzeni: Poniatowski na czele pułków polskich w Mohylewie; korpus Davout'a w Orszy, Dubrownie i Lubowiczach; Murat, Ney, armia włoska i gwardya — między Orszą i Dubrowną z jednej strony, a Witebskiem i Surazem z drugiej; forpocztę w Ładach, Jankowie i Wielizu wprost korpusów Barclay'a i Bagration'a; oba bo-

wiem wojska rosyjskie, z których jedno, przeprawiwszy się przez Dźwinę, uciekało przed Napoleonem na Drissę i Witebsk, a drugie, przebywszy Berezynę i Dniestr, uchodziło z rąk Davout'a na Bobrujsk, Bychów i Smoleńsk—zdołały wreszcie w jedną połączyć się całość.

Pojedyńcze wielkie korpusy, odłączone od głównej armii, rozlokowane były w następujący sposób: na prawo, wprost Bobrujska, którego bronił dwunastotysięczny oddział Hoertel'a — generał Dąbrowski.

Na lewo, na trakcie, wiodącym do Petersburga, a bronionym przez trzydziestotysięczny korpus Wittgenstein'a—w Połocku i Białyczanach ks. Reggio i generał Saint-Cyr.

Uskraj lewego skrzydła, wprost Rygi i nieco na prawo, ku Dynaburgowi, wzdłuż rzeki Aa—Macdonald i trzydzieści ośm tysięcy Prusaków i Polaków.

Równocześnie Szwarzenberg i Régnier, na czele korpusów: saskiego i austriackiego, zajmowali w kierunku Słonima przestrzeń między Niemnem a Bugiem, osłaniając Warszawę i tyły Wielkiej Armii, niepokojone przez Tormasowa. Ks. Belluno nadciągał od Wisły z czterdziestotysięczną rezerwą, a Augereau gromadził w Szczecinie nowy, jedenasty z rzędu korpus.

W Wilnie, otoczony przedstawicielami kilku dworów europejskich, rządził ks. Bassano. Czynnie zajmował się sprawami Litwy, prowadził korespondencję z wszystkimi wodzami, przesyłał im otrzymywane od Napoleona instrukcje, posuwając nieustannie w głąb kraju nadchodzące wciąż

do Wilna zapasy żywności, oddziały rekrutów i maruderów.

Z chwilą, gdy cesarz zdecydował się na powyższy plan, powrócił wraz z gwardyą do Witebska. Wchodząc wieczorem 28-go lipca do swojej kwatery, odpasal szpadę, a, rzuciwszy ją porywczym na stół, mapami okryty, zawołał: „Zatrzymuję się tu; chcę poznać tutejsze warunki, skupić całą moją armię, wypocząć i zorganizować Polskę. Kampania r. 1812 jest już ukończona! Rok 1813—dokona dzieła!”

Wraz z zajęciem Litwy cel wojny został już właściwie osiągnięty, a jednak zaledwie rozpoczęta była kampania, zdobyto bowiem ziemię, lecz nie pokonano ludzi. Armia rosyjska nie była dotychczas naruszona: oba jej skrzydła, rozdzielone gwałtownością pierwszego starcia, połączyły się ponownie. Wbrew wszelkim przewidywaniom, mimo łagodnej, najpiękniejszej pory roku, Napoleon postanowił rzekomo nieodwołalnie zatrzymać się nad brzegami Dniepru i Dźwiny. Tem łatwiej zaś mógł innych w błąd wprowadzić, odnośnie do planów swoich i zamiarów, że sam siebie zwodził.

Nakreślono już na mapach linię obronną Francuzów: artylerya oblężnicza w pobliżu Rygi, o którą opierało się lewe skrzydło armii. Dynaburg i Połock silną obsadzone załogą. Witebsk i okalające go lesiste wzgórza, nader łatwe do ufortyfikowania—zajęte przez centrum. Od Witebska zaś ku południowi, od Berezyny aż po Dniepr, wśród trzęsawisk i moczarów—pojedyncze oddziały, broniące nielicznych przejść. Olbrzymią tę

linię zamykał od południa Bobrujsk, twierdza pozostająca dotąd w ręku Rosyan. Ostatnim atutem w grze był projekt masowego powstania ludnych prowincyi południowych; bitne oddziały partyzanckie wypędzić miały Tormasowa i przyłączyć się do armii Szwarzenberga. Jeden z najmożniejszych właścicieli ziemskich tych prowincyi, pan z dziada pradziada, duszą i ciałem przystał był odrazu do zbawców swojej ojczyzny. Jemu też z ramienia cesarza przypadło kierownictwo zamierzonej insurekcji.

W tym składzie rzeczy niczego nie powinno było zabraknąć: Kurlandya wyżywić miała Macdonald'a, Żmudź — Oudinof'a, żyzne równiny Białej Rusi—cesarza, prowincye południowe—resztę armii. Główne magazyny —skoncentrowane w Gdańsku — nie były zresztą zbytnio oddalone, wielkie depôt znajdowały się w Wilnie i Mińsku. Tym sposobem armia ściśle byłaby związana z oswobodzoną przez się krainą; wszystko zaś zgodnie by z nią współdziałało: gleba, rzeki, moczary, produkty i mieszkańcy.

Taki był plan Napoleona. Częstość przebiegał cesarz Witebsk i jego okolice, jakgdyby chcąc poznać dokładnie miejscowość, w której zamierzał osiedlić się na długo. Rosły w mieście budowle, powstawały różnorodne przedsiębiorstwa i zakłady. Wzniesiono między innymi trzydzieści sześć piekarni, które wypiekały jednorazowo dwadzieścia dziewięć tysięcy funtów chleba. Potrzeba upiększeń przyłączyła się niebawem do ściśle realnej i praktycznej działalności. Ponieważ stare kamienne domy psuły harmonię placu zamkowe-

go, cesarz nakazał gwardyi zburzyć je i gruzy z placu usunąć. Projektowano już rozrywki na sezon zimowy: sprowadzenie z Paryża aktorów, a z Wilna i z Warszawy uroczych spektakle.

Jasno świeciła wówczas przewodnia gwiazda cesarza. I nie byłaby zagasła, gdyby nie późniejsze niecierpliwe, szalone odruchy, które cesarz uważał za chwile genialnego natchnienia, a które przywiodły go do zguby!

Tegoż samego dnia, wobec liczego audytoryum, zwrócił się do jednego z administratorów z temi znamiennymi słowy: „Niechaj pan stara się wyżywić nas tutaj, gdyż nie mam zamiaru wstępować w ślady Karola XII!” — Niebawem wszakże czyny zadaly kłam słowom. Wszyscy dziwili się obojętności cesarza dla tak ważnego i trudnego przedsięwzięcia.

Umiarkowany ton pierwszych przemówień Napoleona nie zwiódł, coprawda, najbliższego jego otoczenia. Przypominano sobie, że gdy na widok opustoszałego obozu rosyjskiego i otwartych bram Witebska, oficerowie sztabu cieszyli się z równie łatwej zdobyczy, cesarz nagle zwrócił się ku nim i zawołał z gniewem: „Czy sądzicie, iż przybyłem z tak daleka po to jedynie, aby zająć tę rudę?” — Wiedziانو zresztą, że o ile cel zawsze jasno był wytknięty, o tyle plan zmieniał się zależnie od warunków i okoliczności, z szybkością, właściwą geniuszowi cesarza.

Napoleon ludził się nadzieją, iż otrzyma wkrótce od cesarza nowe propozycje pokojowe. Pozatem absorbował go stan armii, ogólna jej nędba i wyczerpanie. Trzeba było stać cierpliwie,

nim liczni chorzy i maruderzy zdołali dotrzeć: jedni do szpitali, drudzy do odnośnych korpusów; zwiększać równocześnie liczbę tych szpitali, gromadzić zapasy żywności, zakupywać konie, czekać wreszcie na ambulanse, artylerję i pontony, na tyły armii, posuwające się z trudem wśród piaszczystych równin Litwy. Dużo czasu pochłaniała również korespondencya z Europą. Ostatnią zaś — ważną przyczyną, która zatrzymywała cesarza u granic właściwej Rosyi, było niezwykle skwarne lato, żarem dyszące. Bo dziwny ten klimat nie zna w niczem miary: wysusza, albo zalewa, pali albo mrozi; ziemia ginie od posuchy, w słonecznym skwarze, lub kurczy się pod białym śnieżnym całunem i lodową powłoką; zdradziecka atmosfera lata północy, upalna, obezwładniająca, która czyni organizm tem wrażliwszy na jesienne szarugi i trzaskające mrozy styczniowe.

Cesarz odczuwał zapewne narówni z innymi ujemny wpływ klimatu. Lecz gdy wypoczął należycie, gdy dzień mijał za dniem, nie przynosząc żadnych wieści z głównej kwatery rosyjskiej, gdy wydane zostały najważniejsze rozkazy — jał niecierpliwieć się i zwykły, niewzruszony tracić spokój. Bądź to, że jako człowiekowi czynu, ciążyła mu beczynność i że przekładał raczej niebezpieczeństwo nad nudę wyczekiwania; bądź też, że uległ w owej chwili przemożnej władzy instynktu zaborczego, który u wielu jednostek silniejszy jest, aniżeli wszelkie inne uczucia: aniżeli radość posiadania lub nawet obawa zupełnej zagłady.

Wtedy to zwłaszcza prześladowała go ze

szczególniejszym uporem wizya zdobytej i ujarzmionej Moskwy: cel marzeń jego, kres wszelkich obaw i trudów. Należało spodziewać się, iż płomienny a niespokojny geniusz cesarza, do szybkiego nawykły działania, nie zechce wyczekiwać ośm miesięcy na zajęcie miasta, do którego można było dotrzeć w niespełna trzy tygodnie.

Nikt wszelako—na zasadzie ogólnoludzkich słabostek—nie powinien wydawać pobieżnych sądów o równie niepospolitej jednostce, nikt potępiać powziętego przezeń postanowienia. Ujrzymy niebawem do jakiego stopnia zewnętrzna polityka cesarza utrudniała i komplikowała militarną jego akcję; ujrzymy zależność ważnych i doniosłych czynów od drobnostek; ujrzymy losy Rosyi, zawisłe pod Moskwą od chwilowej niedyspozycyi cesarza.

Początkowo jednak—nawet przed samym sobą—nie przyznawał się do tak zuchwałych zamiarów. Lecz powoli, potrochu, jał nad nimi rozmyślać, ważyć wszelkie pro i contra, wątpić i wahać się, ulegając stopniowo coraz większemu rozdrażnieniu. Godzinami całemi błąkał się bez celu, z kąta w kąt, dręczony nieprzepartą pokusą. Nic nie było w stanie dłużej go zająć: rozpoczął jakąś pracę, po chwili rzucał ją i znów doń powracał; bębnił palcami po stole, pytał się o godzinę, obserwował niebo, stawał, bezmyślnie nucił coś pod nosem i znów zaczynał chodzić—zadumany, chmurny.

Pod wpływem wewnętrznej rozterki, spotkawszy kogokolwiek, stawiał mu kilka szorstkich, urywkowych pytań: „No i cóż? Zostaniemy tu? Czy pójdziemy dalej? Czy należy zatrzymywać

się na drodze chwały?” — I, nie czekając na odpowiedź, odchodził. Po za własnym swoim „ja” — zdawał się szukać spokojnej, wyrozumowanej decyzji.

Upadając wreszcie pod brzemieniem zwątpienia i niepewności, zmożony — mimo lekkiego odzienia — upałem i natężeniem umysłu, rzucił się na twarde polowe łóżko. W ten sposób spędzał w Witebsku znaczną część dnia.

Lecz gdy ciało wypoczywa, tem usilniej pracuje zazwyczaj umysł. „Tyle pobudek skłaniało go do zajęcia Moskwy! Takim bezmiarem nudy przerażała ewentualność spędzenia w Witebsku długich zimowych miesięcy! Czyż istotnie, on, zdobywca świata, zamiast atakować, zmuszony będzie bronić się? Czyż istotnie miałaby przypaść mu w udziale rola niegodna go, do której nie nawykł, która nie odpowiada żadną miarą zasadniczym cechom jego geniuszu?”

W końcu, nagle zdecydowany, unikając refleksji i głębszego zastanowienia, zrywa się czempredziej z łóżka. I, pochłonięty już całkowicie nowym planem, pochyla się nad mapami. A mapy ukazują mu Smoleńsk i Moskwę, wielką Moskwę, „święte miasto” — nazwy, które powtarza z upodobaniem, a które zdają się podsycać jeszcze gorącą w duszy jego żądzę podboju. Geniusz wojny roztacza nad nim ogniste swoje skrzydła, od krwi purpurowe: głos cesarza spiżowemi brzmi tony, oczy płoną, groźnie ściągają się brwi. Z całej — niewielkiej postaci, bije moc i majestat. Straszliwa koncepcja już gotowa: plan narysowany jest, powzięte postanowienie, wyznaczona

marszruta! Natychmiast, widoczna następuje zmiana: czoło cesarza wygładza się, łagodnieje wyraz twarzy, gaśnie ostry, fosforyczny blask oczu.

Zwraca się wówczas do najbliższego swego otoczenia, szukając uznania i aprobaty dla powyższej decyzji. Wszędzie jednak napotyka opór, różnorodnie objawiający się, zależnie od charakteru i usposobienia. Berthier perswadował, prosił, nawet płakał. Lobau i Caulaincourt wypowiedzieli się szczerze i otwarcie; pierwszy — z właściwą mu chłodną i wyniosłą szorstkością; drugi — zapalczywie, niemal gwałtownie. Wobec ogólnego protestu cesarz nie tail niezadowolenia swego i gniewu, a spoglądając chmurnie na Berthier'a i jednego z adjutantów — zauważył: „że zanadto wzbogacił swoich generałów, którzy myślą jedynie o rozkoszach łowiectwa i świetnych kalwakatach po ulicach Paryża, a którym zbrzydła już snąć wojna!” — Na takie oświadczenie nie było odpowiedzi. Każdy spuszczał głowę i rezygnował w milczeniu. Jednemu z generałów gwardyi powiedział cesarz w chwili rozdrażnienia: „Urodziłeś się na biwaku i umrzesz na biwaku!”

Duroc również przeciwny był projektowi cesarza; początkowo milczał uparcie, następnie zaś mówił jasno i zwięźle, czyniąc krótkie lecz nader trafne i rzeczowe uwagi. Napoleon odparł: „Iż zdaje sobie doskonale sprawę z zamiarów Rosyan, którzy pragną wciągnąć go w głąb kraju; lecz, że mimo to dotrzeć jeszcze musi do Smoleńska, na zimowe leże; że o ile na wiosnę r. 1813 — Rosya nie zawrze pokoju, będzie niechybnie zgubiona; że Smoleńsk stoi na straży

dwóch dróg: drogi do Petersburga i drogi do Moskwy; że należy zająć ten niezmiernie ważny posterunek, stamtąd zaś wyruszyć równocześnie ku obu stolicom: wszystko zburzyć w jednej z nich, wszystko zachować w drugiej...

„Że zwróci następnie oręż swój przeciwko Prusom, które zapłacą koszta wojny”.

Z kolei pytał cesarz o zdanie ministra Daru, człowieka niezwykle prawego, o nieugiętym i jak stał hartownym charakterze. W obecności jednego tylko Berthier'a, wszczęto sprawę pochodu na Moskwę. Narady trwały przeszło osiem godzin. Nagabywany przez Napoleona, Daru odpowiedział: „Że wojna taka nie byłaby wojną narodową; że ani import towarów angielskich do Rosyi, ani nawet odbudowanie Królestwa Polskiego—nie stanowią dostatecznie ważnych przyczyn do podjęcia równie dalekiej i ryzykownej wyprawy; że zarówno żołnierze, jak i oficerowie nie uznają konieczności takiej wojny; że wszystko przemawia zatem, aby zatrzymać się w Witebsku”.

Cesarz zachnął się:

„Krew nie została jeszcze przelana, a Rosya zbyt jest potężna, aby poddać się bez walki. Aleksander rozpocząć może preliminarya dopiero po walnej bitwie. Jeśli zajdzie tego potrzeba, dotrę aż do „świętego miasta” i tam zwyciężę. Pokój czeka na mnie u bram Moskwy. A jeśli wówczas jeszcze Aleksander trwać będzie w uporze, układać się będę z bojarami lub też z ludnością Moskwy, która o tyle liczną jest i oświeconą, aby zrozumieć dobrodziejstwa swobody

własny swój interes”. Poczem dodał: „Zresztą, Moskwa nie cierpi Petersburga; podobne zaś współzawodnictwo — w skutkach wprost nieobliczalne — łatwo będzie wyzyskać”.

Podniecany rozmową, cesarz zdradził zatem mimowoli najtajniejsze plany swoje i nadzieje. Daru odparł: „Że dotychczas, bądź to na skutek decyzji, bądź też chorób i głodu, kontyngens armii zmniejszył się już o jedną trzecią.

„Że jeśli w Witebsku odczuwano już znaczne braki, co będzie dalej?”

Po Daru zabrał głos Berthier: „Jeśli posuniemy się w głąb kraju, Rosyanie szarpać będą mogli dowoli oba, nazbyt wydłużone flanki naszej armii; gnębić nas będzie głód, a zwłaszcza sroga mroźna zima. Przeciwnie, zatrzymując się nadal w Witebsku, na długie zimowe miesiące, cesarz stałby się panem sytuacji; teren wojny z konieczności musiałby się przybliżyć, zamiast oddalać się coraz bardziej w mroczną, nieujętą dal”.

Cesarz słuchał uważnie wywodów Berthier'a i Daru; przerywał im niekiedy subtelnym argumentem, stawiając kwestyę w myśl pragnień swoich, lub też uchylając się przed zbyt trafnym zarzutem. Bez względu jednak na tok dyskusji, cierpliwie jej wysłuchał i cierpliwie na wszystko odpowiadał. Zarówno zaś w słowach jego, jak w wyrazie twarzy, w spojrzeniu jak w ruchach — przebijała się owa niezrównana dobroduszość i prostota, którą odznaczał się prawie zawsze w domowym pożyciu, a która tłómaczy dlaczego — mimo tylu nieszczęść — dotąd kochany jest przez

tych wszystkich, którzy otaczali go niegdyś zbliżka.

Niezbyt zadowolony z wyniku dyskusji, cesarz radził się jeszcze kilku innych generałów; lecz pytania, jakie im zadawał, brzmiały tak ostro i rozkazująco, że wszyscy niemal — żołnierze z krwi i kości, nawykli słuchać ślepo rozkazów swego wodza—również ulegli byli w obradach jak na polu bitwy.

Ogólnie zdawano sobie doskonale sprawę z faktycznego stanu rzeczy; pojmowano nieodzowną konieczność rychłego zwycięstwa i to także, że zwyciężyć mógł tylko cesarz. Niedola uszlachetniła zresztą armię; pozostały najlepsze, najtęższe jednostki, tak pod względem fizycznym, jak duchowym, krzepkie i hartowne. Dzielnych tych żołnierzy gnębiła niepomierne nuda oczekiwania i niewygody nędznych kwater. Myśl o dalszym pobycie na dotychczasowych leżach przejmowała ich wstrętem; odwrotu nie brali nawet w rachubę; jedynie zatem można było posuwać się naprzód.

Nie przerażały nikogo groźne nazwy Smoleńska i Moskwy. Ów niezmierny przestwór dalekiej nieznanej krainy, przez obce zamieszkałej ludy byłby, niewątpliwie, zatrwożył i odstręczył innych ludzi, wyrosłych w innych czasach i wśród innych warunków. Ci jednak lubowali się w niezwykłych sytuacjach, w trudach i niebezpieczeństwie; spróbowawszy już w życiu wszystkiego, łaknęli nowych, silnych a podniecających wrażeń.

Bezbrzeżną była wówczas duma i pycha, żą-

dza sławy, godności i dostojęństw. Zaiste, nieprzepartym i potężnym musiał być wpływ człowieka, który po bitwie pod Austerlitz zwrócił się do żołnierzy z temi słowy: „Pozwalam wam nadawać moje imię dzieciom waszym; a jeśli wyrośnie z pośród nich mąż godny tego, uczynię go spadkobiercą moim i następcą”.

Połączenie się obu skrzydeł armii rosyjskie nieopodal od Smoleńska, zmusiło jednak Napoleona do przybliżenia ku sobie poszczególnych korpusów. Wprawdzie nie padło jeszcze hasło bojowe, lecz wojna krążyła już w pobliżu, kusząc i wzywając do czynu.

Równocześnie niemal dowiedziano się w Witebsku o zwycięstwie forpoczt wicekróla pod Surażem i o porażce Sebastiani'ego, który — zaskoczony przez nieprzyjaciela w Jankowie nad Dnieprem — uległ przeważającym siłom.

Napoleon posłał wtedy do ks. Bassano pismo odręczne z poleceniem codziennego komunikowania Turcyi wiadomości o świetnych zwycięstwach armii francuskiej, bez względu na istotną prawdę. Chodziło bowiem o zerwanie pokojowych stosunków między Petersburgiem a Konstantynopolem. Osobiście doglądał jeszcze tej sprawy, gdy zjawili się w Witebsku przedstawiciele Rusi Czerwonej i uwiadomili Duroc'a o zawarciu między Turcyą a Rosyą traktatu w Bukareszcie. Traktat ten podpisany został przez Kutuzowa a ratyfikowany przez obu monarchów.

Wieść o traktacie niepomierne zmartwiła Napoleona. Nie dziwnem mu już było milczenie Aleksandra. Tem bardziej nieodzowną stawała

się potrzeba rychłego zwycięstwa. Rozrzucane po całej Rosyi proklamacye—prostackie odezwy, dla prostaków pisane — rozwiały ostatnie złudzenia. Przytaczam tu niektóre, celniejsze urywki tych proklamacyi: „Chytry i podstępny nieprzyjaciół grozi nam całkowitą zagładą. Waleczni nasi żołnierze pragną rzucić się na jego bataliony i roznieść je na szablach; lecz nie chcemy poświęcić ich na ołtarzu tego krwawego Molocha. Wszystkie ludy powstać powinny przeciwko swemu ciemńcy. Ze zdradą w sercu, a układnym uśmiechem na ustach, na czele niewolniczych legii swoich, przychodzi oto zakuwać nas w dyby. Wypędźmy to plemię szarańcze! W krzyż wpatrzeni, dzierżąc w dłoniach oręż, wybijmy kły temu ryczącemu lwu! Obalmy tyrana, przed którym rozpada się w gruzy ziemia cała!”

Zarówno obelgi te, jak zwycięstwa i przeciwności — pobudzają energię i czynność cesarza. Posuwanie się trzech kolumn Barclay'a ku Rudni, którą odsłoniła porażka pod Jankowem—i obronapozycya Wittgensteina, walną zapowiadały bitwę. Pozostawało zatem do wyboru: albo bitwa, albo też defensywa, niezwykle utrudniona przez znaczne przestrzenie, długa, przykra, krwawa, korzystna jedynie dla Rosyan.

Owóż Napoleon decyduje się. Decyzya jego, śmiała i wielka, lecz bynajmniej nie szalona, godną jest tytanicznego tego przedsięwzięcia. Cesarz oddala się wprawdzie od Oudinowa, lecz uprzednio wzmacnia go korpusem generała Saint-Cyr, oraz zakazuje mu połączyć się z ks. Tarentu. Sam zaś, jeśli dąży ku nieprzyjacielowi,

to równocześnie, ocierając się niemal o pułki rosyjskie, w największej wszakże tajemnicy, przynosi centrum linii operującej z Witebska do Mińska. Manewr cesarza tak znakomicie był obmyślony, oficerowie jego przyzwyczajeni do tak wielkiej słowności i precyzji, że w niespełna cztery dni, podczas kiedy zdumiona armia rosyjska napróżno wypatrywać będzie przed sobą Francuzów, Napoleon—na czele stu osiemdziesięciupięciu tysięcy ludzi—ukaze się nagle na tyłach i na lewym flanku nieprzyjaciela, który o tyle był zuchwałym, iż sądził, że uda mu się zejść z nienacka zwycięzcę z pod Wagram i Austerlitz.

10-go sierpnia Napoleon wydał rozkaz wymarszu. Cztery dni później cała armia stanąć miała na lewym brzegu Dniepru, około Ładów. 13-go — opuścił Witebsk, po dwutygodniowym pobycie.

15-go sierpnia, o godz. 3-ej, ukazało się na widokręgu Krasne, miasto o niskich, wyłącznie drewnianych zabudowaniach. Po krótkiej utarczce z rosyjskim oddziałem, który rozbito doszczętnie, marszałek Ney zajął Krasne. Nieco później, poza miastem, ujrzano cofające się dwie kolumny rosyjskiej piechoty—ogółem sześć tysięcy ludzi—i kilka szwadronów jazdy, które osłaniały odwrót. Był to korpus Newerowskiego. Mimo bohaterskiego oporu, musiał w końcu ustąpić, pozostawiając na placu boju tysiąc dwustu zabitych, tysiąc jeńców i osiem dział. W dniu tym, kawalerya francuska okryła się niespożytą chwałą; pod gra-

dem kul nieprzyjacielskich szła kilkakrotnie do ataku i ostatecznie przełamała opór Rosyan.

Po tej porażce, Newerowski schronił się do Smoleńska, niszcząc i paląc po drodze wszelki furaz. Oszczędzono jedynie domy mieszkalne.

Podczas kiedy Wielka Armia posuwała się lewym brzegiem Dniepru w górę rzeki, Barclay i Bagration — rozłożeni obozem między Dnieprem a jeziorem Kasplia, w pobliżu Jankowa — sądzili iż znajdują się nadal w obecności wojsk francuskich. Obaj wahali się; dwukrotnie ulegając namowom generał-kwatermistrza Toll'a, postanowili wtargnąć poza linię obronną Francuzów i dwukrotnie, zdumieni i przerażeni równie śmiałym zamiarem, zatrzymywali się w pół drogi. Zbyt chwiejni, aby własnym zaufać siłom, zdawali się wyczekiwać dalszego przebiegu wojny, względnie ataku z naszej strony.

Widok Smoleńska rozpałił w duszy marszałka Ney'a żądze walki i zwycięstwa. Bądź to, iż przypomniał sobie nie w porę epizody wojny pruskiej, w ciągu której przed szablami naszych żołnierzy otwierały się bramy warownych fortec, bądź też, iż początkowo chciał jeno przyjrzeć się dokładnie tej pierwszej twierdzy rosyjskiej, dość, że zbyt blisko się przybliżył i ugodzony został kulą w szyję. Rozgniewany, mimo morderczego ognia, jakim zionęła cytadela, skierował przeciw niej jeden ze swoich batalionów; padło niebawem trzy czwarte żołnierzy; pozostali przy życiu walecznie szli naprzód i dotarli aż do murów; lecz wkrótce musieli ustąpić, gęstym

trupem zaścielałając ziemię. O wielkiem choć bezcelowem ich bohaterstwie krótką zaledwie uczyniono wzmiankę. Z winy dowódcy napróżno polala się krew ludzka.

Zniechęcony tą niefortunną próbą, Ney cofnął się opodał rzeki, na piaszczyste, lasem porośłe wzgórze. Obserwował stamtąd miasto i okolice, gdy w tem nagle — na przeciwległym brzegu Dniepru — zamajaczyły w oddali niewyraźne kontury maszerujących pułków. Pobiegł czempredziej po cesarza i doprowadził go na szczyt wzgórza, chroniąc się wśród drzew i krzewów przed strzałami załogi fortecznej.

Wśród tumanów kurzu, ujrzał Napoleon długie, czarne kolumny, od luf i bagnatów połyskliwe, a które szły tak szybko, że zdawały się biegnąć. Był to Barclay i Bagation, razem około stu dwudziestu tysięcy ludzi, czyli cała niemal armia rosyjska.

Widząc to, uszczęśliwiony Napoleon klasnął w dłonie i zawołał: „Nareszcie! Mam ich w ręku“! — Nie ulegało żadnej wątpliwości, że nieprzyjaciel, który dążył właśnie do Smoleńska, bezpiecznego szukając schronienia, zaskoczony znienacka zmuszony będzie stoczyć wreszcie pod murami fortecy tyle upragnioną przez nas bitwę. Nadeszła więc chwila, w której rozstrzygnąć się miały losy Rosyi!

Niezwłocznie objeżdża cesarz front swojej linii, obsadza wszystkie pozycye. Davout i hr. de Lobau stają na lewym flanku korpusu Ney'a; w centrum — gwardya jako rezerwa; nieco dalej -- armia włoska; obok niej — Junot i West-

falczycy; lecz wskutek mylnie obranej drogi, Junot zablądził i nie stawił się na oznaczonym posterunku. Murat'a i Poniatowskiego, którzy tworzyli prawe skrzydło armii i poważnie zagrażali już miastu — odsunął na skraj poblizkiego lasu. Między lasem zaś a Dnieprem, pozostała pusta przestrzeń, równa i rozległa, przeznaczona na pole walki. Armia francuska, w ten sposób rozlokowana, opierała się na wszystkich niemal punktach o jary i przepaście. Napoleon nie myślał wszakże o odwrocie, jeno o zwycięstwie.

Bagration i Barclay biegli tymczasem co tchu do Smoleńska; pierwszy z nich — aby ocalić miasto, walną staczając bitwę; drugi — aby osłonić uciekających w popłochu mieszkańców i skutecznie ewakuację magazynów; obaj zdecydowani byli obrócić raczej Smoleńsk w perzynę, aniżeli wydać go w ręce Francuzów. Stanęli niebawem na wyniosłościach, wznoszących się na prawym brzegu Dniepru, tuż nad rzeką — i skonstatowali z radością, iż są jeszcze panami mostów, które łączyły oba brzegi i obie połowy miasta.

W owej chwili, Napoleon, ukrywszy za krzakami oddziały strzelców, w tyralierkę rozsypanych, jął szarpać nieprzyjaciela. Tym sposobem chciał przyciągnąć go na lewy brzeg i zapewnić sobie decydującą rozprawę na dzień następny. Wieść niesie, że Bagration byłby istotnie dał się wciągnąć w pułapkę, lecz że Barclay, oszczędzając mu pokusy, wysłał go do Jelni, sam zaś podjął się obrony miasta.

Według Barclay'a, większość wojsk naszych dążyła do Jelni, aby stanąć na tyłach armii ro-

syjskiej i zagrozić jej drogę do Moskwy. Jak wielu zresztą wodzów, mylił się wszelako, przypisując nieprzyjacielowi zamiary wręcz przeciwnie jawnym jego planom i manewrom; często — bowiem, obrona atakowana — pod wpływem trwogi i niepokoju — skłonna jest do przesady i widzi niebezpieczeństwo tam nawet, gdzie ono nie istnieje. Możliwym jest tedy, że Barclay, zmuszony stawić czoło groźnemu przeciwnikowi, gotował się do odparcia niezwyklej, gigantycznej akcji.

Sami Rosyanie wypominali później Napoleonowi dlaczego nie zdecydował się wówczas na wykonanie tego manewru. Lecz czy rozważyli dostatecznie, że, cofając się poza rzekę, poza twierdzę i armię nieprzyjacielską, aby odciąć Rosyjanom odwrót, cesarz byłby pozbawił się wszelkiej komunikacji z Europą, byłby odgrodził się od reszty swojej armii, od składów i magazynów? Śnać niepojęte są dla nich olbrzymie trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, jeśli wogóle dziwić się mogą, iż nie zostało ono dokonane w przeciągu dwóch dni, wśród nieznanej okolicy, przy współudziale blisko dwustu tysięcy ludzi, wobec innej — już rozpoczętej, a jeszcze nie ukończonej akcji.

Jakkolwiekbadź, wieczorem tegoż samego dnia, Bagration wyruszył w kierunku Jelni. Napoleon kazał rozbić namioty cesarskie w pośrodku pierwszej linii, na skraju wąwozu, okalającego miasto, oniemal, że w promieniu strzałów fortecznych. Poczem wezwał do siebie Davout'a i króla neapolitańskiego. Murat, który, począwszy od

brzegów Niemna, ścigał wciąż napróżno Rosyan, twierdził uparcie, że dostrzegł na przeciwległym brzegu ruch, zapowiadający odwrót, że wobec tego spodziewana bitwa nie dojdzie znów do skutku. Davout przeczył mu; cesarz zaś nie chciał nawet wątpić o tem, co było najgorętszem jego życzeniem.

Nazajutrz, 17-go, nadzieja rychłego zwycięstwa zbudziła Napoleona przed świtem, lecz głucho było i pusto na równinie, przeznaczonej przezeń na pole bitwy. Niemniej jednak łudził się w dalszym ciągu. Davout podzielał całkowicie zdanie cesarza. Dalton, jeden z generałów marszałka, widział pułki nieprzyjacielskie, jak wychodziły z miasta i stawały w bojowym jakoby szyku. Wiadomość ta utwierdziła Napoleona w powziętem mniemaniu, mimo usilnych perswazyi Murat'a i Ney'a.

Podczas gdy cesarz waha się i wyczekuje, generał Belliard — zniecierpliwiony zwłoką i niepewnością — zebrawszy garść jeźdźców, spycha w nurty Dniepru oddział kozacki. Dostrzega wówczas na przeciwległym brzegu, na trakcie, wiodącym ze Smoleńska do Moskwy, oddalającą się pośpiesznie armię rosyjską. Nie ulegało tedy żadnej wątpliwości, że Rosyanie cofali się. Wieść o odwrocie doszła natychmiast uszu cesarza, z zastrzeżeniem, iż poprzez Dniepr baterye nasze mogły jeszcze zakłócić wsteczny ruch nieprzyjacielski.

Belliard proponował nadto, aby część armii przeprowiła się wpław przez rzekę i odcięła odwrót tylnym strażom rosyjskim, które obowiązane

były bronić Smoleńska. Lecz żołnierze, wysłani na wywiad — szukając brodu — ujechali naprzódno dwie mile i utopili kilka koni. A jednak, o milę powyżej miasta — istniał szeroki i wygodny bród. Napoleon, który osobiście brał udział w poszukiwaniach, zwrócił był nawet konia w tym kierunku, niebawem wszakże, przebywszy kilka wiorst, zmęczył się i zawrócił.

Od tej chwili jął odnosić się do Smoleńska jako do przejściowego tylko etapu, który należało zająć niezwłocznie, jakimkolwiek bądź kosztem. Lecz Murat, ostrożny i przezorny ilekroć nie działała nań bezpośrednio obecność nieprzyjaciela, nie mogąc zresztą brać żadnego udziału w projektowanym szturmie, starał się odwieść cesarza od tego zamiaru.

Równie gwałtowny wysilek wydawał mu się zbędnym, skoro Rosyanie ustępowali bez walki. Co się zaś tyczyło dalszego pościgu — był mu najzupełniej przeciwny: „Skoro niechęcią bitwy, nie warto ich ścigać dalej, a wielki już czas zatrzymać się“.

Nieznany jest dalszy przebieg rozmowy. Słyszano jednak, jak opowiadał później król neapolitański, iż rzucił się do nóg bratu i błagał go o zaniechanie pościgu, lecz że Napoleon Moskwę jeno miał przed oczyma, w Moskwie — która będzie naszą zgubą — obiecywał sobie znaleźć zaszczyty, sławę i wypoczynek“.

Pewnym natomiast jest fakt, że bezpośrednio po burzliwej rozmowie ze szwagrem, zasępią i pobladła twarz Murat'a nosiła ślady cięż-

kiej zgryzoty; gwałtowne ruchy i powtarzana kilkakrotnie nazwa Moskwy — dopowiedziały reszty.

Na lewym brzegu Dniepru, w miejscu, skąd Belliard dostrzegł cofające się szeregi rosyjskie, ustawiono potężną baterię. W odpowiedzi — Rosyanie wytoczyli dwie baterie, liczniejsze i potężniejsze od naszych, druzgocąc co i raz celnymi strzałami nasze armaty, wysadzając w powietrze pękające z hukiem jaszczyki. W owo piekło — dymami zasnutę, ogniem ziejące — zwrócił konia król neapolitański i stał bez ruchu, pod gradem kul i kartaczy, mimo gorących próśb Belliarda. Zwątpił już snąć o wszystkim, a przewidując bliską klęskę, szukał śmierci, ażeby uniknąć ponizenia i sromu. Wówczas Belliard zwrócił uwagę jego na to, iż przez szalony upór swój naraża na niechybną zgubę tych wszystkich, którzy mu towarzyszyli. „Wracajcie zatem—odparł Murat— i zostawcie mnie samego“. Lecz gdy nikt nie drgnął nawet, król — choć gniewny i rozżalony — opuścił wreszcie to krwawe pole śmierci.

Wydano właśnie rozkaz szturm na całej linii. Ney atakować miał cytadelę; Davout i Lobau — przedmieścia, osłaniające mury miejskie. Poniatowski, stojący tuż nad Dnieprem, posunąć się miał z sześćdziesięciu działami w dół rzeki, do nadbrzeżnego przedmieścia, zburzyć mosty i odciąć załodze odwrót. Równocześnie, Napoleon rozwalić chciał główne mury przy pomocy artylerii gwardyi, która rozporządzała jedynie dwunastocalowemi, czyli nie dość silnemi działa-

mi. Artylerya nie usłuchała wszakże rozkazu; prażąc natomiast nieustannym ogniem kryte przejścia, oczyściła je zupełnie.

Wszystko powiodło się, prócz ataku Ney'a, który właściwie najważniejszą powinien był odegrać rolę, a którego nie poparto należycie. Nieprzyjaciel, zewsząd osaczony, cofnął się w popłochu w obręb murów, ginał każdy, kto nie zdążył schronić się pod osłonę dział fortecznych, lecz podczas tego szturm, śladem atakujących pułków naszych, krwią czerwoną spłynęła ziemia, tysiące oczu zawarło się na wieczny sen.

W jednym z bataljonów, który zwrócił się był flankiem do baterji rosyjskich, od jednego kartacza padło odrazu dwudziestu dwóch ludzi.

Tymczasem armia, rozlokowana amfiteatralnie na pobliskich wzgórzach, przyglądała się w zbożnem milczeniu swoim dzielnym towarzyszom broni; lecz gdy ujrzała ich jak biegli do ataku wśród świstu i warkotu kul — nieustraszeni, chwały żądni i boju — nieopisany zapal ogarnął płomieniem wszystkie serca: zerwała się burza oklasków. A echo tej radosnej wrzawy obilo się aż o uszy walczących, niosąc im hołd za trudy i przelaną krew. I, jakkolwiek wielkimi były straty, jakkolwiek w jednej tylko brygadzie — brygadzie Dalton'a — i wśród kanonierów Reindre'a — padł generał, pięciu szefów batalionu i tysiąc pięciuset ludzi, ci jednak, którzy pozostali przy życiu, mówili nieraz, że dosłyszany wówczas rozgłośny objaw uznania i podziwu wynagrodził ich sowicie za wszystko, co wycierpieli.

Zdobycie aproszy i fortów zewnętrznych

dozwoliło szeregom naszym schronić się przed strzałami dział fortecznych. Strzelanina wszakże nie ustawała; ciągly huk wstrząsał powietrzem. Wreszcie cesarz, znużony, zaprzestać chciał walki, lecz Davout usilnemi namowy nakłonił go do ponownego ataku. Tym sposobem, powtórzona została przez całą armię karygodna przewina Ney'a: pierwsza pozbawiła życia czterystu ludzi, druga—pięć do sześciu tysięcy.

Wraz z nadejściem nocy, Napoleon usunął się do swego namiotu, który rozbito tym razem w bezpiecznem miejscu — a hr. de Lobau, który uprzednio zajął był fosę, lecz nie mógł utrzymać się przy niej, bombardować zaczął miasto, aby zmusić nieprzyjaciela do ucieczki. Ujrzano wtedy, w kilku naraz punktach, wznoszące się słupy czarnego dymu, później snopy iskier, wreszcie krwawą czerwień licznych płomieni. Niebawem, skłębione morze ognia załało Smoleńsk; gorzało całe miasto; ze złowieszczym trzaskiem waliły się płonące budowle.

Mniemając, iż jest sprawcą pożaru, hr. de Lobau spoglądał z trwogą na rzekome dzieło swoje. Nieco dalej, wsparty o poręcz ustawionego przed namiotem krzesła, cesarz przypatrywał się w milczeniu rozszalałemu żywiołowi. A że niewiadoma była zarówno przyczyna jak i ostateczny wynik pożaru, przeto spędzono całą noc pod bronią.

Okolo godziny trzeciej zrana, pod-oficer z korpusu Davout'a przepelznął do muru i wdrapał się nań cichaczem. Osmielony panującą wszędzie ciszą, ruszył ku miastu pierwszą z brze-

gu ulicą. Wtem ozwało się kilka głosów, o wybitnie słowiańskim akcencie i Francuz, zaskoczony z nienacka — poleciał już duszę Bogu. Lecz dzienny brzask oświetlił znane mu i przyjazne twarze Polaków Poniatowskiego, którzy zajęli pierwsi miasto, opuszczone przez Barclay'a.

A gdy usunięto wreszcie gruzy i otwarto bramy Smoleńska, przy dźwiękach kapeli, hardo i buńczucznie mijał pułk za pułkiem krwawe i dymiące zgliszcza! Było to widowisko bez spektatorów, bezowocne zwycięstwo, krwią zbryzgane, pożarnymi dymami osnute wawrzyny!

Po okupacyi miasta i całkowitem niemal ugaszeniu pożaru, wobec niezbitych dowodów, które przekonały cesarza, iż zarówno tutaj jak nad brzegami Niemna, jak pod Wilnem i Witebskiem, zwodnicza wizya zwycięstwa — ponętna a nieuchwytna — raz jeszcze uszła ręk jego, Napoleon postanowił ścigać ją w dalszym ciągu.

Nieco powyżej Smoleńska, trakt, wiodący do Petersburga, nagle oddalał się od rzeki; dwie błotniste drogi — jedna w odległości dwóch, druga — czterech mil od Smoleńska — przecinały go z prawej strony i, zakreśliwszy wielkie kolisko, poprzez rozległe lasy, łączyły się z traktem moskiewskim; jedna w Bredyszynie, o dwie mile od Walutyiny, druga dalej jeszcze — w Słobniewie.

Przez jary te i wąwozy nie wahał się uciekać generał Barclay. Długa i ciężka kolumna jego, obciążona nadto setkami wozów i furgonów, musiała tedy przebyć oba łuki koliska, którego ciężką była droga ze Smoleńska do Moskwy, zaatakowana niebawem przez Ney'a. Tysiące drob-

nych a nieuniknionych przeszkód — przewracający się wóz, grzęznący w błocie koń, lub zerwana uprząż—zatrzymywało co chwila cały pochód. Równocześnie, ryk działfrancuskich coraz bliższy był, coraz wyraźniejszy; zdawał się niekiedy wyprzedzać kolumnę rosyjską, rozlegać się grzotem u wylotu wąwozu, który przebywały właśnie pułki Barelay.

Wreszcie, po uciążliwym marszu, czoło kolumny rosyjskiej wydostało się na trakt, podczas gdy Francuzi mieli jeszcze do zdobycia wyżynę Walutyny i przejście przez Kołowdnię. Ney zajął przebojem przejście przez Stubnię, lecz Korff—zmuszony cofnąć się ku Walutynie—przyzwał na pomoc poprzedzającą go kolumnę. Kolumna ta, bezładna, przez lichego prowadzona dowódcę — wahała się podobno; dzięki jednak perswazyom i wpływom Woroncewa, który oceniał należyście doniosłość utraconej pozycji — zawróciła wstecz.

Rosyjanie bronili się, aby ocalić działa rannych i bagaże. Francuzi atakowali w celu zagarnięcia wszystkiego. Napoleon zatrzymał się w odległości półtorej mili od Ney'a. Sądząc, iż tocząca się walka jest jeno utarczką przednich straży, wysłał Gudin'a dla poparcia marszałka, sam zaś zebrał pozostałe dywizye i powrócił do Smoleńska. Tymczasem utarczka przemieniła się niebawem w walną bitwę, w której kolejno brało udział przeszło trzydzieści tysięcy ludzi. Bili się wszyscy bez wyjątku: generałowie pospołu z żołnierzem. Walka krwawa była i zaciepła a przeciągnęła się do późnej nocy. Zdobywszy wreszcie wzgórze, kosztem wielu ofiar, osłabły, krwią zla-

ny, otoczony zewsząd stosami trupów i rannych, których jęki i żalosne skargi rozlegały się ponuro wśród nocnych mroków,—Ney kazał zaprzestać strzałów. Milczące szeregi nastawiły ostrza bagnetów. Rosyanie, zdumieni nagłą ciszą, umilkli również i cofnęli się powoli pod osłoną nocy.

Porażka ich oniemał równie chlubną była, jak nasze zwycięstwo. Obaj wodzowie spełnili swój obowiązek: jeden zwyciężył, drugi został wprawdzie pokonany, zdołał jednak uratować artylerię, bagaże i rannych.

Jeden z generałów rosyjskich, samotny w pośrodku tego krwawego pola śmierci, usiłował wydostać się z pomiędzy naszych szeregów, powtarzając słowa francuskiej komendy; poznano go wszakże przy odblasku nieustannych wystrzałów i wzięto do niewoli. Zginęło wielu wybitnych oficerów rosyjskich, lecz Wielka Armia stokroć cięższą poniosła stratę. Przy przejściu źle naprawionego mostu na Kołowdni, w chwili, gdy generał Gudin, którego rozumne męstwo unikało bezcelowego narażania się, który zresztą nie żywił do koni zbytniego zaufania, zsiadał ze swego wierzchowca, zabłąkany tuż przy ziemi kartacz urwał mu obie nogi. Gdy smutna ta wiadomość doszła do cesarskiej kwatery, szczery żal ścisnął wszystkie serca; ustały narady i zwykle kancelaryjne czynności; żałobny cień padł na odniesione pod Walutyną zwycięstwo.

Rannego Gudin'a przewieziono do Smoleńska i najtroskliwszą otoczono opieką. Sam cesarz czuwał u jego łoża. Lecz, mimo starań i troskliwości, generał wkrótce życia dokonał. Zwłoki

jego zostały pochowane w obrębie cytadeli, w grobowcu, godnym walecznego żołnierza, dobrego obywatela kraju, zacnego męża i ojca, zdolnego generała, który równie sprawiedliwym był, jak łagodnym, równie uczciwym, jak zręcznym; zalety cenne, a nader rzadko kojarzące się wśród społeczeństw, w których zręczność wyklucza najczęściej uczciwość!

Przypadek zdarzył, iż godnego pozostawił po sobie następcę; Gérard, najstarszy w dywizyi generał brygady — objął dowództwo, a nieprzyjacieli, który nie dostrzegł poniesionej przez nas bolesnej straty, nie zyskał nic na śmierci nie szczęsnego Gudin'a.

Rosyanie, zdumieni taktyką Francuzów, atakujących jedynie czoło kolumny rosyjskiej, mniemali, iż kombinacje militarne Murat'a polegały jedynie na usilnem posuwaniu się w głąb kraju traktem przez nich zajęty. Przewali go też urągliwie „Generałem dróg i traktów” — zapominając, że niejednokrotnie fakty wprowadzają raczej w błąd, aniżeli uczą i oświecają.

W rzeczy samej, równocześnie z akcją Ney'a, Murat usiłował napróżno dotrzeć do flanków nieprzyjacielskich: z lewej strony — gęsty las, z prawej — trzęsawiska, broniły dostępu do traktu. Obaj jednak czekali niecierpliwie na wyniki marszu flankowego Westfalczyków, którymi dowodził Junot.

Poczawszy od Stubni, omijając trzęsawiska utworzone przez rozmaite drobne dopływy Dniepru, trakt skręcał na lewo, ku wyżynie, zdala od rzeki, do której zbliżał się znów nieco dalej.

Istniała nadto boczna droga, mniej wprawdzie wygodna, lecz znacznie bliższa, przecinająca ową bagnistą przestrzeń pomiędzy Dnieprem a traktem, z którym łączyła się w pobliżu wzgórz Wolutyny.

Tą właśnie boczną drogą nadciągał Junot, przeprawiwszy się przez Dniepr w Prudziszach. Dopadł niebawem tyłów lewego skrzydła rosyjskiego oraz flanku nadbiegającej z odsieczą kolumny. Śmiały atak byłby niewątpliwie przechylił w owej chwili szalę zwycięstwa na naszą stronę. Słyszając poza sobą strzały i wrzawę, Rosyanie byliby utracili pewność siebie; nieobliczalnymi zaś byłyby skutki popłochu—jeśli zważymy niewielką przestrzeń i tłoczące się na niej setki ludzi, koni i wozów. Lecz Junot, waleczny jako żołnierz, chwiejnym był wodzem; przestraszyła go ciężąca na nim odpowiedzialność.

Tymczasem, pewnym będąc nadejścia Westfalczyków, Murat dziwił się niepomiernie ciszy, panującej na tyłach rosyjskich. Wszelako opór, stawiany przez czoło kolumny nieprzyjacielskiej, coraz wyraźniej potępiał Junot'a. Przedzierając się samotrzeć przez lasy i bagna, król neapolitański bieży wówczas do Junot'a i gorzkie czyni mu wymówki. Junot usprawiedliwia się, twierdząc: „że nie otrzymał rozkazu atakowania; że powolna i ciężka jazda wirtemberska symuluje jeno szarżę; że wobec tego wątpliwym byłby ostateczny rezultat walki”.

Murat odpowiada czyniami na puste frazesy generała. Staje osobiście na czele Wirtemberczyków, własnym pociąga ich przykładem, wła-

snem męstwem zagrzewa, prowadzi w ogień, a rozbiwszy szeregi jeńców rosyjskich, zwraca się do Junot'a z temi słowy: „Dokończ teraz dzieła; tam sława twoja i marszałkowska buława”. Lecz po odjeździe Murat'a, Junot, oszołomiony—stał znów beczynnym. Ulegając całkowicie w ciągu długich lat przemożnemu wpływowi Napoleona, którego genialny umysł obejmował wszystko i o wszystkim pamiętał, do ślepego jeno nawykł posłuszeństwa; zbywało mu na determinacyi i doświadczeniu; pozatem, nieustanne trudy i liczne rany stargały przedwcześnie siły jego i zdrowie.

Wybór Junot'a na komendanta korpusu nie dziwił wszakże nikogo: wiedziano powszechnie, że cesarz lubił go i przywykł do niego jako do najdawniejszego swego adjutanta, że ze względu na przeżyte razem dni szczęścia i chwały, niechętnie byłby się z nim rozstał. Możliwym jest, iż równocześnie pochlebiał miłości własnej cesarza widok uczniów jego na stanowisku samodzielnych wodzów. Niewątpliwie zresztą, bardziej mógł ufać im i więcej na nich polegać, aniżeli na innych — mniej wypróbowanych — oficerach swoich i generałach.

Niemniej jednak, gdy oglądał nazajutrz polowisko, a ujrawszy most na którym padł Gudin—zauważył, iż nie tam powinny były ukazać się pułki francuskie; gdy ogarnął następnie palającymi oczyma pozycję, którą zajmował Junot groźnie ściągnęły się brwi cesarza, z ust jego wartkim potokiem gniewne popłynęły słowa: „Tu zapewne mieli atakować Westfalczyki! Od tej po-

zycy zależały losy całej bitwy! Co u licha robił tutaj Junot?”—W uniesieniu niepohamowanej irytacji, przyzwać kazał niezwłocznie Rapp’a i oświadczył wobec niego: „że odbiera ks. d’Abrantès powierzone mu dowództwo i usuwa go z armii! że bezpowrotnie utracił Junot marszałkowską buławę! że popełniona przezeń omyłka zamknęła prawdopodobnie drogę do Moskwy! że na miejsce Junot’a mianuje komendantem korpusu Westfalczyków jego, Rapp’a, pragnąc, aby corychlej poprowadził ich do boju!”—Lecz Rapp nie przyjął ofiarowanego mu dowództwa, a rozumną perswazyą zdołał uspokoić wkrótce cesarza. Gniew Napoleona bywał zresztą zazwyczaj krótkotrwały, zwłaszcza, jeżeli wybuchał gwałtownie i wyładować się mógł w słowach.

Prócz lewego skrzydła rosyjskiego, które omal, iż nie zostało rozbite, prawe skrzydło na większe jeszcze narażone było niebezpieczeństwo. Marand, jeden z generałów korpusu Davout’a, wysłany w tym kierunku poprzez lasy i lesiste wzgórza, od początku rozprawy znajdował się na flanku kolumny nieprzyjacielskiej. Jeszcze kilka kroków, a byłby dopadł tyłów prawego skrzydła rosyjskiego. Wówczas zaś rozstrzygnęłyby się niewątpliwie losy bitwy. Lecz Napoleon, nieświadom terenu, kazał mu cofnąć się na pozycję zajmowaną pierwotnie przez niego i przez Davout’a.

Zastanawiano się w szeregach, dlaczego tam, gdzie czynnych było trzech wodzów, wzajemnie od siebie niezależnych, cesarz nie stanął na ich czele, aby wytworzyć akcję jednolitą, nie-

możliwą do urzeczywistnienia bez jego współudziału. Lecz cesarz powrócił już był do Smoleńska, bądź to z powodu znużenia, bądź też, iż nie spodziewał się równie zacieklej walki, bądź też wreszcie—że zmuszony zajmować się równocześnie wszystkim i o wszystkim pamiętać, nie mógł podolać nadmiarowi pracy. W rzeczy samej, z konieczności zaniedbywane, mnożyły się z dniem każdym zarówno wewnętrzne interesa cesarstwa jak i sprawy ogólnoeuropejskie. Trzeba więc było przeglądać akta i papiery, załatwiać sprawy cywilne i polityczne, nieco już zagmatwane; po-
zatem, nazwa Smoleńska—umieszczana obok dąty—schlebiała miłości własnej cesarza.

To też, gdy Borelli—pomocnik szefa w sztabie Murat'a—przywiózł wieści o starciu pod Waulutyną, cesarz wahał się, czy wogóle przyjąć go i tak dalece pochłonięty był pracą, że tylko dzięki interwencji jednego z ministrów, Borelli dopuszczony został do kwatery cesarskiej. Złożony przezeń raport poruszył do głębi Napoleona: „Czy być może? — zawołał — nie jesteście zatem dość liczni?.. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi! Ależ to nie utarczka, lecz bitwa!”—I gromić jął porywczą samowolę i beczynność Junot'a. Wtedy Borelli uwiadomił go o śmiertelnej ranie Gudin'a. Szczerym i serdecznym był żal Napoleona; prawdziwym współczuciem dźwięczał głos jego, zwilgotniały źrenice. Wkrótce jednak, z właściwą mu siłą charakteru, opanował żal i niepokój, stłumił gniew. Wobec zapadającego zmierzchu, odroczył do następnego dnia troskę o przebieg bitwy, zabierając się ze zdwojoną gorliwością do przerwa-

nej pracy. Lecz snąć dręczyła go myśl o bliskiej bitwie, gdyż nazajutrz, wraz z dziennym brza-
skiem, ukazał się na polach Walutyny.

Stali tam żołnierze Ney'a i osierocona dy-
wizya Gudin'a—wśród drzew napoły zdruzgotanych,
na podłożu bratnich i nieprzyjacielskich trupów,
na ziemi zdeptanej nogami, pooranej przez kule
i kartacze, pstrej od krwawych kałuż, od szczątków
ludzkich, od poszarpanej odzieży, strzaska-
nej broni, przewracanych i połamanych dział.
Takiemi bowiem są trofea wojenne; takim tyle-
kroć sławione piękno pobojozisk!

Zdziesiątkowane bataliony Gudin'a z dumą
prezentowały broń, płomieniem gorzały wszystkie
oczy. Unosiła się jeszcze nad niemi ostra woń
prochu, woń, którą przesiąknięta była ziemia,
mundury żołnierzy i twarze ich, czarne od potu
i sadzy. Idąc wzdłuż frontu, cesarz zmuszony był
co chwila omijać lub deptać połamane i pogięte
od gwałtownego natarcia bagnety i skostniałe,
sztywne już zwłoki ludzkie.

Blaskiem sławy pokrył jednak wszystkie te
okropności. Wdzięczność jego przeobraziła to
straszliwe pole śmierci w pole chwały i tryumfu.
Oddana została cześć męstwu i wierności.

Niewątpliwie, należały się tym walecznym
nagrody i słowa uznania. Nigdy też wzrok cesa-
rza nie był bardziej dobrotliwym, bardziej łaska-
wemi słowa jego: „Bitwa ta stanowi najpiękniejszą
kartę w dziejach walk naszych i zwycięstw; na
czele żołnierzy takich, jak wy, podbić można
świat cały; ci zaś, którzy polegli, nieśmiertelną
zdobyli chwałę”.—Mówiąc to, wiedział dobrze, że

zwłaszcza w dniach klęski i pogromu dusza ludzka zwraca się najchętniej ku temu, co wieczyste jest i nieśmiertelne.

Obficie posypały się nagrody. 12-ty, 21-szy i 127-my pułk piechoty liniowej, oraz 7-my pułk lekkiej jazdy — otrzymały osiemdziesiąt siedem krzyżów i awansów. Były to regimenty Gudin'a. 127-my pułk nie miał jeszcze dotychczas „orłów”, gdyż w owym czasie każdy sztandar musiał być zdobyty na polu bitwy, na dowód, iż następnie pułk potrafi strzedz go i bronić. Osobiście wręczył cesarz pułkownikowi złotego „orła”. Nagroził również korpus Ney'a.

Sposób rozdawania nagród zwiększał w dwójnasób istotną, niezaprzeczoną ich wartość. Kolejno, każdy pułk stawał się niejako rodziną cesarza, zwartem otaczał go koliskiem. Cesarz interpelował głośno oficerów, podoficerów i żołnierzy, wypytywał się o najwaleczniejszych z pośród tych walecznych, lub o najbardziej przez los faworyzowanych i rozdawał natychmiast krzyże i awanse. Każdy zaś krzyż, każdy awans, witany oklaskami, był wyrazem uczuć całego pułku.

Ojcowski ton przemówień tego władcy świata, który odnosi się do prostych żołnierzy, jak do bliskich sercu towarzyszy broni; obejście, pełne prostoty, przypominającej nieodżałowane czasy Republiki — wszystko to wzbudziło w szeregach niewypowiedziany zapal. Był to zapewne monarcha, lecz monarcha, który wyszedł z łona Rewolucyi, monarcha — parweniusz, który rozdawał hojną dłońią godności i tytuły, który był ucieleśnionym symbolem życiowej siły i energii.

Nigdy może pole walki równie wielką nie zajaśniało chwałą. Dar owego sztandaru, krwią okupionego, uroczyste wręczanie nagród, radosne okrzyki, słuszna duma wyróżnionych przez cesarza żołnierzy, słowa uznania i podziwu, podchwyczone skwapliwie przez zasłuchaną i zapatrzoną Europę, uwiecznione w biuletynach, które czytane będą chciwie przez wszystkie narody, zwłaszcza zaś hen, daleko, pod błękitnem niebem Francyi, przez matki, żony i siostry — ileż było w tem głębokiej, z niczem nie dającej porównać się radości. Potężnie też dźwięczał zwykły, do dziś niezapomniany okrzyk: Niech żyje cesarz! — Początkowo nawet sam Napoleon uległ ogólnemu uniesieniu.

Lecz gdy minęła pierwsza upojna chwila, gdy wysłuchał raportów Ney'a, Murat'a i Poniatowskiego, który równie szczery był i roztropny w naradzie, jak mężny w boju; gdy dowiedział się, że wysłany za nieprzyjacielem pościg ujechał na próżno osiem mil, rozwiały się wówczas złudzenia, ostała jeno szara i twarda rzeczywistość. W powrotnej drodze do Smoleńska, niedogodność jazdy w powozie, chyboczącym się co chwila wskutek wyboi i porzrzucanych wszędzie, okropnych szczątków walki; widok żalobnej procesyi okaleczonych postaci, które wieziono lub też, które wlokły się z trudem, przy wtórze skarg i jęków; w samym wreszcie Smoleńsku, wymijanie wózków napelnionych po brzegi odciętemi po szpitalach członkami, wszystko to, co straszliwem jest i ohydnyem zdala od pola walki — zgłębiło go do reszty. Smoleńsk cały był jednym, olbrzymim szpitalem, a unoszący się ponad miastem

jęk bólu zagłuszył całkowicie radosne okrzyki, które dźwięczały jeszcze nad wzgórzami Walutyny.

Sprawozdania lekarzy brzmiały ponuro: w Rosyi, zamiast wina i koniaku używana jest powszechnie wódka, z ziarna pędzona, z domieszką mniej lub więcej odurzających ziół. Owóż młodzi żołnierze nasi, zmożeni głodem i trudami, sądzili, iż zdradziecki ten napój doda im sił; wkrótce jednak, gdy opadło chwilowe podniecenie, wielu z pośród nich ciężko zaniemogło.

Inni, mniej wstrzemięźliwi lub też może słabsi, półprzytomni, senni, przysiadali wzdłuż drogi w rowach, na kamieniach i, spoglądając dookoła osłupiałym, bezmyślnym wzrokiem, oczyma, lśnięciami od łez, konali cicho, bez jęku.

W Wilnie szpitale pomieścić mogły tylko sześć tysięcy chorych. Cierpiące, okaleczale tłumy gnieździły się tedy gdzie kto mógł: w kościołach, klasztorach, w synagogach i starych śpichlerzach miejskich. W przygodnych tych przytułiskach, które częstokroć były niezdrowe, stale zaś przepelnione, chorym zbywało na wszystkim: na lekarstwach, na łózkach i pościeli, niekiedy nawet na pożywieniu i na garści słomy. Liczba lekarzy niedostateczna była, a warunki leczenia tak opłakane, że zamiast wygasać choroby szerzyły się coraz bardziej.

W Witebsku, Rosyanie pozostawili czterystu swoich rannych na pobojuwisku, trzystu — w mieście; a ponieważ uszli wraz z armią wszyscy niemal mieszkańcy, przeto w ciągu trzech dni ci nieszczęśliwi konali wśród najokropniejszego zaduchu, wszelkiego pozbawieni ratunku; żywi pospo-

łu z trupami. Później dopiero przeniesiono pozostałych przy życiu do naszych ambulansów. Ażeby opatrzyć im straszne, zaropiałe rany — chirurdzy nasi podrzeć musieli na bandaże własne i żołnierskie koszule, brakowało już bowiem środków opatrunkowych, zwłaszcza szarpi i płótna.

A gdy wreszcie podgoiły się rany tych nieszczęśników, gdy odpowiednie odżywianie się mogło przywrócić im najzupełniej utracone siły i zdrowie — ginęli wówczas z głodu. Mało kto ocalał, bez względu na to, czy był Francuzem czy też Rosyaninem. Ci, którym utrata członka albo osłabienie nie dozwalało ukraść lub wyprosić nieco jadła, wymierali pierwsi. Okropne te sceny powtarzały się wszędzie, gdzie cesarz był nieobecnym, gdyż w ślad za nim podążało wszystko, a jedynie pod jego nadzorem ściśle spełniane były wszelkie w tym kierunku zarządzenia i rozkazy.

Zdawało się, iż w Smoleńsku szpitali było poddostatkiem. Uratowano od ognia piętnaście obszernych murowanych budynków; znaleziono dość znaczne zapasy wódki, wina i lekarstw; nadciągnęły również zapasowe nasze ambulanse. Niebawem jednak zabrakło i miejsca i lekarstw i rąk do pomocy. Lekarze pracowali bez wytchnienia, lecz wkrótce niebyło już czem opatrywać rannych: zamiast płótna używać musiano papieru, zamiast szarpi — pakul i brzoźowego łyka.

Działy się rzeczy straszne. Między innemi, zapomniano o szpitalu, w którym stu rannych borykało się ze śmiercią. Przypadek jedynie odsłonił po trzech dniach tę otchłań nędzy i niedoli.

Dziś jeszcze, mimo ubiegłych lat, wzdrygam się na wspomnienie tych scen, grozą przejmujących; takie bowiem wrażenia ryją w duszy ludzkiej głębokie, niczem niezatarte bruzdy. Wydelegowany ze sztabu generał Rapp nie oszczędził Napoleonowi żadnych, najkropniejszych nawet szczegółów. Cesarz napoić kazał własnem winem i obdarować złotem wyrwanych z tego piekła żołnierzy, którzy oparli się zwycięsko śmierci bądź to dzięki silnemu organizmowi, bądź też dlatego, że podtrzymywali gasnące życie ohydną, trudną do nazwania strawą.

Lecz oprócz silnych wzruszeń, jakich doznał cesarz, słuchając składanych mu raportów, sercem jego targaly inne uczucia, inne niepokoje i wątpliwości. Według niego, pożar Smoleńska nie był dziełem przypadku — fatalnym a nieprzewidzianym, nie był nawet czynem, zrodzonym z rozpaczki, lecz wynikiem spokojnej i chłodnej determinacji. Niszcząc i burząc, Rosyanie dokładali tych samych starań, tego samego przestrzegali ładu i porządku, jakiego przestrzega się zazwyczaj w celach i ochrony konserwacji.

Tegoż dnia śmiało odpowiedzi popa, jedynego, który pozostał w Smoleńsku, uświadomiły jeszcze lepiej cesarza o nieprzejednanej nienawiści, jaką pałał ku nam cały lud rosyjski. Popa owego przywiódł przed oblicze cesarza przyboczny jego tłumacz, przerażony ujawniającą się na każdym kroku niechęcią.

Cesarz wysłuchał go cierpliwie; wreszcie zapytał: „Czy kościół proboszcza spłonął również?” — „Nie, Najjaśniejszy panie — odparł pop. Bóg — po-

teźniejszy będzie od Waszej Ces. Mości i opieką swoją otoczy kościół, albowiem w murach jego znaleźli schronienie nędzarze, których pożar pozbawił dachu”. — Napoleon, wzruszony, odpowiedział: „Masz rację, księże. Bóg czuwać będzie nad niewinnymi ofiarami wojny i nagrodzi Cię za Twoją odwagę. Wracaj zatem, dobry duszpasterzu, do twoich owieczek. Gdyby wszyscy księża byli poszli za twoim przykładem; gdyby nie byli sprzeniewierzyli się nikczemnie danemu im od Boga posłannictwu, misyi zgody i miłości; gdyby nie byli opuścili świątyń, nietykalnych pod ich strażą, żołnierze moi byłiby niewątpliwie uszanowali kościoły wasze i ołtarze. Wszak jesteśmy wszyscy chrześcijanami, a Bóg jest jeden”!

Z temi sławy, pod eskortą, odprowadzić kazał popa do owej cerkwi. Na widok żołnierzy, otwierających cerkiewne wrota, rozległy się przeraźliwe okrzyki. Oszalały z trwogi tłum kobiet i dzieci jał cisnąć się z płaczem do stóp ołtarzy. Wówczas ozwał się donośny głos księdza: „Uspokójcie się! Widziałem Napoleona i rozmawiałem z nim! Haniebnie oszukano nas, dzieci moje! Cesarz Francuzów nie jest takim, jakim nam go odmalowano! Zarówno on, jak i jego żołnierze wyznają tego samego Boga — co i my. Tocząca się wojna nie jest bynajmniej wojną religijną, lecz politycznym zatargiem z carem naszym. Żołnierze Napoleona walczą jedynie z naszymi żołnierzami. Nie krzywdzą i nie mordują ani starców, ani kobiet ani też dzieci. Uspokójcie się przeto; wszyscy zaś podziękujmy Bogu, iż uwolnił nas od przykrego obowiązku nienawiści do Francu-

zów, jako pogan, bezbożników i podpalaczy!” — Na to wezwanie, z setek rozszlochanych piersi buchnęła ku niebu dziękczynna pieśń i dźwięczała długo pod mrocznym sklepieniem starej cerkwi.

Drobne to zdarzenie najlepszym jest dowodem jak dalece okłamywany i oszukiwany był naród. Wszyscy niemal mieszkańcy Smoleńska uszli wraz z wojskiem. Odtąd więc nietylko armia, lecz i ludność, lecz cała Rosya, cofała się przed nami. A wraz z ludnością, ubywał jeden z najpotężniejszych, najżywotniejszych czynników podboju.

Istotnie, z Witebska jeszcze, próbował Napoleon przeniknąć duszę tego ludu, pragnął bowiem pozyskać go dla idei wolnościowej i zespolić z własną swoją działalnością przez zorganizowanie mniej lub więcej ogólnego powstania. Lecz wszelkie próby agitacyi rozбивały się o nieufność nielicznych chłopów, pozostawionych przez Rosyan. Jedynym zaś wynikiem owych usiłowań było ujawnienie skrytych zamiarów cesarza, przeciw którym Rosyanie odpowiednio się zabezpieczyli.

Napoleon zresztą — sprzyjający raczej głowom ukoronowanym, aniżeli szaremu tłumowi — odrazu niechętnie i niedbale odnosił się do tej sprawy.

Na wieść o zbliżaniu się Napoleona, przeczorna szlachta cofnęła się razem z chłopstwem w głąb kraju, paląc i niszcząc wszystko, co miało jakąkolwiek wartość lub też mogło być przez nas zużytkowane. Śladem jej — wśród bezmiernych, opustoszałych przestrzeni — szedł głód i pozoğa.

Cesarz wówczas dopiero zdaje sobie należyte sprawę z ogromu zamierzonego przedsięwzięcia; im bardziej zaś posuwa się w głąb kraju, tem bardziej rosną i olbrzymieją rozmiary tego przedsięwzięcia. Do niedawna zwycięstwa, odnoszone nad monarchami, których przerastał o głowę — dziecinną nieledwie były igraszką. Teraz jednak walczy nie z monarchą, lecz z całym narodem i wobec tej drugiej Hiszpanii, leżącej u kresów Europy, bezpłodnej, nawpół dzikiej — zdumiony, waha się i zatrzymuje.

Bez względu na charakter decyzji, powięteż w Witebsku, zajęcie Smoleńska stało się niejako koniecznością. Możliwem jest, iż w Smoleńsku właśnie zamierzał cesarz rozstrzygnąć ostatecznie o dalszych losach kampanii. Lecz tutaj również — po raz wtóry — waha się i wątpi. Pożar miasta, szerzące się choroby, tłumy rannych, straszliwe, grozą przejmujące sceny — wszystko to zwiększa jeszcze wewnętrzną jego rozterkę. Zgorączkowany, spogląda kolejno na Kijów, Petersburg i Moskwę.

Przez zdobycie Kijowa, którego bronil korpus Czyczagowa, cesarz byłby oswobodzil prawy flank i tyly Wielkiej Armii i oslonil prowincye polskie, dostarczające największej ilości ludzi, koni, strawy i furazu; warowne zaś obozy w Mohylowie, Smoleńsku, Witebsku, Połocku, Dynaburgu i Rydze — stanowiłyby dostateczną linię obronną. Pod osłoną tej linii, podczas zimowych miesięcy, zorganizowałby ogólne powstanie wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, aby wraz z nadejściem wiosny przeciwstawić je Rosyi. Tym sposobem szanse

wojny byłyby, mniejwięcej, równe: naród walczyłby z narodem.

W Smoleńsku stanął jednak na rozstaju dwóch dróg: drogi do Petersburga i drogi do Moskwy, w odległości dwudziestu dziewięciu dni marszu od jednej stolicy, a piętnastu od drugiej. Petersburg, jako ośrodek rządu, jako centrum wszystkich organów państwowych, jako mózg Rosyi, morski i lądowy arsenał kraju, wreszcie jako jedyny łącznik pomiędzy Rosją a nienawistną cesarzowi Anglią — bardziej był ponętnym. Świeże wieści o zwycięstwie pod Połockiem przemawiały również za tym projektem. Łącznie z korpusem Saint-Cyr'a, cesarz osaczyłby Wittgenstein'a i ułatwił Macdonald'owi zajęcie Rygi.

Moskwa zaś — serce Rosyi — nęciła swymi bogactwami, złotem licznych kopuł cerkiewnych, pałacami wielkich rodów rosyjskich, nienaruszoną dotychczas tradycją ubiegłych stuleci. Droga do Moskwy, krótka, mniej niebezpieczna, a bardziej zasobna, broniona na znacznej przestrzeni przez cofające się wciąż pulki rosyjskie, łądziła nadto nadzieją walnej rozprawy i zwycięstwa. Ugodzony w samo serce — naród rosyjski zmuszony byłby zaniechać dalszego oporu.

Mimo nadciągającej jesieni, z tych trzech projektów ostatni tylko wydawał się cesarzowi możliwym do urzeczywistnienia. Znałe mu były wszelako dzieje Karola XII-go: nie w opracowaniu Woltera, które cesarz odrzucił z gniewem, twierdząc, iż zbyt romantyczne jest i z prawdą niezgodne, lecz pod postacią pamiętników, pióra Adlerfeld'a. Zawarta w książce tej przestroga

przebrzmiała jednak bez echa. W zestawieniu obu kampanii, cesarz wynajdywał tysiące różnic i na tych to różnicach opierał chwiejny gmach planów swoich i nadziei. Któż bowiem może być sędzią we własnej swojej sprawie? I jakąż ma wartość przykład, wzięty z przeszłości, w świecie, w którym nie spotyka się nigdy jednakowych dwóch ludzi, jednakowych dwóch spraw, ani też sytuacji?

A jednak, w owym czasie, częstokroć wspominał Napoleon Karola XII-go!

Lecz, podobnie jak w Witebsku, nadsyłane zewsząd wieści działały nań podniecająco. Bitwy pod Mohylewem, Mołodeczną i Walutyną były walkami rozprawami, a zwycięscy generałowie — Davout, Szwarzenberg i Ney — nową okryli się chwałą. Z prawej strony linia bojowa Napoleona zdawała się być należycie osłonięta; wprost niego cofała się armia nieprzyjacielska; na lewym zaś skrzydle, w Sławni, ks. Reggio zaatakowany został 19-go sierpnia przez Wittgenstein'a, którego udało mu się przyciągnąć pod Połock. Gwałtowny atak Wittgenstein'a nie dał wprawdzie Rosyanom pożądaných wyników, zapewnił im wszakże ofensywę. Podczas ataku raniony został marszałek Oudinot. Dowództwo dywizji jego, złożonej z niespełna trzydziestu tysięcy Francuzów, Szwajcarów i Bawarczyków — objął w zastępstwie generał Saint-Cyr. Następnego zaraz dnia Saint-Cyr, któremu li tylko rola samodzielnego wodza przypadała do gustu, skorzystał z chwili niezależności, aby wydobyć na jaw swoje zdolności militarne i dać się we znaki nieprzyjacielowi, nie unosząc się

ani też nie zapalając, ze zwykłym sobie, chłodnym a wyrachowanym spokojem.

Poczawszy od świtu aż do godziny piątej popołudniu, zwodził nieprzyjaciela propozycją układów, w celu zabrania rannych z pobojowiska, zwłaszcza zaś ostentacyjnem przygotowywaniem się do odwrotu. Równocześnie, pod osłoną domostw wioski ś-go Spasa i okolicznych pagórków, ścigał cichaczem wszystkie swoje pułki, podzieliwszy je na trzy kolumny.

O godzinie piątej — gdy wszystko było już gotowe, a Wittgenstein uśpiony — ozwały się trąbki: w tejże chwili ryknęły działa nasze — biegiem ruszyły niewidzialne dotychczas kolumny. Napróżno bronili się zaskoczeni zniecka Rosyanie; niebawem lewe ich skrzydło zostało rozbite, a centrum zmuszone do ucieczki; pozostało na placu boju wielu zabitych, tysiąc jeńców i dwadzieścia dział. Saint-Cyr zajął nadto pozycję zaczepną, lecz zbyt słaby, żeby atakować, użył ofensywy jedynie w celu skuteczniejszej obrony.

W ciągu tego krótkiego, lecz gwałtownego i krwawego starcia, prawe skrzydło rosyjskie, opierające się o Dźwinę, namiętny stawilo opór. Wśród nieustannej strzelaniny, zasypywane gradem kul nieprzyjacielskich, pułki nasze ruszyły na bagnety. Atak powiódł się, lecz w chwili, gdy piechota Wittgenstein'a zaczęła ustępować i rozpraszać się, głucho jęknęła ziemia: dragoni rosyjscy — zdaniem jednych, według drugich — kawalergardzi, runęli cwałem na jedną z baterii Saint-Cyr'a. Zapasowa brygada francuska, która w razie potrzeby osłaniać miała baterię, wysunęła

się naprzód, pöczem nagle zawróciła i jęła uciekać w popłochu wprost na działa, które z konieczności musiały umilknąć. Rosyanie nadbiegli, jak burza, roznieśli na szablach naszych kanonierów i przewracali działa; zderzenie tak nagłe było, tak gwałtowne, że jeźdźcy nasi — coraz bardziej wystraszeni — wpadli na głównodowodzącego i sztab jego, wszystko po drodze roztrącając i trąając. Generał Saint-Cyr uciekać musiał pieszo. W głębi mrocznego jaru schronił się przed tą nawałnicą. Dragoni rosyjscy dosięgali już przedmieść Połocka, gdy zręczny a podstępny manerw Berckheim'a oraz 4-go pułku kirasyerów francuskich — położył kres walce. Rosyanie znikli w gąszczu pobliskich lasów.

Nazajutrz Saint-Cyr zorganizował pöścig, głównie w celach wywiadowczych, po części zaś dlatego, ażeby zaznaczyć odniesione zwycięstwo i pomnożyć zebrane plony. W ciągu następnych dwóch miesięcy, aż do 18-go października, Wittgenstein trzymał się na uboczu, a Saint-Cyr, pilnie obserwując wszelkie poruszenia nieprzyjaciela, zajął się gorliwie utrzymaniem łączności z Macdonald'em, Witebskiem i Smoleńskiem, wzmocnieniem zajmowanej w Połocku pozycji, przede-wszystkiem jednak gromadzeniem jaknajwiększych zapasów żywności.

Podczas pamiętnej owej bitwy, czterech generałów, czterech pułkowników i wielu oficerów odniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Odznaczili się zwłaszcza dwaj generałowie bawarscy: Deroy i Liden. Zmarli cztery dni później, 22-go sierpnia. Obaj w jednym byli wieku; w jednym

służyli niegdyś pułku; te same odbyli kampanie; jednakowo, mniej więcej, awansowali i w jednym dniu, jednaką śmiercią, chlubnego dokonali żywota. Jedna też mogła przygarnęła litośnie na wieczny sen tych nieustraszonych żołnierzy i wiecznych przyjaciół, których śmierć nawet nie zdołała rozłączyć.

Na wieść o tem zwycięstwie cesarz przysłał generałowi Saint-Cyr marszałkowską laskę; dywizję nagroził znaczną liczbą krzyżów; zatwierdził wreszcie większość proponowanych awansów.

Jednakowoż — mimo zwycięstw — projekt dalszego posuwania się w głąb kraju, poza Smoleńsk, zbyt był ryzykowny, ażeby Napoleon odważył się rozpocząć akcyę własnymi tylko siłami. Po bitwie pod Walutyną, miejsce osłabłych i znużonych pułków Ney'a, zajął korpus Davouta. Murat — jako król i szwagier cesarza — uprzednio jeszcze objął był z jego rozkazu naczelne dowództwo przednich straży. Ney poddał się zwierzchnictwu Murat'a, nietyłe przez uległość, ile na skutek zgodności usposobień. Łączyło ich wspólne umiłowanie tej samej sprawy.

Lecz Davout — chłodny i systematyczny, pyszniący się nadto wspomnieniem dwóch wielkich zwycięstw, którym zawdzięczał otrzymane godności i tytuły, nie mógł znieść takiej zależności. Dwaj ci wodzowie, którzy, w równym będąc wieku, dobijali się równocześnie zaszczytów i awansów, którzy nawykli służyć genialnych jeno zarządzeń i rozkazów samego Napoleona, żadną miarą nie mogli wzajemnie nad sobą prze-

wodzić. Murat zwłaszcza, którego zapalny temperament zbyt często unosił na bezdroża.

Davout słuchał wprawdzie rozkazów, lecz niechętnie i niezupełnie, tak, jak słuchać zwykła obrażona duma. Zaprzestał natychmiast wszelkiej bezpośredniej korespondencji z cesarzem. Cesarz, zdziwiony, kazał mu nawiązać ją ponownie, motywując rozkaz swój brakiem ścisłości w raportach Murat'a. Davout skorzystał z tego wyznania, aby odzyskać utraconą niezależność. Od tej chwili przednie stráže miały aż dwóch wodzów. Cesarz więc — zmęczony, chory, obciążony nadmiarem pracy i trosk wszelkiego rodzaju, wobec intryg i współzawodnictwa pomiędzy generałami, zmuszony liczyć się z nimi, wbrew zasadom swoim i tradycji ubiegłych lat — dzielił władzę i rozdrabniał poszczególne części armii. Warunki i okoliczności, którym tylekroć własną narzucał wolę, z kolei silniejszymi stały się od niego i jemu przewodziły.

Tymczasem, wobec tego, iż Barclay cofnął się bez oporu aż do Drohobuża, Murat nie potrzebował pomocy Davouta; brakło przeto powodów do zatargu. Lecz o kilka wiorst od tego miasteczka, 23-go sierpnia, około godziny jedenastej przed południem, w cieniu niewielkiego lasku, zawrzała uporczywa walka. Dwukrotnie odpierali Rosyane atak, dwukrotnie Murat zdobywać musiał zajmowaną przez nich pozycję.

Zdumiony niespodziewanym oporem o tak wczesnej godzinie, Murat zawiązał się, a gdy zajął wreszcie laszek, ujrzał po za nim całą armię rosyjską pod bronią. Środkiem płyneła wąskimi

jarem rzeczka Łuża. Dochodziło południe. Rozciągłość linii rosyjskiej, osobliwie w kierunku naszego prawego skrzydła, poczynione przygotowania, wybór godziny, miejscowości — w tym punkcie zeszyły się ponownie armie Barclay'a i Bagrations'a — oraz terenu, wszystko zdawało się przemawiać za walną rozprawą. Murat uwiadomił o tem cesarza.

Równocześnie zaś wysłał na przeciwległy brzeg rzeki generała Montbrun'a i jazdę jego, w celu rozpoznania i obejścia lewego skrzydła nieprzyjacielskiego. Montbrun'a osłaniała piechota marszałka Davout: pięć dywizji wyćwiczonego żołnierza. Pragnąc — jak wieść niesie — podtrzymać w ten sposób flankowy manewr Montbrun'a, Murat kazał im cofnąć się na trakt i atakować czoło kolumny rosyjskiej.

Lecz Davout odpowiedział, że: „byłoby to zaprzepaszczeniem naszego prawego skrzydła, wskroś którego nieprzyjaciel dotarłby do traktu i zagroził nam jedyną drogę do odwrotu; że tym sposobem zmusiłby nas do decydującej bitwy, której on — Davout — unikać ma w myśl otrzymanych z góry rozkazów i której uniknie, nie mając po temu dostatecznych sił ani też dość obronnej pozycji, pozostając nadto pod komendą wodza, do którego żadnego nie czuje zaufania“. Napisał również niezwłocznie do Napoleona z prośbą o jaknajrychlejsze przybycie, o ile cesarz życzyłby sobie wziąć udział w bitwie, projektowanej przez Murat'a.

Szczerą radością przejęła Napoleona powyższa wiadomość, odebrana w nocy z 24-go na

25-go sierpnia. Niepewność męką była dla przedsiębiorczego i stanowczego umysłu cesarza. Przybiegł więc corychlej na czele gwardyi swojej, uszedłszy bez wytchnienia dwanaście mil. Lecz poprzedniego jeszcze dnia, wieczorem, armia nieprzyjacielska znikła bez śladu.

Francuzi przypisywali odwrót ten zasługom Montbrun'a; Rosyanie — Barclay'owi i błędnej pozycji, zajętej przez szefa sztabu jego, który, zamiast wykorzystać właściwości terenu, zwrócił je przeciwko sobie. Bagration spostrzegł to pierwszy i w uniesieniu napomknął nawet o zdradzie.

Za przykładem naszych przednich straży, szerzyły się niesnaski w obozie rosyjskim. Dotkliwie dawał się we znaki brak zaufania do głównodowodzącego, zaufania, które jest siłą i spójnią wszelkiej armii: każdy krok był tedy fałszywym, każda decyzja najgorszą. Utrata Smoleńska zaostrzyła sytuację, a połączenie się obu korpusów pogłębiło jeszcze wzajemną niechęć i rozgoryczenie. Im silniejszą była liczebnie armia rosyjska, tem słabszym i uleglejszym był wobec niej naczelny wódz. Niebawem głuchy pomruk niezadowolenia w głośnie przeszedł okrzyki: domagano się jednomyślnie innego wodza. Dzięki jednak interwencji kilku rozważniejszych jednostek, wobec zapowiedzianego przyjazdu Kutuzowa i nadziei bliskiej walki — ucichła wrzawa.

Skądinąd, cesarz który dotarł już do Drohobuża, nie waha się dłużej. Świadom tego, iż wszędzie pójdą za nim sprawy całej Europy, że miejsce pobytu jego będzie zawsze

punktem, w którym ważyć się będą i rostrzygać losy narodów, że może posuwać się w głąb kraju bez lęku o groźne skutki odstępstwa Szwecyi i Turcyi — lekceważy sobie i zaniedbuje armię nieprzyjacielską: korpus Essen'a w Rydze; Wittgensteina — pod murami Połocka, Hoertl'a — przed Bobrujskiem, Czyczagowa — na Wołyniu; armię, liczącą ogółem sto dwadzieścia tysięcy ludzi, a której liczba mogła jeno wzrastać. Wyprzedziwszy ją, patrzy więc obojętnie na osaczające nas poszczególne oddziały, przekonany najmocniej, że loskot pioruna, który dzierży w dłoni — wstrząśnie ziemią całą, że runą wówczas wszelkie przeszkody: militarne i polityczne.

A jednak bojowa kolumna cesarza, licząca jeszcze przy wyjeździe z Witebska sto osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, zredukowana już jest do stu pięćdziesięciu tysięcy. Z owych dwudziestu ośmiu tysięcy, połowa zalega Witebsk, Orszę, Mohylew i Smoleńsk. Reszta zaś, bądź to padła krwawą sieją na pobojowiskach, bądź też — zdeorganizowana, z wszelkiej wyzuta karności — wlokąc się śladem armii, rabuje i kradnie wszystkich bez wyjątku, zarówno sprzymierzeńców jak i własnych rodaków.

Lecz nawet zredukowana armia ta dostateczną była, aby rozbić całkowicie wojska rosyjskie i zająć Moskwę, zwłaszcza, że mimo groźby owych stu dwudziestu tysięcy Rosyan, nasza linia operacyjna zdawała się być najzupełniej osłonięta. Macdonald, na czele trzydziestu dwóch tysięcy ludzi, strzegł lub też miał strzedz, w pobliżu Rygi i Dynaburga — Litwy, Dźwiny, Dniepru,

poniekąd i Smoleńska; Saint-Cyr, z trzydziestu tysiącami żołnierzy bronił Połocka; Victor i czterdzieści tysięcy ludzi — Witebska, Smoleńska i Mohylewa; generał Dąbrowski z dwunastotysięczną legią — Bobrujska; Szwarzenberg i Règnier — czyli czterdzieści pięć tysięcy ludzi — linii Bugu. Napoleon liczył nadto na dywizye Loison'a i Durrutte'a, razem dwadzieścia dwa tysiące ludzi — zbliżające się do Królewca i Warszawy, oraz na osiemdziesiąt tysięcy korpusy zapasowe, które wkroczyć miały na terytorium rosyjskie w pierwszej połowie listopada.

Wraz z nowozaciężnymi pułkami polskimi i litewskimi rezerwa stanowiła dwieście osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Ażeby więc dokonać inwazyi na przestrzeni dziewięćdziesięciu trzech mil, gdyż taką jest odległość od Smoleńska do Moskwy, cesarz rozporządzał kolosalną cyfrą przeszło czterystu tysięcy żołnierzy.

Lecz rezerwa ta, na poszczególne podzielona korpusy, podlegała komendzie sześciu dowódców, wzajemnie od siebie niezależnych, z których najstarszy obowiązany wytworzyć pewną jednolitość w działalności pięciu pozostałych, był raczej rzecznikiem pokoju, aniżeli żołnierzem.

Te same zresztą przyczyny, które w ciągu kilku miesięcy tak bardzo przetrzebiły jądro armii francuskiej, wytepić miały lub też rozproszyć — znacznie prędzej i doszczętniej — wszystkie pułki zapasowe. Podzielone na prowizoryczne bataliony, pod wodzą obcych i obojętnych oficerów, którzy lada dzień mogli być odwołani, apatyczne, niekarne, pułki te przebywały bezmierne, ogniem

i mieczem spustoszone przestrzenie, pod szarem niebem zbliżającej się z dniem każdym jesieni.

Tymczasem Napoleon oglądał po raz wtóry pożar całego miasta. Na wzór Smoleńska spłonęło Drohobuże, w pierwszym zaś rzędzie dzielnica kupiecka, zamieszkała przez ludzi bogatych, którzy, z racyi stanowiska, zajmowanego w społeczeństwie, jako klasa przejściowa, zaczątek stanu trzeciego, bardziej byli wrażliwi na urok swobód i wolności, i łatwiej może od innych warstw dążyć się zjednać i pozyskać.

Cesarz zupełnie jasno zdaje sobie sprawę z tego, iż zajęcie Smoleńska było właściwie bezcelowe i żadnych nie dało wyników. Lecz, jakkolwiek decydująca bitwa raz jeszcze odłożona została wskutek wahania się generałów rosyjskich i niesnasek, panujących w obozie nieprzyjacielskim, powzięta przez cesarza decyzja niezłomna jest i niewzruszona. Uporczywie ściga nieprzyjaciela, coraz śmielej posuwając się w głąb kraju; ostrożność ich zowie tchórzostwem; odwrót — ucieczką; lekceważy — aby nie utracić nadziei i wiary we własne siły!

Tak szybko nadbiegł cesarz do Drohobuża, że zmuszony był czekać na resztę armii, podczas kiedy Murat ścigał nieprzyjaciela. Opuścił Drohobuż 24 go sierpnia. Armia posuwała się równomiernie trzema wielkimi kolumnami: cesarz, Murat, Davout i Ney — w pośrodku, traktem moskiewskim; Poniatowski z prawej strony; armia włoska — z lewej.

Dążąc śladem przednich swoich straży, które zaledwie zdołały wyżywić się ze skąpych resztek,

przez Rosyan pozostawionych, środkowa kolumna—najliczniejsza — szła pośpiesznie drogą ogłodzoną i pustą, z której zboczyć nie mogła dla braku czasu. Zresztą, tak pulki włoskie, jak i żołnierze Poniatowskiego ogołocili doszczętnie całą okolicę. Dalsze zaś, nocne wycieczki po prowiant i furaz, opóźniające z konieczności codzienny wymarsz, najzupełniej były wykluczone, zarówno ze względu na bliskie sąsiedztwo z wojskiem nieprzyjacielskim, jak na znaczną a nieuniknioną zwłokę.

Trzy dni później, 27-go sierpnia, z kwatery cesarskiej w Sławkowie, o kilka mil poza Drohobużem, wyszedł rozkaz, powołujący marszałka Victor'a z nad brzegów Niemna pod Smoleńsk. Lewe skrzydło marszałka zająć miało Witebsk, prawe — Mohylów, centrum — Smoleńsk. Victor podtrzymać miał w razie potrzeby Saint-Cyr'a, osłaniać tyły armii, dążącej ku Moskwie oraz utrzymać łączność z Litwą.

W ciągu pochodu tego z wiosek i miasteczek głębokiej Rosyi wysyłał Napoleon rozliczne zarządzenia i dekreta, które docierały aż do najcichszych, najbardziej zapadłych kątów Francyi; wszędzie bowiem pragnął być obecnym, wszystkim rządzić, we wszystko wglądać. Nie syty sławy i potęgi, we własne zapatrzony sny, coraz śmielsze, coraz zuchwalsze i bardziej niedościgłe snuł marzenia: imieniem swoim wypełnić chciał ziemię całą; silną dłońią wszechświatowe ująć berło.

Murat podążał śladem armii rosyjskiej aż poza Otmę, rzekę wąską lecz głęboką i głębo-

kiem płynącą korytem, jak większość rzek tamtejszych, dzięki czemu, w okresie dorocznego topnienia śniegów, nadbrzeżne okolice mniej narażone są na zalewy i powódzie. Tylne straże rosyjskie, rzeką odgradzone — rozłożyły się obozem na wzgórzach przeciwległego brzegu. Murat niezwłocznie szukać kazał brodu, a gdy bród znaleziono — ze zwykłą sobie, szaloną a nieopatrzoną odwagą, ruszył wąskim jarem ku pozycjom nieprzyjacielskim, na niechybną zagładę, czyniąc ze zwykłej utarczki rozpaczliwą walkę. W rzeczy samej pułki rosyjskie skorzystały z niezwyklej sposobności i, wpadłszy na nas z impetem, starały się zepchnąć naszą jazdę w nurty rzeki. Lecz Murat bronił się tak walecznie, z takim uporem ponawiał atak, że w końcu zwyciężył. 4-ty pułk ułanów zdobył upragnioną pozycję; Rosyanie zaś cofnęli się opodal, uszczęśliwieni, iż tak drogo okupić nam kazali ćwierćmilowy zaledwie kęs ziemi, którzy w każdym razie — bez krwi rozlewu — byliby opuścili w ciągu nocy.

W chwili największego niebezpieczeństwa, jedna z baterji ks. Eckmühl, dwukrotnie odmówiła posłuszeństwa. Komendant baterji zasłaniał się otrzymaną instrukcją, która groziła mu degradacją, w razie gdyby ośmielił się strzelać bez wyraźnego rozkazu Davout'a. Rozkaz ten nadszedł — zdaniem jednych — w porę, według drugich zaś — po niewczasie. Przytaczam zajście to dlatego, iż nazajutrz — w Zemlewie — było ono powodem gwałtownej sprzeczki między Murat'em a Davout'em, sprzeczki, której nawet obecność cesarza nie zdołała zażegnać.

Król wypominał księciu nadmierną ostrożność, a szczególnie dawną niechęć, sięgającą jeszcze kampanii egipskiej. W uniesieniu nie wahał się napomknąć o prywatnem załatwianiu uraz osobistych, z którymi ani tocząca się kampania, ani też armia nie powinna mieć nic wspólnego.

Davout, zirytowany, oskarżał ją króla o zachwałę, z niczem nieliczącą się, szaloną odwagą, która — według niego — „kompromitowała ustawicznie armię, narażając ją wciąż na znaczne a bezcelowe straty w ludziach, koniach i amunicyi.”

Wreszcie zauważył: „że w ten sposób wyginie cała kawalerja; że, o ile Murat rozporządzać może dowolnie swoimi pułkami, to niema prawa szafować bez potrzeby piechotą pierwszego korpusu, której on — Davout — obowiązany jest strzedz i chronić”.

Przemowa ta nie pozostała, oczywiście, bez odpowiedzi, równie żywej i namiętnej, jak żywym i namiętym był temperament Murat'a. Cesarz słuchał spokojnie sprzeczki, potrącając nogą napół przysypany piaskiem granat rosyjski. Zdawało się nawet, iż gwałtowna gestykulacja i nader zmienna gra fizynomii obu zacierzewanym współzawodników sprawia mu pewną przyjemność. Wzajemną ich niechęć przypisywał jedynie umiłowaniu tych samych ideałów życiowych, widząc z doświadczenia, jak bardzo wszechwładną i zazdrosną jest żądza sławy.

Podobał mu się burzliwy zapal króla neapolitańskiego. Brak paszy i żywności naglił do jaknajrychlejszego zwycięstwa, po którym—nie zwle-

kając — należało w dalszą ruszyć drogę. Kryzys ogólnoeuropejski był zresztą zbyt silny, sytuacja zbyt krytyczna, a cesarz zanadto niecierpliwy, żeby wyczekiwać i na jakąkolwiek dłuższą nieco godzić się zwłokę.

Krewkość Murat'a zrozumiałszą dlań była od systematycznej i spokojnej rozwagi ks. Eckmühl, zwrócił się też w końcu do Davout'a z temi słowy: „Nikt nie może być doskonałością; ty jednak lepiej umiesz stoczyć walną bitwę, aniżeli poprowadzić przednie straże”.

Poczem odprawił obydwóch, radząc im zaniechać na przyszłość podobnych niesnasek.

Z niewygasłą w sercach nienawiścią powrócili obaj wodzowie do swoich korpusów, a ponieważ walka toczyła się li tylko na forpocztach, nadal więc wydzielali sobie wzajemnie każdą, najdrobniejszą nawet sposobność do wyróżnienia się.

28-go sierpnia armia nasza przekroczyła granice gubernii Wiaziemskiej. Uszykowana w krótką a szeroką i zwartą kolumnę, szła pośpiesznie na przełaj polami, wśród rozległej równiny. Traktem posuwała się artylerya, furgony i ambulanse. Cesarz osobiście wszystkiego doglądał, widny zdaleka na pysznym rasowym koniu. Listy Murat'a i bliskość Wiaźmy ludziły go raz jeszcze nadzieją decydującej rozprawy; jadąc, obliczał tedy ilu tysiącami strzałów armatnich będzie mógł zasypać i zdruzgotać wojska nieprzyjacielskie.

Lecz Barclay ograniczał się jedynie do utarczek z naszymi forpocztami i to o tyle tylko,

ażeby opóźnić inwazyę, nie zniechęcając nas całkowicie.

Znamienna ta decyzja Barclay'a, znużenie i osłabienie armii, intrygi i współzawodnictwo dowódców, wreszcie zbliżanie się rozstrzygającego momentu — wszystko to niepokoiło i trapiło Napoleona. W Dreźnie, w Witebsku, nawet w Smoleńsku, oczekiwał napróżno listu od Aleksandra. Podczas postoju w Rybkach około 28-go sierpnia, pośrednio dał do zrozumienia, iż pismo takie byłoby pożądane; nieciekawym pozatem list Berthier'a do Barclay'a kończył się następującem zdaniem: „Za mojem pośrednictwem, cesarz prosi pana o przesłanie w jego imieniu cesarzowi Aleksandrowi wyrazów szczerzej życzliwości, gdyż ani zmienne koleje toczącej się wojny, ani też jakiegokolwiek bądź zewnętrzne warunki i okoliczności nie umniejszają w niczem serdecznej jego przyjaźni”.

Tegoż 28-go sierpnia forpoczty nasze dotarły śladem Rosyan aż do bram Wiaźmy. Spontniałe i zakurzone szeregi nie miały nawet czem ugasić pragnienia. Pięściami torowano sobie drogę do kilku większych kałuży; zmętniałą niebawem wodę z nielicznych strumyków wyczerpano wnet do dna. Sam cesarz zadowolić się musiał kubkiem płynnego błota.

W ciągu nocy nieprzyjaciel zniszczył mosty na Wiaźmie, miasto zaś splądrował i podpalił. Murat i Davout rzucili się niezwłocznie do ognia i, mimo oporu Rosyan, dzięki temu, że w pobliżu zniszczonych mostów można było wygodnie przeprowić się wplaw przez rzekę, zdołali odeprzeć podpalaczy i ugasić pożar.

Uprzednio odkomenderowano do forpocztów doborowego żołnierza z rozkazem nacierania zbliska na nieprzyjaciela i wytropienia istotnych sprawców pożaru. Wobec złożonego nazajutrz raportu, rozwiały się ostatnie złudzenia cesarza odnośnie do Rosyan i powziętej przez nich rozpaczliwej decyzji.

W magazynach Wiaźmy znaleziono nieco zapasów, niebawem wszakże rabunek wszystko roztrwonił i zaprzepaścił. W przejeździe przez miasto Napoleon dostrzegł nieład i ślady nadużyć; zirytowany, wsparł konia w zwarte szeregi żołnierzy—bijąc i tratując; przyłapanego na kradzieży wiwandiera kazał natychmiast stawić przed sąd i rozstrzelać. Wiedziano jednak dobrze, jakie było właściwe znaczenie tego rodzaju pogroźek i rozkazów; wiedziano i to także, że im gwałtowniejszy był wybuch gniewu, tem większa później pobłażliwość i wyrozumiałość. Poprzestano więc na tem, iż nieco dalej, skazany przed chwilą wiwandier oczekiwał na klęczkach przejazdu cesarza, a obok niego jakaś kobieta i kilkoro przygodnie zebranych dzieci, oplakujących smutną dolę rzekomego ojca. Cesarz—uspokojony już—zapytał obojętnie: „Czego chcecie?”—i kazał uwolnić skazańca.

Nie zdążył jeszcze zsiąść z konia, gdy ujrzał nadjeżdżającego w skok Belliard'a, od lat piętnastu towarzysza broni Murat'a, a w owym czasie szefa sztabu jego. Zdumiony, sądził—iż stało się coś złego. Lecz Belliard zgoła inne przywiózł wieści; mianowicie: „że w pobliżu Wiaźmy, poza głębokim jarem, w nader obronnej pozycji,

ukazały się zbrojne pulki nieprzyjacielskie; że również ruszyła z obu stron jazda; że, potrzebując nieodzownie poparcia piechoty, król stanął był osobiście na czele jednej z dywizji Davout'a i prowadził ją w ogień, gdy wtem nadbiegł marszałek i kazał stanąć swoim szeregom, ganiąc głośno taktykę króla i niesubordynację swoich generałów; że wówczas Murat napróżno powoływał się dwukrotnie na piastowaną przez siebie godność i na ważny, niecierpiący żadnej zwłoki moment walki; że, wobec tego, oświadcza cesarzowi, iż zniechęcony już jest okazywaną mu ustawicznie nienawiścią i lekceważeniem i że cesarz wybierać musi pomiędzy nim a Davout'em".

Wysłuchawszy raportu, Napoleon zawrzał gniewem i, wołając: „że Davout zapomina o wszelkiej subordynacji i lekceważy w osobie Murat'a cesarskiego szwagra i zastępcę!" — wysłał Berthier'a z rozkazem natychmiastowego oddania dywizji Compans — tej właśnie, która zatarg spowodowała — pod bezpośrednią komendę króla. Davout przyjął w milczeniu uwagi, dotyczące użytych przez się zewnętrznych form i wyrażań, lecz bronił uporczywie treści całego zajścia, bądź to dlatego, iż odnosił się do króla z nietajoną niechęcią i uprzedzeniem, bądź też, że istotnie lepiej ocenił właściwości terenu i odpowiadające im kombinacje militarne.

Tymczasem walka ucichła i Murat rozpa miętywać mógł bez przeszkód wszystkie szczegóły sprzeczki z Davout'em. Zamknięty w namiocie, sam na sam z nieodstępnym Belliard'em, w miarę jak odtwarzał w pamięci całe zachowa-

nie się marszałka, rumieniec gniewu i wstydu oblewał mu czoło, a krew kipiátkiem przelewała się w żyłach. „Zapoznany został, zelżony publicznie, a Davout żył jeszcze i żadnej nie poniósł kary! Obojętny mu jest gniew cesarza i powzięta przezeń decyzya, gdyż krwią tylko zmazać można podobną zniewagę! Szpadzie swojej wszystko zawdzięcza i ze szpadą w dłoni szukać będzie zadośćuczynienia za krzywdę i obelgi!” I chwycił już za oręż, gdy Belliard jął powstrzymać go i uspokajać, powołując się na wyjątkowe okoliczności, na armię, której należało świecić przykładem, na uchodzącego coraz dalej nieprzyjaciela, którego mogły jeno radować tego rodzaju niesnaski i kłótnie.

Król uległ w końcu perswazyom generała, lecz snąc ciężką była tocząca się w nim wewnętrzna walka, bo łzy bólu i gniewu spłynęły mu po licach na galony i hafty munduru. Drżącym od wzruszenia głosem przeklinał własny świetny los i królewską koronę, która przypadła mu w udziale. Podczas kiedy Murat takie ciężkie przeżywał chwile, Davout, zawsze chłodny i obojętny, najspokojniej siedział w swojej kwaterze, w dalszym ciągu twierdząc uparcie, iż cesarz oszukiwany był i rozmyślnie w błąd wprowadzany.

Po rozmowie z Belliard'em, Napoleon powrócił do Wiaźmy, gdzie obecność jego potrzebna była, ażeby ogarnąć całokształt tej nowej zdobyczy oraz związane z nią korzyści. Wiadomości, otrzymane z głębi Rosyi, poinformowały go o tem, iż rząd rosyjski stara się przekonać

naród, że utrata tyłu prowincyi była jeno wynikiem zatwierdzonego z góry planu cofania się na całej linii. Przejęte we Wiaźmie papiery stwierdzały nadto, że w Petersburgu, z racyi rzekomych zwycięstw pod Witebskiem i Smoleńskiem, odśpiewano po cerkwiach uroczyste: Te Deum. Zdziwiony i oburzony tem Napoleon, zawołał: „Uroczyste Te Deum!... Okłamują tedy równie bezczelnie Boga, jak ludzi!”

1-go września, około południa, Murat stanął tuż w pobliżu Gżacka. Niewielki lasek sosnowy odgradzał jazdę naszą od miasta. Obecność kozaków zmusiła króla do natychmiastowego działania. Poszło w ogień kilka pułków. Niebawem jednak, zniecierpliwiony zbyt przewleklą według niego walką, Murat skrzyknął kilkudziesięciu jeźdźców i, wyparłszy Rosyan z lasku, znalazł się u bram Gżacka. Widząc to, Francuzi natarli ze zdwojonym animuszem i zajęli wnet miasto aż po rzekę, która dzieliła je na dwie części. Lecz mosty na rzece stały już w płomieniach.

W Gżacku, tak, jak w Smoleńsku i w Wiaźmie, bądź to przypadkowo, bądź też na skutek dawnych obyczajów tatarskich, targ i bazyry wznosiły się od strony Azyi, na przeciwległym nam brzegu. Tylne straże rosyjskie, rzeką osłonięte, miały zatem dość czasu, aby spalić całą tę dzielnicę. Reszta miasta ocalała li tylko dzięki zwinności i odwadze Murat'a.

Przeplłynięto rzekę Gżack jak kto mógł: na tratwach, na belkach i wplaw. Śladem uciekających Rosyan, żołnierze nasi docierali do płonących domów, gdy wtem nagle wybiegł na ich spot-

kanie jakiś człowiek, wołając głośno, że jest Francuzem. Zarówno radość jego, jak i akcent zdradzały rodaka. Zaprowadzono go natychmiast do Davout'a, który skorzystał ze sposobności, aby zasięgnąć języka.

W łonie armii rosyjskiej zaszły podobno wielkie zmiany. Szemrano i powstawano przeciwko Barclay'owi, zarówno w szeregach, jak wśród szlachty i mieszczaństwa. Zgodnie potępiała go cała Moskwa. „Barclay zdrajcą jest i zaprzańcem! Przyczynił się do częściowego rozbitcia wszystkich niemal dywizyj! Hańbą i sromotą okrył armię, cofając się nieustannie, podczas gdy płonęły miasta, a nieprzyjaciel coraz bardziej posuwał się w głąb kraju! Jeśli konieczną była ofiara bogactw i mienia, naród uczynić ją chciał dobrowolnie, aby tym sposobem ocalić przynajmniej honor i godność narodową; lecz ofiara taka—złożona rękami cudzoziemca, była zagładą wszystkiego, nie wyłączając honoru i godności.

„Dlaczego jednak cudzoziemiec zajmować miał równie ważne i odpowiedzialne stanowisko? Wszak żył jeszcze towarzysz broni i druh niezapomnianego Suworowa! Tylko Rosyanin ocalić może Rosyę!”—I wszyscy jednomyślnie domagali się nominacji Kutuzowa i walnej rozprawy. Francuz dodał, że Aleksander uległ życzeniu ogółu; że subordynacja Bagration'a i powszechny protest dopełniły miary; że wreszcie—wobec bliskości Moskwy i przebiegu ostatnich kilku utarczek—cesarz uznawał sam nieodzowną potrzebę gwałtownego starcia.

Ziomek nasz upewniał nadto, że w dniu 29

sierpnia, między Wiaźmą a Gżackiem, w miejscowości Carowo Zamieście, sędziwy Kutuzow entuzjastycznie witany był przez wojska rosyjskie; że nadzieja rychłej bitwy ożywiła wszystkie serca, że, nie zwlekając, armia ruszyła w stronę Borodina, tym razem nie w celu cofania się, lecz dlatego, aby stanąć murem na granicy gubernii moskiewskiej, aby ojczystej bronić ziemi i zwyciężyć lub zginąć.

Przybycie parlamentarza rosyjskiego zdawało się potwierdzać te nowiny. Lecz parlamentarz nie wiele miał do powiedzenia; obserwował natomiast i bacznie rozglądał się na wszystkie strony, ku wielkiemu niezadowoleniu oficerów naszych, zwłaszcza Davout'a. Gdy jeden z generałów francuskich niebacznie zapytał go, jaki jest najgłówniejszy etap między Wiaźmą a Moskwą: „Połtawa” — odparł wyniośle Rosyanin. Charakterystyczna ta odpowiedź, gromami brzemienna, ogólnie podobała się Francuzom, którzy równie gorąco jak Rosyanie pragnęli zaprzestać nieustannego pościgu i zmierzyć się nareszcie z nieprzyjacielem.

Odprowadzając parlamentarza, po raz wtóry żadnych nie zachowano ostrożności. Widział tedy, że bez przeszkód można było dotrzeć aż do głównej kwatery; że na forpocztach ani jeden żołnierz nie stał na warcie; że wszędzie i we wszystkim ujawniało się karygodne niedbalstwo oraz właściwa Francuzom i zwycięzcom zuchwała pewność siebie. Wszyscy spali: nigdzie ani hasel, ani patroli. Żołnierze nasi jakgdyby lekceważyli sobie zwykły obozowy ład i regulamin. Poco tyle ostrożności? Wszak oni atakowali, oni

odnosili zwycięstwa; nie oni więc, lecz Rosyanie obowiązani byli bronić się i rygoru wojskowego przestrzegać!—Tenże sam oficer mawiał później, iż byłby wykorzystał niezwłocznie naszą nieogłębność, lecz, że niestety! nie miał pod ręką ani jednego korpusu rosyjskiego.

Przy podpalaniu mostów na Gzacku, nieprzyjaciel — zmuszony cofnąć się corychlej za rzekę—zostawił na przeciwległym brzegu zapóźnioną garstkę kozaków. Niebawem otoczeni poddali się bez oporu. Za pośrednictwem tłumacza cesarz sam ich wypytywał, przyglądając się ciekawie osobliwemu odzieniu i dzikim twarzom pojmanyh. Odpowiedzi kozaków brzmiały zgodnie z informacjami owego Francuza, a raporty przysłane z forpocztów w nocy z 1-go na 2-go września — stwierdziły niezbitie prawdziwość naszego rodaka.

Barclay zatem — wbrew wszystkim i wszystkiemu — bronił uparcie do ostatniej chwili planu cofania się na całej linii, planu, który wysławiał przed jednym z naszych generałów w r. 1807 jako jedyną deskę ratunku, jedyny sposób ocalenia zagrożonej Rosyi. W pośród nas chwalono go ogólnie za dotychczasowe utrzymanie rozważnej defensywy, mimo zaczepnego stanowiska armii naszej i protestu dotkniętego w dumie swojej narodu.

Zbłądził niewątpliwie przez opuszczenie Wilna i zapoznanie błotnistej Berezyny jako nader korzystnej granicy naturalnej; następnie jednak, pod Witebskiem i Smoleńskiem, uprzedził Napoleona, a zarówno nad Łucyssą, jak nad brzegami

Dniepru i pod Walutyną—opór jego najzupełniej był zastosowany do warunków i okoliczności. O ile zaś podjazdowa walka ta odbiła się najfatalniej na armii francuskiej, o tyle korzystna była dla Rosyan; w miarę jak Napoleon oddalał się od rezerwowych naszych korpusów, Barclay zbliżał się coraz bardziej do dépôts swoich i magazynów. Zawsze więc i wszędzie odpowiednią zachował taktykę, bez względu na to, czy atakował, czy też bronił się lub cofał.

Mimo zalety te, nie zdołał wszelako zaskarbić sobie w narodzie ani sympatyj, ani zaufania. Lecz ogólna owa niechęć była skądinąd najwyższą dlań pochwałą. Lekceważąc sobie opinię publiczną z chwilą, gdy ją zbaczać na manowce, poprzestał na baczne śledzeniu najdrobniejszych ruchów armii nieprzyjacielskiej, aby wykorzystać je i ocalić naród wobec jego woli.

Później zaś, gdy odjętem mu zostało naczelne dowództwo, generał ten i minister—jako prawy syn ojczyzny—przeszedł dobrowolnie pod komendę Kutuzowa i świecił aż do końca przykładem wzołowej subordynacji i karności.

III.

Bitwa nad Moskwą.

Nareszcie więc armia rosyjska zatrzymała się! Miłoradowicz, szesnastotysięczny korpus rekrutów i tłumy chłopskiej czerni — z krzyżem

w dłoni a okrzykiem: „Bóg tak chce!” na ustach—nadbiegały połączyć się z wojskiem. Wieść niosła, że nieprzyjaciel okopywał się na równinie, okalającej Borodino, zalewając ruchomą ludzką falą drogi i pola.

Napoleon walną zapowiedział rozprawę. Udzielono armii dwudniowego wypoczynku dla nabrania tchu, oczyszczenia broni i przygotowania zapasów furazu i żywności. Oddziały, wysłane nieco dalej za furazem i trawą, powrócić miały nazajutrz, w przeciwnym zaś razie pozbawione byłyby „zaszczytnego współdziałania w walce”.

Cesarz zapragnął wówczas poznać nowego swojego przeciwnika. Odmalowano mu Kutuzowa jako starca, który przed laty wypłynął na widownię dzięki osobliwej ranie. Następnie umiejętnie korzystał z warunków i okoliczności. Porażka pod Austerlitz, którą przewidział i przepowiedział, zwiększyła jeszcze sławę jego, zarówno jak ostatnie kampanie przeciw Turcyi. Wartość Kutuzowa bezsprzeczna była i niewątpliwa, wymawiano mu jednak zbyt dużą interesowność i wyrachowanie. Geniusz jego—powolny, mściwy i podstępny — z ściągnięciem tatarską chytrym, drogą układnej i cierpliwiej dyplomacyi, przygotowywać umiał bezlitosną, nieubłaganą walkę.

Pozatem, wytrawniejszy jeszcze jako dworak, aniżeli generał, słynny i wpływowy, zręcznym pochlebstwem pozyskał sobie sympatyę całego narodu i każdej poszczególnej jednostki, od generała do prostego szeregowca.

W zewnętrznym jego wyglądzie, w mowie, w odzieniu, nawet w podeszłym wieku oraz prze-

sądnych praktykach i wierzeniach—zachowały się tradycje Suworowa, charakterystyczne narodowe cechy Rosjanina starej daty, które czyniły go drogim sercu rodaków. To też w dniu nominacji Kutuzowa Moskwa cała szalała z radości: ściskano się i całowano po ulicach, najpomyślniejszą wróżąc sobie przyszłość.

Po wysłuchaniu powyższych informacji, gdy wydane już zostały wszelkie rozkazy i zlecenia, Napoleon oczekiwać jął bitwy ze spokojem hartownych i niepospolitych jednostek. Objechał, jak zwykle, posterunki i pobliskie miejscowości. Murat wyprzedził go o kilka mil. Od chwili przyjazdu Kutuzowa, czoła kolumn naszych musiały opędzać się nieustannie od luźnych oddziałów kozackich, które równie natarczywe były, jak łatwe do odparcia. Murat, zirytowany ciąglem ukazywaniem się barwnych czap mołajców, pod wpływem uczuć godnych średniowiecznego rycerza—zdarł konia i pognał samotrzeć przeciwko całemu oddziałowi, tak groźnie potrząsając obnażoną szpadą, że zdumieni barbarzyńcy cofnęli się posłusznie.

Rycerska postać króla, sława jego, świetność kapiącego od złota i haftów munduru, wreszcie zachwałość podobnego czynu — tłumaczą nam ową chwilową przewagę, prawdziwą, choć nieprawdopodobną. Takim był bowiem Murat: król teatralny, jeśli sądzić go zechcemy po dziwacznym i jaskrawym stroju — i prawdziwy monarcha, jeśli weźmiemy pod uwagę istotną wartość jego i niezmordowaną energię; odważny do szaleństwa, zapamiętały w boju, nieznający co to lęk i trwoga.

Pułki nasze zajęły niezwłocznie okoliczne wsie i lasy. Na lewym skrzydle i w centrum — armia włoska, dywizya Compans'a i Murat; na prawem skrzydle—Poniatowski. Atak ogólny był, gdyż zarówno armia włoska, jak korpus Poniatowskiego ukazały się jednocześnie po obu stronach wielkiej kolumny cesarskiej, spychając w kierunku Borodina tylne straże rosyjskie. Walka koncentrowała się zatem w jednym punkcie.

Odsłonięto tym sposobem pierwszą redutę nieprzyjacielską. Zbyt wysunięta ku przodowi—na skutek falistości terenu—reduta broniła lewego skrzydła rosyjskiego, nie będąc w zamian przez nie bronioną.

Compans wykorzystał umiejętnie warunki terenu: z niewielkich pagórków zagrały wnet działa, a pod ich osłoną formowała się piechota. Pierwszy ruszył na bagnety 61-szy pułk: reduta zdobyta została odrazu, lecz nadesłane przez Bagration'a posiłki—odebrały ją niebawem. Trzykrotnie szedł 61 pułk do ataku i trzykrotnie musiał cofać się, wreszcie wdarł się na szczyt — zdziesiątkowany i krwawy.

Gdy nazajutrz cesarz odbywał rewiew pułku tego, na zapytanie: „Gdzie podział się trzeci batalion?”—„Jest tam, w reducie” — odparł pułkownik. Lecz nie dość tego. Pobliski las roił się od jegrów rosyjskich, którzy co chwila wynurzali się z pośród drzew, aby ponawiać atak, podtrzymywany przez trzy dywizye. W końcu jednak, natarcie Morand'a na Szewardyń a Poniatowskiego na lasy Jelni—zniechęciło do reszty armię Bagration'a; jazda Murat'a dokonała dzieła. Męst-

wem i zawziętością odznaczył się zwłaszcza regiment Hiszpanów. Zewsząd party, nieprzyjaciół ustąpił ostatecznie z reduty.

Równocześnie, cesarz wyznaczył pozycję każdemu z tych trzech korpusów. Reszta zaś armii posunęła się naprzód i ogólna strzelanina, przerywana od czasu do czasu salwami armatniami, trwała do późna, tak długo, póki wszystkie oddziały nie zajęły oznaczonego stanowiska.

Jeden z pułków Davouta, zbłądziwszy po nocy, minął naszą pierwszą linię bojową i znalazł się nagle wśród kirasyerów rosyjskich. Zawrzała walka. Rosyanie zabrali nam trzy działa i ubili lub wzięli do niewoli trzystu ludzi. Wkrótce jednak pułk uformował się, tworząc czworobok, niekształtny wprawdzie, lecz bagnietami najezony i ogniem ziejący. Próżne były dalsze zakusy nieprzyjaciela. Pułk—choć mocno przetrzebiony—zdołał cofnąć się na właściwą pozycję.

Cesarz rozłożył się obozem na tyłach armii włoskiej, po lewej stronie traktu. Stara gwardya zwartym otoczyła go pierścieniem. Jak tylko uciły strzały, krwawą czerwienią zapłonęły wnet ogniska. Po stronie rosyjskiej paliły się jasno, szerokiem półkolem; po naszej stronie — nikłym migotały płomieniem, mniej liczne, nierówno rozrzucone, wskutek tego, że pułki nadciągały późno—znużone i senne, że okolica nieznana była, a paliwo w niedostatecznej ilości, dla zupełnego braku lasów, zwłaszcza na lewym skrzydle i w centrum.

Cesarz spał źle i krótko. Zbudziło go przybycie generała Caulaincourt'a który przywiózł wie-

ści ze zdobytej reduty. Ani jeden jeniec nie dostał się w ręce nasze. Napoleon—zdumiony—wypytywał się o szczegóły. „Czy szarża kawalerii spóźnioną była? Czy istotnie postanowili Rosyanie zwyciężyć albo zginąć?”—Odpowiedziano mu, że wojska nieprzyjacielskie „sfanatyzowane przez swoich dowódców, nawykłe do walk z Turkami, którzy dobijają zazwyczaj rannych i mordują jeńców, wołały raczej ginąć, aniżeli poddać się”. Cesarz popadł wówczas w głęboką zadumę. Następnie zaś, sądząc, iż najpewniejszą będzie akcja, oparta na artylerii, kazał przybywać corychlej tym parkom, które nie zdołały jeszcze nadciągnąć.

Tejże nocy, przy wtórze gwałtownej wichury, jał padać drobny i zimny deszcz. Zbliżała się jesień, nowy i groźny wróg, tem groźniejszy, że dostrojony do identycznej ewolucyi w życiu Napoleona; wiadomo zaś, jaki potężny wpływ wywierają pory roku na odnośne fazy ludzkich istnień!

Ileż różnorodnych trosk i niepokojów kryło się w mrocznem łonie tej dżdżystej, posępnej nocy! O chłodzie i głodzie krzatali się oficerowie i żołnierze, czyszcząc broń, naprawiając mocno już wyszarżane i podniszczone mundury; generalowie—a nawet i cesarz—pod wpływem złowróźbnych przepowiedni Murat'a, z lękiem wyglądali świtu, obawiając się, że Rosyanie — zniechęceni porażką poprzedniego dnia—umkną znów pod osłoną nocy. Kilkakrotnie zdawało im się, iż bledną i maleją ogniska nieprzyjacielskie, a podejrzany jakiś gwar rozbrzmiewa w oddali.

Lecz dopiero o dziennym brzasku przygasać zaczęły świetlane kręgi biwaków nieprzyjacielskich.

Tym razem nieprzyjaciel znajdował się w pobliżu. Blade promienie wrześnieowego słońca padły z ukosa na obie armie, które na tych samych stały pozycjach—promienne, radosne. Dobiegała nareszcie kresu ta dziwaczna wojna, nieokreślona i nieuchwytna — a skądinąd nie syta krwawych ofiar i nadludzkich niemal wysiłków; oczekiwana bitwa rozstrzygnąć miała wszystko, postanowić o dalszych losach kampanii!

Cesarz skorzystał był z pierwszych cieniów zapadającego zmierzchu, aby wydostać się między obie linie bojowe i—z pagórka na pagórek—objechać cały front nieprzyjacielski.

Powracając z tego rekonesansu, ułożył ogólny plan bitwy. „Eugeniusz będzie osią i ośrodkiem walki; prawe skrzydło ruszy najpierw w ogień, a gdy zajmie pod osłoną lasu przeciwległą mu baterię, zwróci się nagle na lewo i zaatakuje flank armii rosyjskiej, spychając ją na prawo, ku mostom Kołogi.”

Ująwszy całokształt, zajął się niezwłocznie opracowaniem szczegółów. W ciągu nocy trzy baterie — po sześćdziesiąt dział każda — stanąć miały równolegle do redut rosyjskich; dwie baterie wprost lewego skrzydła, jedna—wprost centrum. Korpus Poniatowskiego, zredukowany do pięciu tysięcy ludzi, wyruszyć miał o świcie starym traktem smoleńskim i obejść las, o który opierało się prawe skrzydło francuskie i lewe rosyjskie, osłaniając jedno a niepokojąc drugie. Szarża Polaków miała być hasłem do boju.

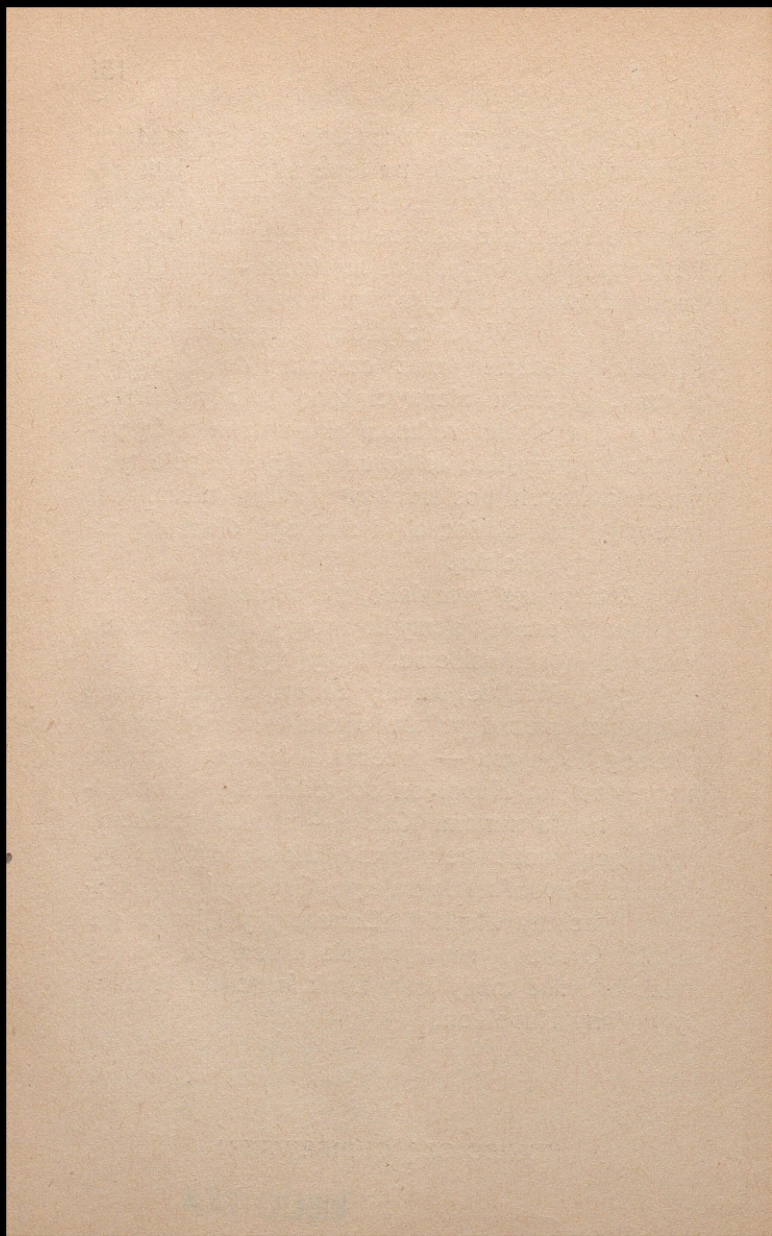
Zagrają wówczas wszystkie działa, grad kul i kartaczy posypie się na lewe skrzydło i na reduty Rosyan, ryjąc w szeregach krwawe bruzdy, okropne szerząc spustoszenie. Jednocześnie — od luf połyskliwa, bagnietami najeżona — runie piechota Davout'a i Ney'a, podtrzymywana przez Junot'a i jego Westfalczyków, przez kawalerię Murat'a, wreszcie przez cesarza i dwudziestotysięczną, groźną a niezwyciężoną gwardyę. Przeciwno tym dwom redutom skierowane będą początkowo wszystkie usiłowania, gdyż zajęcie tych nader ważnych posterunków dawało niezmierną przewagę nad okaleczoną i zewsząd otoczoną armią nieprzyjacielską.

Zważywszy wszelako, że silnie obsadzone centrum i prawe skrzydło rosyjskie zagrażało traktowi moskiewskiemu, który był jedyną linią operacyjną Wielkiej Armii; że przez skierowanie wszystkich niemal pułków swoich — nie wyłączając własnego korpusu — przeciwko lewemu skrzydłu nieprzyjaciela, Napoleon odgradzał się dobrowolnie od traktu nurtami Kołogi — umyślił wzmocnić zajmującą tenże trakt armię włoską dwiema dywizjami Davout'a i kawalerią Grouchy'ego. Dywizya piechoty włoskiej, Bawarczyzy i jazda generała Ornano, razem około dziesięciu tysięcy ludzi, osłaniać miały lewy flank francuski. Takimi były plany Napoleona.

l. i. m. 1325

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

BIBLIOTEKA



PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

MACZKA MLECZNA
NESTLÉ'a

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci.



Kto chce mieć pewność, że używa nabiał czysty, nie fałszowany, niech kupuje tylko ogólnie znane i od lat wielu wypróbowane

produkty mleczne (śmietankę, mleko i serki oraz buljon „lacto“) firmy

„Rozentowo“

i niech nie zwraca uwagi na zachwalenie innych podobnych produktów. Żądać wszędzie.

GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓLESTWO POLSKIE

A. SZMOLKE, WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 149. TELEFONU № 42-71.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński“

w Warszawie
ul. Elektoralna 35, telefon 600
poleca

Karpińskiego
Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połysku-
jącą skłoną do wągrów i pryszczu, oraz przy
tuszczaniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego
Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego
Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.

Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego
Mydła Neutralne

znakomity środek higieniczny do pielęgnowania
twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZEW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI

GAZETA WARSZAWSKA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZPITALNA 14.

TELEF.: REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51.

Rocznie	rb. 9.00	Rocznie	rb. 12.—
półrocznie	„ 4.50	półrocznie	„ 6.—
kwartalnie	„ 2.24	kwartalnie	„ 3.—
miesięcznie	„ 75	Za granicą:	
za odnośnienie do domu 10 kop. mies.		kwartalnie	rb 4.50
Z przysyłką pocztową:		Zmiana adresu 20 kop.	

CENA PRZEDPŁATY W WASZAWIE:

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich agencjach pism, kioskach i na kolejach.

Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

Puder Venus

Najwytworniejszy i higieniczny puder dla pań oraz Krem VENUS

Usuwiający piegi i plamy.

poleca Laboratorium

St. Górskiego, Leszno 12.

„PROMIEN”

Czytelnia dla dzieci i młodzieży (oddział dla dorosłych)
Marszałkowska 119 (parter)
Telef. 181-90.

Książki w 4 językach; prenumer. pism.
Codzienna dezynfekcja książek na miejscu.

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,

ZŁOTYCH I

Z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

FORTEPIANY PIANINA

po cenach najniższych poleca

A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.

tel. 110-38.

Gruntowne reparacje.

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw Sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84

18—24

NAGR. W ZŁOT. MEDALEM W PARYŻU.



Pamiętniki hr. de Ségur

Adjutanta Cesarza Napoleona I.

Przełożyła z francuskiego E. LESZCZYŃSKA.

Część II.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

l. inw. 1325

CZEŚĆ DRUGA.

Dzien, poprzedzający bitwę, upłynął niezwykle spokojnie, jakgdyby na skutek wzajemnego porozumienia się. Pocóż było dokuczać sobie, skoro nazajutrz rozstrzygnąć się miały losy obu armii. Zresztą zajęci byli wszyscy. Zarówno we francuskim, jak w rosyjskim obozie przygotowywano się do boju; poszczególne korpusy opatrywały broń, mundury i amunicję, starając się uzupełnić braki, spowodowane długim i forsownym marszem. Generałowie studyowali gorliwie wydane im rozkazy i zlecenia, aby móżd następnie zastosować się do właściwości terenu i do porużeń innych korpusów—i uniknąć, o ile możności, zbyt częstych, niestety! błędów i pomyłek.

W przeddzień więc straszliwej walki, obaj potężni zapaśnicy obserwowali się wzajemnie, przygotowując się w milczeniu do wiekopomnego starcia.

Pewny tym razem bitwy, cesarz powrócił do swego namiotu, ażeby odpowiednie wydać roz-

kazy i rozważyć w skupieniu wszelkie szanse walki. Pilnie przeglądał wykazy kadrów poszczególnych dywizji, wiarogodne w chwili, gdy spodziewana była bitwa — a nie rewia lub też manewry. Obie armie równemi, mniej więcej, rozporządzały siłami: tak w jednej jak w drugiej około stu dwudziestu tysięcy ludzi i sześćset dział. Dzięki znajomości terenu, dzięki jednolitości języka, mundurów i narodowości, jednolitości celów i ideałów — przewaga była niewątpliwie po stronie Rosyan; lecz skądinąd znaczna część wojsk rosyjskich składała się z luźnych, niewyćwiczonych oddziałów i z nieobytego z wojennem rzemiosłem rekruta. Francuzi zaś — równi liczbą, lecz bardziej wartościowi jako żołnierze, mimo tysiącznych przeciwności, które od początku kampanii przetrzebiły znacznie szeregi — zdrowi, silni, sprężyści, przypominali posąg dojrzałego mężczyzny, który stracił wprawdzie giętkość linii chłopcica, ale zyskał natomiast na sile i wytrzymałości.

A jednak, od kilku dni, ucichł zwykły gwar obozowy, umilkła wrzawa: armia milcząca była i cicha, tą ciszą, która poprzedza w przyrodzie burzę, a w życiu — wielkie niebezpieczeństwo.

Wszyscy, bez wyjątku — od generała do prostego żołnierza — łaknęli spokoju i wypoczynku, chociażby nawet spokoju mogiły; warunki zaś ułożyły się w ten sposób, że trzeba było zwyciężyć, albo zginąć. Cesarz zdawał sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, oceniał należycie grozę sytuacji. Wiedział wszelako, iż mimo wszystko, mimo dotychczasowego przebiegu kam-

panii — armia niepodzielnie jest mu oddana, że własnym ufa siłom i bez trwogi spogląda w przyszłość.

Około południa Napoleon dostrzegł w obozie nieprzyjacielskim niezwykle ruch. W rzeczy samej, cała armia rosyjska stanęła pod bronią. Przed frontem ukazał się Kutuzow w otoczeniu kleru i świty. Przodem szli popi i archimandryci w bogatych wschodnich szatach, niosąc czczone powszechnie obrazy i posągi, w pierwszym rzędzie cudowny obraz Matki Boskiej Smoleńskiej, niegdyś opiekunki i królowej tego miasta, cudem rzekomo uratowanej ze świętokradzkich dłoni Francuzów.

A gdy jednakiem wzruszeniem rozkołysały się wszystkie serca — zabrał głos Kutuzow, wskazując na niebiosa, jako na jedyną ojczyznę uciemiężonych, niewolniczych tłumów. W imię religii, która nie zna hierarchii, ani klas społecznych, w imię cudownego obrazu, który schronił się pod opiekuńcze skrzydła sztandarów rosyjskich — nawołuje tych ciemnych pańszczyźnianych chłopów do walki z najeżdżcą, do obrony zagrożonego mienia panów; usiłuje rozpalić w tych półdzikich duszach płomień zapału i nienawiści.

Według Kutuzowa: „Napoleon jest ciemną wszystkich narodów! tyranem całego świata! nędznym płazem! buntownikiem, który burzy ołtarze i kala je krwią, który — pod postacią cudownego obrazu — naraża prawdziwą Arkę Pańską na świętokradzki dotyk rąk ludzkich, na jesienny chłód i szarugę.”

Przypomina następnie żołnierzom spalone

wsie i miasta, żony ich i dzieci, cesarza i ojczyznę—i kończy, odwołując się do ich patryotyzmu i pobożności, do cnót wrodzonych tym prostaczym ludom.

Uroczysta przemowa Kutuzowa, nawoływania oficerów, modły i błogosławieństwa kleru — pożądane wydały skutki. Wszyscy, nie wyłączając ciur obozowych—uwierzyli, iż zesłani są przez Boga dla obrony kościoła prawosławnego i ojczystej ziemi.

Zgoła inaczej upłynął dzień w obozie francuskim. Nie było ani rewii, ani uroczystego ceremoniału kościelnego i wojskowego; nie stosowano żadnych środków sztucznie podniecających. Nawet proklamacya cesarza wieczorem dopiero została rozesłana i tak późno odczytana naza jutrz, że kilka korpusów wyruszyło — nie wysłuchawszy jej. Jednakowoż, podczas gdy Rosyanie wzywali jeszcze ognistego miecza archanioła Michała i pomocy wszystkich potęg niebieskich, Francuzi na własnych polegali siłach, ufni w to, iż prawdziwa moc i prawdziwe królestwo boże jest w sercu ludzkim.

Przypadek zrządził, iż tegoż dnia cesarz otrzymał z Paryża portret króla rzymskiego, dziecięcia, którego narodziny witane były entuzjastycznie zarówno przez Napoleona, jak przez całą Francję. Jasna główka syna stała się odtąd najgłębszem ukochaniem, nadzieją i radością cesarza. To też widok tej niewinnej twarzyczki — wśród obcej, nieznanej krainy, w przededniu krwawej bitwy, przejął rycerską duszę cesarza osobli-

wą tkliwością i rozrzewnieniem. Własnoręcznie ustawił portret przed swoim namiotem, poczem zwołał oficerów, a nawet i żołnierzy starej gwardyi, pragnąc podzielić się z nimi swoim wzruszeniem, pragnąc ukazać tej wielkiej rodzinie jedyną latorośl swojego rodu — świetlany symbol nadziei wobec grozy wielkiego niebezpieczeństwa.

Wieczorem przybył do kwatery cesarskiej adjutant Marmont'a, wysłany z raportem o porażce pod Aropylami. Był to ten sam Fabvier, który zaznaczył się następnie w dziejach wewnętrznych naszych niesnasek. Cesarz przyjął życzliwie adjutanta pokonanego generała. W przededniu ze wszech miar niepewnej walki, pobłażliwie usposobiony był dla innych. Wysłuchał więc cierpliwie drobiazgowego raportu o rozdrobnieniu wojsk naszych w Hiszpanii, o nadmiernej liczbie naczelnych wodzów; wyluszczył następnie kierujące nim pobudki i na tem zakończył audyencyę.

Nadeszła noc, a wraz z nią obawa, aby armia rosyjska nie umknęła raz jeszcze z pola bitwy. Obawa ta płoszyła sen z powiek Napoleona. Co chwila budził się, pytając o godzinę, nasłuchując, czy nie dolatuje jaki gwar z obozu nieprzyjacielskiego. Tak dalece niepewny był losów następnego dnia, że wraz z proklamacją wyszedł rozkaz odczytania jej dopiero nazajutrz rano, w razie, gdyby bitwa istotnie dojść miała do skutku.

Chwilowo uspokojony, niebawem jednak — dla wręcz innych przyczyn — w posępną popadał

zadumę. Przeraziła go nędza żołnierzy, znużenie ich i wymizierowane, pobladłe od głodu i trudów twarze. W krytycznym owym momencie oglądał się przede wszystkim na gwardyę, dotychczas nienaruszoną, która zdawała się być jedyną ucieczką i oparciem dla obu armii. Przywoływany kilkakrotnie marszałek Bessières, któremu cesarz powierzał najchętniej komendę nad gwardyą, otrzymał liczne rozkazy i zlecenia, dotyczące wszelkich, najdrobniejszych nawet szczegółów. W myśl instrukcyi cesarza, każdy żołnierz dostać miał z zapasowych furgonów trzydniową porcyę ryżu i sucharów. Obawiając się nadto, że rozporządzenia jego nie zostały może należycie spełnione, cesarz zerwał się z łóżka i wypytywał osobście stojących u wejścia do namiotu grenadyerów, czy i o ile otrzymali oznaczoną porcyę. Wobec twierdzącej odpowiedzi, zadowolony, położył się i zasnął.

Lecz niebawem woła znów przybocznego swojego adjutanta i z głową wspartą na dłoni — głośno tym razem — snuje przedzę posępnych myśli. „Czem jest wojna?... Rzemiosłem, godnem barbarzyńców, brutalnem prawem siły i przemocy!” Następnie, bądź to skarży się żałośnie na zmienność losu, zmienność, której i on już zaczyna jakoby doświadczać; bądź też przypomina sobie wszystko to, co słyszał o Kutuzowie, o jego ślamazarności i niedołęztwie — i dziwi się, iż nie zamianowano naczelnym wodzem Bennigsen'a. W końcu, rozmyślając o krytycznej sytuacji, jaką sam dobrowolnie wytworzył, dodaje: „Dzień ju-

trzejszy krwawo zapisze się na kartach historii; walka straszliwa będzie i nieubłagana.” — A gdy na zapytanie: „Czy zwyciężymy jutro?” — Rapp odpowiada: „Niewątpliwie, lecz kosztem wielu ofiar”—Napoleon podejmuje ponownie przerwany monolog: „Wiem o tem, lecz rozporządzam obecnie osiemdziesięciu tysiącami ludzi; wejdę do Moskwy z sześćdziesięciu tysiącami; potem nadciągną maruderzy oraz zapasowe bataliony i liczniejsi będziemy, aniżeli przed bitwą.”

W obliczeniach tych nie brał jednak wcale w rachubę ani gwardyi, ani też kawaleryi. Chwilę później—pod wpływem obawy i niepokoju—kazał znów obserwować pilnie zachowanie się Rosyan. Lecz ognie nieprzyjacielskie wciąż jasnym paliły się płomieniem, a wnosząc zarówno z ilości biwaków, jak i z widniejącego w oddali ludzkiego mrowia, nie były to jedynie tylne straże, ale cała armia nieprzyjacielska. Obecność Rosyan uspokoiła Napoleona. Cisza zapanowała w namiocie cesarskim.

Lecz torsowne marsze ubiegłych dni, nadmiar trudów, trosk i kłopotów — odbił się ujemnie na zmęczonym i wyczerpanym organizmie. Dołączyło się do tego zaziębienie, gorączka i kaszel, głównie zaś silny atak zadawnionego cierpienia nerek i pęcherza. Napróżno usiłuje cesarz ugasić palące go pragnienie. Reszta nocy upływa bezsenie — w gorączkowym podnieceniu.

Wybiła wreszcie godzina piąta. Zjawił się—wysłany przez Ney'a — oficer z wiadomością, że Rosyanie nie cofnęli się i że marszałek pragnie

rozpocząć akcję. Wieść ta przywróciła cesarzowi utracone częściowo siły. Wstał czemprowadzę i wyszedł w otoczeniu sztabu — wołając: „Nareszcie mam ich w rękę! Idźmy teraz otworzyć bramy Moskwy!”

Było wpół do szóstej, gdy Napoleon dotarł do reduty, zdobytej 5-go września. Postanowił czekać tam świtu i pierwszych wystrzałów korpusu Poniatowskiego. Powoli rozwidniło się: z poza mrocznej rubieży dalekich lasów wyjrzała ognista tarcza. Cesarz zawołał wówczas radośnie: „Oto słońce z pod Austerlitz!” — Lecz los nie sprzyjał nam: oślepiające promienie słoneczne padały wprost na pułki nasze, ułatwiając Rosyanom celność strzałów. Wtedy dopiero spostrzeżono, że ustawiane po nocy baterie zbyt daleko są od nieprzyjaciela. Co tchu więc wysunięto je ku przodowi. Pułki rosyjskie stały tymczasem nieporuszone. Złowroga cisza zaległa pole bitwy.

Uwaga cesarza skierowana była wyłącznie na prawe skrzydło, gdy wtem nagle — około siódmej — zawrzała na lewym skrzydle walka, ryknęły działa. Dowiedziano się wkrótce, że jeden z regimentów ks. Eugeniusza — pułk 106-ty — zajął wioskę Borodino i most na rzece; że, powinien był most ten zburzyć; lecz że uniesiony zapalem, mimo rozkazów i nawoływań dowódcy, przeszedł przez rzekę i zaatakował wzgórze, okalające wieś Górki, pod morderczym ogniem Rosyan, którzy ostrzeliwali go z frontu i z flanków.

Padł generał, padło wielu oficerów a regiment zupełnej uległby zagładzie, gdyby nie to, iż 92-gi pułk nadbiegł z odsieczą i dopomógł do odwrotu zdziiesiątkowanym i krwawym szeregom.

Odsiecz ta nadeszła na skutek wyraźnego rozkazu Napoleona. Możliwem jest, iż cesarz sądził, że rozkaz jego połowicznie tylko będzie spełniony, lub też że chciał skupić na tym punkcie uwagę nieprzyjaciela. Jakkolwiekby — wysyłał rozkaz za rozkazem, wskazówkę za wskazówką i ostatecznie — zamiast na półkolistej toczyć się linii — bitwa skoncentrowała się przedewszystkiem u czoła kolumn, zmieniając całkowicie pierwotne plany i zamiary cesarza.

W trakcie utarczki tej cesarz — przekonany, że Poniatowski stanął już na starym trakcie moskiewskim — dał hasło do ataku. Zakolebała się spokojna dotychczas równina, ogniem i dymem zionęły omglone wzgórza, posypał się grad kul i kartaczy. Wśród świstu i warkotu pocisków, ruszył na pierwszą redutę nieprzyjacielską Davout z dywizjami Compans'a i Desaix'a i trzydziestu działami.

Na liczne salwy Rosyan odpowiadają tylko działa nasze. Piechota biegnie, nie strzelając, aby dopaść corychlej nieprzyjaciela i zmusić go do milczenia. Lecz niebawem pada ranny generał Compans i najwaleczniejsi jego żołnierze; reszta — oszołomiona — zatrzymuje się już pod morderczym ogniem, żeby strzałami odpowiedzieć, gdy w zastępstwie Compans'a — Rapp obejmuje ko-

mendę. Błysnęła stal bagnetów... Biegiem ruszyli żołnierze na redutę.

Lecz w pobliżu reduty kula ugodziła Rapp'a w pierś: była to dwudziesta druga rana, jaką otrzymał w życiu. Z kolei raniony został trzeci generał; wreszcie i sam Davout. Rapp'a zaniecono do cesarza, który rzekł dobrotliwie: „Zawsze niepoprawny jesteś, Rapp! Co się tam dzieje?” Adjutant odparł, iż należałoby posłać w ogień gwardyę: „Nic z tego!—zawołał Napoleon. — Nie chcę zaprzepaszczać gwardyi! Wygram bitwę i bez niej!”

Na czele trzech dywizyi swoich, podówczas zredukowanych już do dziesięciu tysięcy ludzi — podążył wtedy z odsieczą Ney. Nieprzyjaciel podwoił ogień. Ney przyśpieszył kroku. Widząc, iż potrzymany jest 57-my pułk Compans'a, ostatkiem sił wdarł się na szanice. Zawrzała bezlitosna walka, ziemia spłynęła krwią, lecz reduta została zdobyta. Równocześnie Ney przypuścił tak gwałtowny szturm do pozostałych dwóch redut, że wydarł je również z rąk nieprzyjacielskich.

Dobiegało południe. Wobec porażki lewego skrzydła rosyjskiego i częściowego zajęcia równiny, cesarz polecił Murat'owi dokonać dzieła. Chwilę później jazda Murat'a ukazała się na pobliskich wzgórzach, oko w oko powracającym tłumnie szeregom nieprzyjacielskim, druga bowiem linia rosyjska i zapasowe bataliony — wiedzione przez Bagawuta, a przysłane przez Tuczkowa — nadbiegały na pomoc pierwszej linii w celu odebrania utraconych redut. Francuzi — oszołomieni jeszcze zwycięstwem — jęli cofać się bez oporu.

Westfalczyki, wysłani przez Napoleona na pomoc Poniatowskiemu, przechodząc przez las, który dzielił księcia od reszty armii, wśród tumanów kurzu i dymu, ujrzeni cofające się szeregi nasze. Pewni, iż są to Rosyanie—zaczęli strzelać. Pomyłka ta, podtrzymywana dłuższy czas uporem Westfalczyków, zwiększyła jeszcze nieład i zamieszanie.

Ruszyła wówczas do ataku jazda rosyjska. Murat — zewsząd osaczony — zdołał zaledwie schronić się do reduty. Lecz i tutaj panował popłoch: wylękli żołnierze biegali bezradnie dookoła parapetów, szukając raczej drogi do odwrotu, aniżeli środków do obrony.

Wszelako obecność króla i nawoływania jego pożądanym wywarły wpływ. Ze szpadą w jednej dłoni, a pióropuszem w drugiej, z gołą głową, własnym świecąc przykładem — skrzyknął rozproszoną załogę i poprowadził ją na wały. Równocześnie Ney uformował ponownie dywizye swoje. Celne strzały jego piechoty złamały wkrótce szyki nieprzyjacielskie: kirasyerzy cofnęli się, a Murat zajął po raz wtóry wzgórze.

Poczem bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo, na czele jazdy Bruyéres'a i Nansouty'ego — ruszył w skok na nieprzyjaciela. Pod naporem ludzkich i końskich piersi zachwiały się szeregi rosyjskie. Murat nacierał coraz zapałczywiej, wreszcie zmusił Rosyan do odwrotu—uzupełniając w ciągu godziny całkowite rozbitcie lewego ich skrzydła.

Lecz nienaruszone były jeszcze wzgórze zburzonej wsi Semenówki, o którą opierała się

lewica centrum rosyjskiego oraz zapasowe bataliony, nadsyłane ustawicznie przez Kutuzowa z przeciwległego skraju kolumny. Morderczy ich ogień paraliżował ruchy Ney'a i Murat'a. Trzeba więc było — za wszelką cenę — zdobyć tę pozycję. Najpierw ruszył Maubourg z jazdą swoją; za nim Friand — jeden z generałów Davout'a — z oddziałem piechoty. 15-ty pułk — z Dufour'em na czele — wdarł się pierwszy na szczyt strome go tego wzgórza i wyparł Rosyan z wioski, której ruiny niedostatecznie były obwarowane. Friand — jakkolwiek ranny — poparł gorliwie atak Dufour'a i dopomógł mu do zwycięstwa.

Należało poprzeć corychlejakcję, rozpoczętą tak pomyślnie. Lecz Murat i Ney — wyczerpani doszczętnie — zatrzymują się, prosząc o posiłki. Wbrew jednak przyzwyczajeniu i tradycji, Napoleon waha się długo: wysyła i cofa rozkazy. Wreszcie, w mniemaniu, iż nie nadszedł jeszcze decydujący moment, pozostawia Friand'a i Maubourg'a na straży wzgórz Semenówki.

Lecz Kutuzow korzysta skwapliwie z niespodziewanej zwłoki: wszystkie bataliony rezerwowe, nie wyłączając gwardyjskich pułków — dążą z odsięczą zagrożonej lewicy. Dzięki posiłkom tym, Bagration formuje się ponownie, oparłszy prawe skrzydło o wielką baterię, którą usiłuje zdobyć ks. Eugeniusz, lewe o las, zamykający pole bitwy w kierunku Psarewa. Atakuje równocześnie na całej linii; piechota, artyleria i jazda idą wraz z jednakowem męstwem i zapalem. Nie myśląc już o dalszych sukcesach, Ney i Murat

dobrywają ostatka sił, aby utrzymać się na zajmowanych pozycjach.

Broniący Semenówki żołnierze Friand'a — odpierają pierwszą szarżę. Lecz niebawem, morderczym prażone ogniem, łamią się i cofają zwarte ich szeregi; jeden z pułkowników nakazuje odwrót. W krytycznym owym momencie Murat biegnie ku niemu, a uchwyciwszy go za kark — krzyczy ze złością: „Co pan robisz?” — Wskazując wówczas dłonią na piętrzące się dookoła stosy trupów i rannych, pułkownik odpowiedział: „Wasza Król. Mość widzi, że nie sposób dłużej tu pozostać”. — „A jednak ja tu zostanę!” — wrzasnął król. Na te słowa oficer stanął, utkwił w Muracie badawczy wzrok i rzekł po chwili: „Wasza Król. Mość ma rację!.. Żołnierze, na prawo zwrot! Gińmy zatem!”

Tymczasem Murat po raz wtóry wysłał do cesarza Borelli'ego z prośbą o pomoc. Borelli domaga się natarczywie posiłków — ukazując na zbliżających się Rosyan, na spowite kłębami dymu wzgórza i na coraz liczniejsze pociski, z których kilka kona z sykiem niemal u stóp Napoleona. Wreszcie, cesarz obiecuje posłać młodą swoją gwardyę. Zaledwie jednak zakolysały się szeregi — głośnym okrzykiem rozkaz cofa. Wszelako, pod pozorem zrównania szeregów, hr. de Lobau nieznacznie wysuwa gwardyę naprzód. Lecz Napoleon dostrzegł podstęp i rozkaz powtórzył.

Na szczęście, w tejże samej chwili wyruszyła ku zagrożonym wzgórzom artylerya zapasowa pod wodzą Lauriston'a, który raczej wyjednał

sobie u cesarza pozwolenie na ten manewr, aniżeli usłuchał wydanych mu rozkazów. Wkrótce jednak—potrzeba skoncentrowania w tym punkcie znaczniejszej ilości dział wydała się cesarzowi tak nieodzowna, że poraz pierwszy od początku bitwy z nietajonem zniecierpliwieniem i niepokojem śledzić jął poruszenia Lauriston'a.

Niewiadomo, czy źródłem owego niepokoju nie była troska o ostateczny wynik usiłowań Poniatowskiego i ks. Eugeniusza, walczących na przeciwległych dwóch skrzydłach armii naszej; nie ulega wszakże najmniejszej wątpliwości, że cesarz obawiał się, iżby Rosyanie, uszedłszy rąk Polaków Poniatowskiego, nie zajęli pola bitwy poza Ney'em i Murat'em. W każdym bądź razie, była to jedna z przyczyn, dla których zatrzymał przy sobie gwardyę. Na wszelkie, zadawane mu pytania, odpowiadał: „Że chce lepiej rozejrzeć się; że właściwa bitwa, w której on sam weźmie udział — nie jest jeszcze rozpoczęta; że walka długa będzie i zażarta; że należy być cierpliwym; że czas jest podstawą i zasadniczym składnikiem wszechrzeczy; że z obecnej sytuacji żadnych jeszcze nie można wysnuwać wniosków“. A, zapytawszy się o godzinę—dodawał: „Jeszcze czas! Rozpocznę dopiero za dwie godziny!”

Lecz nie rozpoczął wcale. Przez cały niemal dzień siedział lub przechadzał się powoli, nieco na lewo od reduty, zdobytej 5-go września, nad brzegiem głębokiego jaru — zdała od bitwy, którą zaledwie dostrzedz mógł, z chwilą, gdy przesunęła się poza wzgórze: apatyczny, równie obojętny względem pułków nieprzyjacielskich, jak

i względem własnych swoich szeregów. Wieści o zgonie najlepszych, najdzielniejszych generałów przyjmował ze smutną rezygnacją, bez żadnych jednak zewnętrznych objawów żalu. Kilkakrotnie zrywał się i szedł brzegiem wąwozu, lecz po chwili siadał znów -- bezsilny.

Wszyscy przyglądali mu się ze zdumieniem. Dotychczas, w chwilach istotnie ważnych, cesarz imponował spokojną a niezmordowaną energią; lecz w owym pamiętnym dniu był to spokój bezwładu, bierna i apatyczna łagodność. Niektórzy mniemali, iż przygnębienie cesarza było jedynie zwykłym następstwem przeżytych gwałtownych wzruszeń; inni wyobrażali sobie, że dusza jego syta już była wszystkiego, nie wyłączając krwawych wrażeń, jakich dostarczało pole bitwy. Inni jeszcze twierdzili, że spokojna wytrwałość i zimna krew wielkich ludzi, wobec niebezpieczeństwa, przeobraża się z wiekiem w ociężałość i ślamazarność. Najgorliwsi motywowali zachowanie się cesarza niezwykłą rozległością linii bojowej, która domagała się stałego punktu zbornego dla dostawy raportów i odbioru wszelkiego rodzaju zleceń i rozkazów. Inni wreszcie — bardziej trafnie — przypisywali apatyę cesarza nadwątlonemu zdrowiu, poczynającej się ciężkiej i bolesnej chorobie.

Generałowie artylerji, którzy dziwili się również swojej bezczynności, skorzystali skwapliwie z danego im pozwolenia na współdziałanie w walce. Niebawem zadymiły się wszystkie wzgórza. Osiemdziesiąt dział zagrało wraz. Pierwsza ruszyła na armaty kawalerya rosyjska, lecz wkrótce musiała cofnąć się poza piechotę.

W zwartych szeregach rosnących piechurów rosyjskich, pociski nasze orały krwawe i głębokie bruzdy; z piekielnym świstem leciały roje kul i kartaczy. Lecz mimo to, pułki szły wciąż na przód. Pod morderczym ogniem naszych baterii padały odrazu całe plutony. Napróżno usiłowali żołnierze utrzymać ciągłość szeregów; co chwila na stratowaną ziemię waliły się z jękiem coraz to liczniejsze, straszliwe, okaleczone postacie.

W końcu pułki zakolysały się i stanęły. Bądź to, iż na widok tyłu okropności opanowało nimi uczucie grozy; bądź też, iż w owej właśnie chwili Bagration został raniony, a generałowie jego — wobec niepowodzenia — nie mieli tak, jak Napoleon, daru operowania równocześnie kilkoma korpusami, z zachowaniem zupełnego ładu i jednolitości działania. Przez dwie godziny stał bez ruchu ten bezduszny tłum, coraz gęściejszym padając trupem. Bitwa zamieniła się w rzeź. Kanonierzy nasi patrzyli z podziwem na bezmyślną, ślepią i zrezygnowaną odwagę hufców rosyjskich.

Wreszcie znużenie ogarnęło zwycięzców. Gniewała ich opieszałość tej walki armatniej. Zresztą dobywano już z ładownic ostatnich naboju. Decydują się przeto wodzowie: Ney rusza naprzód, rozciągając swoje prawe skrzydło tak, aby obejść mogło corychlej z lewej strony kolumnę rosyjską. Davout i Murat atak podtrzymują i szczątki korpusu Ney'a odnoszą zwycięstwo nad szczątkami armii Bagration'a.

Walka cichnie wówczas na równinie, koncentrując się wyłącznie na wzgórzach, zajmowanych przez nieprzyjaciela i dookoła wielkiej re-

duty, atakowanej przez ks. Eugeniusza, a bronionej uparcie przez centrum i prawe skrzydło rosyjskie pod wodzą Barclay'a.

Całe tedy prawe skrzydło francuskie—Ney, Davout i Murat—odniósłszy zwycięstwo nad wojskami Bagration'a i połową linii nieprzyjacielskiej, stanęło około południa wprost okaleczalego flanku armii rosyjskiej, wprost szczyrby, przez którą widać było zapewne pułki Kutuzowa, pozabawione wszelkiej osłony tyły jego, a nawet drogę ewentualnego odwrotu.

Zbyt słabi wszelako, żeby runąć do środka, poza potężną jeszcze linię, trzech wodzowie domagają się jednogłośnie pomocy gwardyi: „Młoda gwardya niechaj idzie za nami! Niechaj tylko ukaże się i zluzuje nas na wzgórzach! Wówczas zaś my sami dokonamy dzieła!”

Wysłany do cesarza generał Belliard—oświadcza: „Że z zajmowanych przez nich pozycji dostrzedz można wyraźnie trakt, wiodący do Możajska, poza armią rosyjską; że na trakcie tym widać oddalającą się zwartą kolumnę uciekinierów, rannych i wozów; że należałoby wprowadzić przebyć jeszcze wąwóz i zagajnik, o którym zapomnieli śnać zbici z tropu generałowie rosyjscy, lecz że wszelkie podjęte w tym kierunku usiłowania obfity wydałyby plon, decydując nieodwołalnie o dalszych losach wojny i armii nieprzyjacielskiej”.

Cesarz jednak waha się, wątpi, wreszcie wysłał Belliard'a napowrót, ponownego żądając raportu.

Zdziwiony i gniewny, generał powraca nie-

bawem z wiadomością: „Że nieprzyjaciel zdołał już rozejrzeć się w sytuacji; że batalion jegrów—rozsypany w tyralierkę—osłania już zagajnik; że pierzchnie wnet bezpowrotnie niezwykle korzystna sposobność; że niema jednej chwili do stracenia, w przeciwnym zaś razie trzeba będzie stoczyć drugą bitwę, żeby utrzymać wyniki pierwszej”.

Lecz Bessières, którego Napoleon wysłał był na wzgórze w celach wywiadowczych — upewnia: „że Rosyane cofnęli się w najlepszym ordynku na inną pozycję i że zdają się przygotowywać gorliwie do ponownej walki”. Cesarz oznajmia wówczas Belliard’owi, „że sytuacja nie jest jeszcze dość jasna; że zanim pchnie w ogień swoją rezerwę, pragnie rozejrzeć się lepiej na „szachownicy”. Wyrażenie to powtarza kilkakrotnie, wskazując z jednej strony na stary trakt moskiewski, którego nie zdołali jeszcze zdobyć Polacy Poniatowskiego; z drugiej strony—na tyły naszego lewego skrzydła, atakowane przez jazdę nieprzyjacielską; wreszcie na wielką redutę, o którą rozbiły się usiłowania ks. Eugeniusza.

Belliard — przerażony — powraca do króla i opowiada: „iż niepodobieństwem jest wydostać od Cesarza rezerwę; że zastał Napoleona na tem samem miejscu, w takim samym stanie przygnębienia i apatii, z zapadniętą twarzą i przygasłym wzrokiem; że cesarz robi wrażenie człowieka chorego; że zdaje się być najzupełniej obojętnym na wszystko, nawet na przebieg toczącej się bitwy”.—Popędliwy i szorstki Ney niepo-

nym wybuchu wtedy gniewem: „Czyż po to uszliśmy tyle mil, aby poprzestać na jednym pobojuwisku? Co porabia cesarz na tyłach armii? Jaką jest rola jego w dzisiejszej bitwie? Skoro nie chce osobiście wojny prowadzić, skoro nie jest już generałem jeno cesarzem, niechaj powraca raczej do Tuileryów, a nam pozostawi dowództwo”.

Murat przyjął znacznie spokojniej raport Belliard'a. Przypomniawszy sobie, iż poprzedniego dnia, w czasie objazdu linii nieprzyjacielskiej, cesarz zsiadł kilkakrotnie z konia i z czołem wspartem o działa, z przymkniętymi oczyma — stał bez ruchu. Wiedząc nadto, jak dalece niespokojną i bezseną była ubiegła noc, przerywana gwałtownymi napadami kaszlu i dreszczy—król rozumiał, że znużenie oraz ujemny wpływ pierwszych szarug jesiennych podcięły wyniszczony już organizm i że w krytycznym owym momencie lotny geniusz cesarza był jakgdyby przykuty do ziemi przez niemoc cielesnej powłoki, uginającej się pod potrójnem brzemieniem zmęczenia, gorączki i choroby—brzemieniem, które przewyższyło niewątpliwie zarówno fizyczne, jak duchowe siły Napoleona.

Nie brakło wszelako zewnętrznych podnieć. Wkrótce po odjeździe Belliard'a, Daru, nagabywany przez Dumas'a, a zwłaszcza przez Berthier'a—półgłosem uwiadomił cesarza, iż wszyscy domagają się jednogłośnie współdziałania gwardyi. „A czem wojować będę, jeśli wypadnie stoczyć jutro ponowną bitwę?”—odparł Napoleon. Minister nie nalegał dłużej, zdumiony niepomiernie

tem, że po raz pierwszy w życiu cesarz odkładał do następnego dnia chwilę, decydującą o dalszych jego losach.

Tymczasem Barclay, na czele prawego skrzydła, stawiał mężnie czoła ks. Eugeniuszowi, który natychmiast po zajęciu Borodina przebył Kołogę wprost wielkiej reduty nieprzyjacielskiej. W tym zwłaszcza punkcie Rosyanie pewni byli wygranej, ufnie w spadzistość wzgórze, w grzązkie dno głębokich jarów, w obronność szańców swoich, najeżonych przeszło osiemdziesięciu działami, które okalały całą redutę ognistym wieńcem. Lecz zawiodły wszystkie te rachuby; niedostatecznymi okazały się wszelkie—zarówno naturalne, jak sztuczne—środki obrony. Nagły podmuch słynnej na świat całej „furyi francuskiej” — powiał nad idącymi do szturm żołnierzami Morand’a. Reduta została zdobyta, a Rosyanie zmuszeni do odwrotu.

Bohaterskiego tego czynu dokonało tysiąc ośmiuset ludzi z 30-go pułku pod wodzą generała Bonnamy.

Odnaczył się tam-że Fabvier, ów adjutant Marmont’a, przybyły poprzedniego dnia z Hiszpanii: jako ochotnik, stanął na czele najbardziej wysuniętego ku przodowi oddziału strzelców pieszych jakgdyby chcąc udowodnić wobec Wielkiej Armii, iż w chwilach największego niebezpieczeństwa — żołnierze z poza Pirenejów zawsze w pierwszym idą szeregu, obojętni na śmierć i na rany.

Niebawem jednak padł ranny na szańcach zajętej chwilowo reduty. Zwycięstwo trwało bo-

wiem krótko, bądź to wskutek zbytniego pośpiechu pierwszych szeregów napastniczych, bądź też wskutek opieszałości idących za nimi batalionów. Nad brzegiem wąwozu, którego głębina osłaniała z tej strony działa nieprzyjacielskie — zatrzymało się podobno kilku naszych oficerów. Morand stanął tedy sam jeden wobec wojsk rosyjskich. Dobiegała zaledwie dziesiąta. Z prawej strony — Friand gotował się dopiero do ataku na Semenówkę; z lewej — nie ukazały się jeszcze dywizye Gérard'a i Broussier'a, oraz gwardya włoska.

Zresztą atak ten nie powinien był przybrać takich rozmiarów; chodziło bowiem jedynie o przytrzymanie Barclay'a w pobliżu reduty, gdyż, według pierwotnego planu cesarza, bitwa miała rozpocząć się na prawem skrzydle, a później dopiero zwrócić się ku lewemu skrzydłu. Trudno dościec dlaczego — w chwili wykonania planów swoich, cesarz zmienił je całkowicie; on to bowiem, gdy tylko zagrały działa, jął słać do ks. Eugeniusza oficera za oficerem, nagląc do coraz bardziej stanowczej akcji.

Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, Rosyanie tłumnie zewsząd nadbiegli. Kutaisow i Jermołow objęli dowództwo. 30-ty pułk, sam jeden wobec całej armii, śmiało ruszył na bagnety. Wkrótce jednak, pod naporem stokroć liczniejszego nieprzyjaciela, krwawy, zdziesiątkowany, ustąpić musiał z reduty, pozostawiając na placu trzecią część swoich żołnierzy oraz walecznego generała Bonnamy, który padł przeszyty dwudziestu kulami. Kozuchwaleni zwycięstwem Rosyanie — morderczy rozpoczęli ogień. Dookoła redu-

ty zawrzała wściekła walka. W ciągu czterech godzin, pod gradem kul i kartaczy, utrzymywali się Francuzi na stokach straszliwego tego wulkanu. Działał na nich podniecająco osobisty wpływ ks. Eugeniusza, głównie zaś wspomnienie ubiegłych lat, sławą promiennych.

Każda dywizya kilkakrotnie zmieniała generalów. Wicekról biegał od jednej do drugiej, z prośbą lub wymówką na ustach, dawne przypominając zwycięstwa. Uwiadomić kazał cesarza o grożącym mu niebezpieczeństwie; lecz Napoleon odpowiedział: „Że w niczem nie może mu dopomódz; że księżę powinien raz jeszcze wyteńczyć wszystkie siły i zdobyć redutę, gdyż od niej zawisły losy całej bitwy”. W myśl odpowiedzi tej wicekról gromadził już wszystkie swoje pułki, aby generalny przypuścić szturm, gdy wtem nagle—na lewem jego skrzydle — wściekle ozwały się okrzyki.

Uwarow, kilkotysięczny oddział kozaków i dwa pułki jazdy szarpały naszą rezerwę. Zaczynały cofać się otoczone zewsząd szeregi. Lecz wicekról, przy współudziale generalów Delzons'a i Ornano—odparł wkrótce owe bardziej hałaśliwe aniżeli istotnie groźne hufce nieprzyjacielskie. Poczem stanął niezwłocznie na czele wojsk swoich.

W tejże samej chwili, Murat — skazany na całkowitą beczynność wśród zajętej przez się równiny—po raz czwarty siał do cesarza gońca z raportem o spustoszeniach, jakie szerzyli w pośród jego kawaleryi, Rosyanie oparci o reduty, przeciwległe ks. Eugeniuszowi. Prosząc o nade-

slanie już tylko jazdy cesarskiej upewniał, iż przy jej pomocy obejdzie warowne te wzgórza, a, wybiwszy załogę, zatknie na szczytach zwycięski sztandar francuski.

Cesarz, skłonniejszy tym razem do ustępstw, przywołać kazał Bessières'a, który piastował godność szefa konnej gwardyi. Lecz marszałek, wysłany z rozkazu cesarza w kierunku toczącej się walki, powrócił dopiero po upływie godziny. Napoleon przywitał go przyjaznym uśmiechem, cierpliwie wysłuchał złożonego przezeń raportu, wreszcie napomknął o Muracie i o przyobiecanych posiłkach, pozwalając marszałkowi działać według własnego widzimisię.

Lecz było już po niewczasie! Kutuzów zdołał opamiętać się i stosownie przygotować: trudniejsze do zdobycia pozycje zostały obwarowane, a liczna jazda rosyjska załała całą równinę.

Tym sposobem, na oczach Ney'a i Murat'a, formował się po raz trzeci lewy flank nieprzyjacielski. Murat przywołuje wówczas jazdę poległego w poprzednim starciu Montbrun'a, Dowództwo po zmarłym obejmuje generał Caulaincourt, a widząc, iż adjutanci nieszczęsnego Montbrun'a oplakują go rzewnymi łzami — woła: „Za mną, wiara! Milszą mu będzie zemsta, aniżeli łzy!”

Król wskazuje generałowi nowy flank nieprzyjacielski, który zepchnąć należy w gardziel wąwozu, prowadzącego do baterji, a podczas gdy lekka jazda nacierać będzie na Rosyan, on — Caulaincourt — na czele swoich kirasyerów zwróci się nagle na lewo i zaatakuje tyły tej straszliwej

reduty, której działa dziesiątkują jeszcze wojska wicekróla.

Caulaincourt odpowiada: „Będę tam zaraz, żywy lub umarły!”—i rusza niezwłocznie, depcąc i tratując szeregi nieprzyjacielskie. Poczem zwraca się nagle na lewo, po krótkiej walce wdziera się pierwszy do wnętrza krwawej reduty i pada ugodzony kulą. Śmierć złożyła na jego czole wieńiec z wawrzynów!

Uwiadomiono natychmiast cesarza o zwycięstwie i o niepowetowanej stracie, jaką poniosła armia. Wielki koniuszy dworu, brat nieszczęsnego generała, słuchał w milczeniu żałobnej wieści: nie drgnął, nie jęknął—i gdyby nie lzy żalu, spływające po ogorzałych policzkach na hafty i szamerowania munduru, sądziłby można, iż obojętnym był jeno słuchaczem. Szczerze i serdecznie zmartwiony, cesarz zwrócił się doń, mówiąc: „Wszak słyszałeś pan wszystko? Może chcesz usunąć się stąd?” Lecz w tejże samej chwili ruszaliśmy przeciwko nieprzyjacielowi; wielki koniuszy, zamiast odpowiedzi, milcząc uchylił tylko kapelusza, na znak podziękii i odmowy i pozostał przy boku cesarza.

Podczas, gdy kawalerya nasza atakowała tyły reduty, wicekról—na czele niezmordowanej piechoty swojej, niedalekim już był szanów. Wtem nagle umilkły strzały, rozwiały się kłęby czarnego dymu i połyskliwa stal panczerzy kirasyerów rozbłysła na wałach. Od krwi czerwona, reduta dostała się nareszcie w ręce Francuzów!

Lecz, mimo porażki, Rosyanie wznawiali po

kilkakroć uporczywą walkę. Pobici, wracali znów—niestrudzeni, groźni — gęstym ścieląc się trupem u stóp szaińców, które własnymi usypali dłońmi.

Na szczęście, ostatnia kolumna rosyjska dotarła do Semenówki i do wielkiej reduty bez armat: okoliczne jary i wąwozy opóźniły zapewne pochód artylerii. Belliard zdołał wytoczyć tylko trzydzieści dział, które jednak tak morderczym zionęły ogniem, że piechota nieprzyjacielska cofnęła się czempredzej, pozostawiając licznych zabitych i rannych. Murat i Belliard opowiadali później, iż w owym momencie pomoc dziesięcioletniego korpusu piechoty byłaby zapewniła im niewątpliwie zupełne i świetne zwycięstwo, lecz że wobec całkowitego braku posiłków—rozporządzając jedynie przetrzebioną już znacznie kawaleryą—musieli zatrzymać się w pół drogi.

W znacznej mierze przyczynił się również do zwycięstwa Grouchy, który atakował wielką redutę z lewego flanku, nie szczędząc krwi ani ofiar. Lecz i on także nie mógł ścigać szczątków wojska rosyjskiego: mroczne jary, a poza niemi warowne reduty, osłaniały odwrót nieprzyjaciela. W redutach tych trzymali się Rosyanie aż do nocy, z rozpaczliwym uporem, broniąc ostatkiem sił drogi do Moskwy, świętej i prastarej stolicy cesarzów, serca i śpichlerza Rosji.

Z wysokości tych drugich wzgórz ostrzeliwali usilnie opuszczone przez siebie pozycje. Wicekról zmuszony został ukryć osłabłe i przetrzebione szeregi swoje w jamach i wykrotach oraz poza zburzonymi na polu szaińcami. Klęcząc

w cieniu tych niekształtnych parapetów, żołnierze nasi przepędzili w ten sposób kilka godzin, pod wzmożonym ogniem nieprzyjacielskim.

Mniejwięcej około wpół do czwartej ucichła wrzawa tego ostatniego zwycięstwa. A było ich kilka. Bo w ciągu pamiętnej onej bitwy, każdy korpus walczył i zwyciężał osobno, lecz, nie po party w odpowiednim momencie—cofać się musiał w pół drogi, zdziśiatkowany i krwawy. Usunięto wszakże potrochu najglówniejsze przeszkody. Strzały coraz rzadsze były i coraz cichsze. Ze wsząd nadciągali oficerowie. Po zawziętej walce zwyciężyły wreszcie korpusy Poniatowskiego i Sebastianiego. Nieprzyjaciel nowe sypał szańce—w nowej, obronnej pozycji. Dzień miał się ku końcowi; amunicye nasze wyczerpane były; bitwa ukończona.

Wówczas, po raz trzeci, stanął przed cesarzem generał Belliard. Cierpienia Napoleona zdawały się wzmaczać coraz bardziej. Z trudem dosiadł konia i skierował się powoli ku wzgórzom Semenówki, nad któremi, mimo zwycięstwa, przelatywały jeszcze roje kul i kartaczy nieprzyjacielskich.

Wszelako ani zwłowieszcze odgłosy wojny, ani niewygasły jeszcze zapal Ney'a i Murat'a, nie zdołały wyrwać go z odrętwienia. Dopiero widok szeregów rosyjskich i przeciągły świst kul podziałał nań ożywczo. Z bliska obserwować jął ostatnią ich pozycję i wyraził chęć zdobycia jej. Lecz Murat, ukazując na wybite niemal doszczętnie pułki nasze, oświadczył, iż nic nie wskóra bez pomocy gwardyi, na co znów Bessières, który

nieomieszkał nigdy podkreślić wartości i znaczenia doborowego tego żołnierza, odparł z naciskiem: „że zważyć należy znaczną odległość, dzielącą nas od korpusów zapasowych i od ojczystej ziemi; że obowiązkiem naszym jest oszczędzać i chronić tej garstki żołnierzy, która strzedz ma całości i bezpieczeństwa osoby cesarskiej”. A ponieważ dobiegała piąta, Berthier dodał: „że jest już zapóźno; że nieprzyjaciel zdażył już okopać się w ostatniej swojej pozycji i że ponowna ofiara kilku tysięcy istnień ludzkich byłaby bezcelowa”. Cesarz poparł wtedy gorąco zdanie obu marszałków, a zaleciwszy zwyczajcom ostrożność i umiarkowanie, ściągnął cugle i zawrócił ku namiotom swoim, które wznosiły się w cieniu zdobytej przed dwoma dniami baterii, a przed którym przesiedział cały prawie dzień, jako milczący świadek poszczególnych epizodów tej krwawej walki.

W powrotnej drodze z Semenówki, przywołać kazał Mortier'a i polecił mu „poruszyć nareszcie młodą gwardyę, nie przekraczając jednak wąwozu, który dzieli nas od pozycji rosyjskiej”. Dodał: „iż jedynym jego życzeniem jest utrzymanie pola walki; że niczego więcej nie pragnie i niczego nie żąda”. Wkrótce przywołał go znów, zapytując: „czy dobrze zrozumiał, o co chodzi?”, nawołując raz jeszcze do rozważnej i oględnej akcji. W godzinę później powtórzył rozkaz, zabraniający surowo: „atakować lub cofać się, bez względu na warunki i okoliczności.”

Do cierpień i dolegliwości fizycznych, gnębiących cesarza, przyłączył się niebawem głęboki

smutek i ciężkiem brzemieniem legł na duszy. Oglądane przed chwilą pobojowisko, wymowny dowód straszliwych obustronnych zapasów, okropną głosiło prawdę: owo zwycięstwo, tak długo oczekiwane, tak drogo okupione, niezupełnem było i nieowocnem! Czyż on to istotnie, on, który zawsze i we wszystkim starał się i umiał wykorzystać każdą pomyślniejszą okazyę, obojętnym i chłodnym wzrokiem spoglądał na ostatni łaskawy uśmiech szczodrego dotychczas losu?!

W rzeczy samej straty były niezmierne, przenoszące stokrotnie zyski i korzyści. Posępny cień żałoby padł na najbliższe otoczenie cesarza: opłakiwano poprostu zgon braci, krewnych i przyjaciół, gdyż śmierć — matula chłodną położyła dłoń na najdosłojniejsze głowy. Padło czterdziestu trzech generałów, zabitych lub ciężko rannych! Ileż bólu i łez dla Francji, a tryumfu i radości dla wrogów naszych! To też zarówno w szeregach, jak i pod purpurą namiotów cesarskich, posępna zapanowała cisza. Podzwonne podległym zagłuszyło zwykły gwar obozowy.

Umilkli nawet pochlebcy. Ci zaś, których cesarz przywołać kazał — Dumas, Daru — słuchali, milcząc, wywodów Napoleona, lecz ich zachowanie się, utkwiony w ziemię wzrok i ponure milczenie, wymowniejsze były od słów.

Mimo późnej godziny — minęła już dziesiąta — Murat, istotnie niestrudzony, raz jeszcze domagał się od cesarza pomocy konnej gwardyi: „Armia nieprzyjacielska, rozproszona i zdeorganizowana, przeprawia się coperędzej przez Moskwę; należałoby więc zaskoczyć ją znienacka i dokonać

rozpoczętego dzieła! Lecz cesarz odmówił stanowczo, tonem, niedopuszczającym żadnej repliki; następnie zaś podyktował biuletyn ubiegłego znojnego dnia.

Ci, którzy towarzyszyli mu nieodstępnie, ujrzeni wówczas jak dalece cesarz osłabiony był i chory, jak bardzo zbiła go z nóg silna gorączka, przedewszystkiem zaś nawrót ciężkiej i niezmiernie bolesnej choroby, która wzmagala się zawsze wskutek zbyt gwałtownego ruchu i zbyt wstrząsających wrażeń. Szeptem przypominano sobie zdanie—wypowiedziane a raczej napisane we Włoszech piętnaście lat wstecz: „Zdrowie niezbędné jest dla żołnierza i nic nie może go zastąpić!”—oraz okrzyk z pod Austerlitz, niestety! proroczy: „Ordener już jest zużyty! Żołnierzem można być do pewnego tylko wieku. Ja sam, za lat sześć, prawdopodobnie niezdatny już będę na wodza!”

W ciągu nocy Rosyane zakłócali kilkakrotnie posępną i głuchą ciszę. Nazajutrz rano doszło nawet do starcia tuż obok namiotów cesarskich; stara gwardya chwycić musiała za broń, co, wobec świeżego zwycięstwa, zakrawało poprostu na drwiny i obelgę. Armia nasza, a właściwie tylko forpoczty, stały bez ruchu do południa, osłaniając niosących ratunek rannym i konającym. Rannych było przeszło dwadzieścia tysięcy. Niesiono ich o dwie mile wstecz, do klasztoru w Kołocku.

Naczelny chirurg Larrey wezwał do pomocy wszystkich bez wyjątku lekarzy pułkowych; nadciągnęły również ambulanse, lecz wszystkiego było mało. Po wojnie już, Larrey skarżył się

w dłuższem sprawozdaniu, iż nie pozostawiono mu ani jednego regimentu dla dostawy rzeczy najniezbędniejszych z okolicznych wiosek.

Cesarz objeżdżał wówczas pobojowisko — straszliwe, grozą przejmujące. Każdy, najdrobniejszy nawet szczegół potęgował bezbrzeżny smutek, wiejący z tej wielkiej, szeroko rozwartej mogiły: szare niebo, plusk deszczu, szum gwałtownej jesiennej wichury, zgliszcza domostw i zabudowań gospodarczych, stratowana ziemia, okryta najróżnorodniejszymi szczątkami; daleko — na skraju widnokregu — smutna i ciemna zieleń lasów północy; wszędzie, pomiędzy stosami krwawych, okaleczalnych trupów, błakające się sylwetki żołnierzy, którzy przetrząsali nawet tornistry poległych kamratów, szukając bodaj okruchów jakiegokolwiek strawy; wszędzie, okropne, poszarpane rany, gdyż kule rosyjskie większe są od naszych; wszędzie, na biwakach, nawpół wygasłe ogniska i głucha, żałobna cisza, w której szemrały jeno ciężkie, brzemienne westchnienia!

Dookoła sztandarów, świętych „orłów” pułkowych, tuliła się szczupła garstka żołnierzy, oraz kilku zaledwie oficerów i podoficerów. Odzież ich poszarpana na strzępy, czarna od prochu, krwią zbryzgana; a jednak — mimo łachmanów, nędzy i rozpaczy, dumnie i hardo wznosiły się wszystkie głowy; na widok cesarza zadźwięczały nawet okrzyki, lecz mniej liczne, i cichsze, niż zwykle, gdyż w łonie niezwyciężonej dotychczas armii tej, każdy zdawał sobie doskonale sprawę z sytuacji, i trafnie oceniał przebieg i znaczenie wypadków.

I nie mylili się żołnierze nasi: na tyłu rannych i poległych było zaledwie ośmiuset jeńców. Wiadomo zaś, że liczbą pojmanych jeńców mierzone od dawien dawna rozmiary zwycięstwa lub klęski. Piętrzące się zewsząd stosy trupów były raczej dowodem męstwa zwyciężonych, aniżeli przewagi zwycięzców. Skoro reszta armii nieprzyjacielskiej cofała się w porządku, bynajmniej nie znękana porażką, jakaż była istotna wartość zdobytego pola bitwy? Wobec obszaru niezmiernych przestrzeni, czem była dla Rosyan utrata niewielkiego kęsa ziemi?

Dążąc śladem Napoleona, po krwawem podłożu zeszczywniałych zwłok ludzkich, koń jednego z członków świty cesarskiej trącił kopytem konającego żołnierza, dobywając z piersi rannego przeciągły jęk bólu i męki. Cesarz—dotąd równie ponury i milczący, jak ponurem i milczącym było odniesione przezeń zwycięstwo, zgnębiony nadto doszczętnie okropnym widokiem tyłu i takich ofiar, nagle wybuchnął gniewem i żalem, nakazując otoczyć dogorywającego żołnierza najtroskliwszą opieką. Ażeby ułagodzić wzburzenie cesarza, któryś z oficerów zauważył, że ranny nie był Francuzem, ale Rosyaninem; lecz Napoleon odparł porywczo: „Że po bitwie niema już wrogów—jeno są ludzie!” Poczem rozesłał towarzyszących mu oficerów wszędzie, skąd tylko dochodziły żalosne, bólem drgające nawoływania.

Rannych było najwięcej na dnie mrocznych jarów, dokąd zostali zepchnięci lub też dokąd dowlekli się z trudem, szukając schronienia przed wojskiem nieprzyjacielskiem i szalejącą na równi-

nie wicherą. Jedni — najmłodszy, wspominali z jękiem imię ojczyzny lub matki; inni oczekiwali śmierci z niewzruszonym spokojem lub też z drwiącym uśmiechem na ustach, nie prosząc o ratunek i nie skarżąc się; inni jeszcze błagali, aby dobić ich natychmiast i skrócić im niewypowiedziane męki powolnego konania. Mijano jednak czempredziej tych nieszczęśników, których nic już i nikt nie był mocen uratować.

Jeden z nich, najbardziej okaleczony (urwane miał obie nogi i prawą rękę), taki był jeszcze silny, tak dalece pełen nadziei, a nawet wesołości, że postanowiono ocalić go koniecznie. Podczas przenosin, biedak skarżył się na ból w nieobecnych członkach: sensacya nader częsta u kalek, a która zdaje się przemawiać za niepodzielną władzą duszy w dziedzinie wrażeń i uczuć, z całkowitem pominięciem praw cielesnej powłoki.

Widziano Rosyan, czółgających się z trudem ku bardziej spiętrzonemu stosom trupów, wśród których szukali schronienia. Podobno jeden z nich ukrywał się przez kilka dni we wnętrznościach konia, powalonego odłamem granatu i żywił się końskim ściervem. Inni, umocowawszy jako tako strzaskaną nogę, przy pomocy kija, bez jęku, bez skargi, widmom podobni — posuwali się o lasce ku najbliższemu wioskom lub domostwom.

Być może, iż, zdala od szeregów bratnich, nie spodziewali się litości, ani miłosierdzia; niewątpliwie jednak, jako jednostki bardziej zahartowane wskutek ciężkich warunków i ostrego klimatu, odporniejsi byli na ból,

aniżeli Francuzi, mniej wrażliwi zarówno fizycznie, jak duchowo.

Podczas tej smutnej rewii, łaknąc bodaj odrobiny złudnej nadziei, napróżno kazał cesarz przeliczyć po raz wtóry pojmanyh jeńców i zebrać kilka zagwożdżonych lub pogruchotanych dział: siedmuset kilkudziesięciu jeńców i niespełna dwadzieścia niezdatnych do użytku armat, stanowiło jedyne trofea tego szczególnego zwycięstwa!

Równocześnie, śladem tylnych straży rosyjskich, Murat dążył drogą, prowadzącą do Możajska. Rosyane cofali się w największym porządku, nie zostawiając za sobą nic: ani ludzi, ani wozów, ani nawet odzieży. Zmarli grzebani byli niezwłocznie, mimo pośpiechu, gdyż lud rosyjski otacza nieboszczyków najgłębszą czcią i poszanowaniem.

Ujrawszy w oddali Możajsk, Murat sądził, iż miasto jest już w jego mocy, zaprosił nawet cesarza na nocleg. Lecz tylne straże rosyjskie najniespodziewaniej rozłożyły się pod murami miasta, poza którem — na dość znacznej wyniosłości — widniała reszta armii rosyjskiej. Kutuzow osłaniał tym sposobem drogę do Moskwy i drogę do Kaługi.

Zachowanie się Rosyan dumne było i wyzywające, jak w przededniu bitwy. Z wrodzoną mu gwałtownością, Murat rozpoczął natychmiast akcję.

Niebawem jednak poniósł nową, a dotkliwą stratę: podczas rekonesansu lewego skrzydła

nieprzyjacielskiego, raniony został nieodstępny i długoletni towarzysz króla, generał Belliard. Istotnie, z tej strony pozycja rosyjska mniej była obronna, łatwiejsza do zdobycia, lecz Murat atakował jeno zapalczywie front nieprzyjacielski, na nic więcej nie zwracając uwagi.

Co się zaś tyczy cesarza, to przybył pod Możajsk dopiero w nocy, wiodąc za sobą nieliczne szeregi. A taki chory był i osłabiony, w takiej pograżon zadumie, że zdawał się nie widzieć i nie słyszeć nic: ni jęków, ni wystrzałów, ni wrzawy.

Zatrzymano go, ukazując mu tylną straż nieprzyjacielską, która broniła dostępu do miasta, a nieco dalej migotliwy blask ognisk pięćdziesięciotysięcznej armii. Stanowisko zajęte przez nieprzyjaciela stwierdzało raz jeszcze niedostateczność odniesionego zwycięstwa, oraz ufność, jaką Rosyanie we własne pokładali siły. Lecz cesarz spoglądał na wszystko obojętnie, tępym, przygasłym wzrokiem; obojętnie wysłuchał raportów, żadnej nie dając dyrektywy i cofnął się na nocleg do pobliskiej wioski, leżącej w promieniu strzałów nieprzyjacielskich.

Rankiem, 9-go września, dzienny brzask oświetlił szeroko rozwarte bramy Możajska; lecz nieco poza miastem, tylne straże nieprzyjacielskie strzegły jeszcze wzgórz, które zajmowała poprzedniego dnia armia Kutuzowa. Wojska nasze wtargnęły do miasta. Niektóre pułki natychmiast w dalszą ruszyły drogę, śladami Rosyan; inne zaś szukały wytchnienia i jakiegokolwiek strawy, pilnie przetrząsając strychy i piwnice. Ale

miasto opustoszałe było, z wszelkich ogolocene zapasów; po domach walały się jeno trupy, które wyrzucano oknami, aby zapewnić sobie przynajmniej dach nad głową—i konający, których w jednym gromadzono miejscu.

Rannych było tylu, że Rosyanie nie śmieli podpalić miasta. Lecz na widok pierwszych szeregów francuskich huknęły strzały, posypały się bomby i kartacze, niecąc pożar wśród drewnianych, przeważnie, domostw i zabudowań. Znaczna liczba rannych zginęła w płomieniach.

Podczas gdy usiłowano opanować rozszalały żywioł, pięćdziesięciu wołyżerów z 33-go pułku jęło piąć się pod górę stokiem wyniosłości, zajętej jeszcze przez jazdę i artylerję nieprzyjacielską. Z pod murów Możajska, armia francuska spoglądała ze zdumieniem na tę garstkę śmiałków, którzy porywali się na kilkutysięczną konnicę rosyjską. Jakoż ziściły się wkrótce obawy nasze! Kilka szwadronów nieprzyjacielskich otoczyło zewsząd wołyżerów, a jakkolwiek sprawny i wyćwiczony był to żołnierz, z wojną obyty, jakkolwiek w mgnieniu oka uszykowali się w czworobok, ogniem ziejący, bagnietami najeżony—było ich tak mało, w pośród tak rozległej równiny i tak wielkiej liczby ludzi i koni, że niebawem znikli zupełnie z oczu.

Okrzyk bólu i zgrozy wyrwał się ze wszystkich piersi! Oficerowie i żołnierze śledzili pospołu każde poruszenie nieprzyjaciela, starając się odgadnąć jaki będzie los nieszczęsnych kamratów. Jedni przeklinali odległość, dzielącą ich od pola walki i bieczyć chcieli z odsieczą; inni nabi-

jali mächinalnie broń, lub wysuwali stalowe żądla bagnetów, groźnym wzrokiem w dalekiego godząc wroga; inni wreszcie—niepomni dystansu—głośno udzielali rad i dodawali otuchy. Wszystkie żrenice bądź to gorzały gorączkowym blaskiem, bądź też mętniały i gasły jak oczy konających.

Smugi dymu, unoszące się ponad skłębio-
nym tłumem walczących, przedłużyły chwile bo-
lesnej trwogi i niepokoju. Szorstkie głosy, od
wzruszenia drżące, wołać zaczęły, że nasi strze-
lają, że bronią się jeszcze, mimo wściekłego na-
poru tylekroć liczniejszych wrogów. Istotnie,
w owym momencie, z ręki komendanta wołyże-
rów — padł szef jednego ze szwadronów rosyj-
skich. Strzał ten był odpowiedzią na wezwanie
do poddania się. Uplęno jeszcze kilka minut,
śmiertelnie długich — i przeciągły okrzyk radości
i podziwu wzbił się wysoko, ku niebu. Konnica
rosyjska, zdumiona zuchwałym oporem, morder-
czym prazona ogniem — powoli jeła ustępować
i cofać się. Zwyciężyła garstka bohaterskich sza-
leńców.

Gdy tylko dostrzegli Rosyanie, że wojska
nasze przygotowują się do ataku na całej linii,
znikli bez śladu, tak, jak po bitwach pod Wi-
tebskiem i Smoleńskiem. Szczególny ten odwrót
tem dziwniejszy był, że nie zdążyło jeszcze
przebrzmieć echo świeżej i krwawej porażki.
Wielk Armia stanęła na rozstaju dróg do Moskwy
i do Kaługi. Poczem Murat i Mortier ruszyli na
wszelki wypadek ku Moskwie.

11-go września, w pobliżu Krymskoje, uka-
zały się ponownie hufce rosyjskie, w nader obron-

nej pozycji. Kutuzow bowiem, tak jak Barclay, większą zwracał uwagę na teren, aniżeli na nieprzyjaciela. Początkowo, ks. Trewizy przekonał był Murat'a o niemożebności jakiegokolwiek akcji; wrótce jednak woń dymu i prochu upoiła króla. Skompromitował się, wysyłając w ogień piechotę Dufour'a i Mortier'a. Były to szczątki dywizyi Friand'a oraz młoda gwardya. Legło tam bezowocnie dwa tysiące ludzi z batalionów rezerwowych, tak nierozważnie oszczędzanych w dniu bitwy. Mortier — wściekły i zrozpaczony—uwiadomił listownie cesarza, iż nie myśli słuchać nadal rozkazów Murat'a.

Listownie bowiem porozumiewali się z Napoleonem generałowie przednich straży. Zmuszony pozostać w Możajsku wskutek silnej gorączki, w ciągu trzech dni nie opuszczał mieszkania, osłabły i chory, uginając się pod brzemieniem troski i spraw wszelkiego rodzaju. Katar i chrypka pozbawiły go zupełnie głosu. Pisemnie więc wydawał rozkazy i zlecenia, notując je na świstkach papieru. W razie zaś jakichkolwiek trudności, porozumiewał się na migi.

Gdy jednak Bessières wymieniać zaczął kolejno wszystkich generałów ranionych podczas bitwy, pod wpływem gwałtownego wzruszenia, cesarz odzyskał nagle głos, wołając: „Osiem dni pobytu w Moskwie, a wyzdrowieją wszyscy!”

Lecz jakkolwiek zawsze przywiązywał niezmierną wagę do zajęcia tej stolicy — krwawe, a tak mało owocne zwycięstwo pod Borodinem podkopało rachuby jego i nadzieje. Najlepszym dowodem istotnych uczuć cesarza są instrukcje,

dane Berthier'owi dla marszałka Victor'a, w dniu 11-ym września: „Nieprzyjaciel, w serce ugodzony, nie myśli już o igraszkach. Proszę więc uwiadomić ks. Belluny, że skierować ma czemprowadź na Smoleńsk zapasowe bataljony, szwadrony, artylerję, nawet pojedynczych ludzi, aby podążyć stamtąd w razie potrzeby do Moskwy”.

Wśród tych cierpień ciała i duszy, które cesarz starannie ukrywał przed armią, dotarł do niego Davout. Choć chory sam i raniony, prosił raz jeszcze o dowództwo przednich straży; upewniał, że maszerować będzie dniem i nocą, że doścignie nieprzyjaciela i zmusi go do bitwy, nie szafując wszelako — tak, jak Murat — życiem i siłami żołnierzy. Lecz, zamiast odpowiedzi, Napoleon wychwalać jął przesadnie waleczność i niegasnący zapal swojego szwagra.

Przed chwilą właśnie doszły go wieści o ponownym ukazaniu się armii nieprzyjacielskiej, która, wbrew przewidywaniom i obawom cesarza — nie cofała się w kierunku Kalugi, lecz w kierunku Moskwy i niedaleką już była stolicy. Imię Moskwy i związane z nią nadzieje dodały cesarzowi sił i otuchy, tak, że rankiem 12-go września mógł już wyruszyć z Możajska, śladem naszych przednich straży.

IV.

M o s k w a.

Wewnętrzna polityka cesarza w rdzennie rosyjskich i nowonabytych prowincjach, oraz wydane

w Połocku proklamacye do wojska, do mieszkańców Moskwy i do narodu — niezwykle umiejętnie zastosowane były do ludzi i miejscowości, ujawniały dużą dozę energii i głęboką znajomość serca ludzkiego.

Na Litwie, bądź to wskutek pośpiechu, bądź też z wyrachowania — nic nie zburzono, niczego nie tknięto.

Na Białorusi — dawniej już przyłączonej do imperium i nawykłej poniekąd do niewoli pod łagodnymi rządami — bez przymusu ani trudu pociągnięto za sobą ludzi, a wraz z nimi wszelkie mienie ruchome.

Lecz w rdzennej Rosyi, gdzie wszystko współdziałało z rządem — religia, patryotyzm i przesady — niedość, że mieszkańcy cofać się musieli razem z wojskiem, ale wszystko, czego nie można było zabrać albo zużytkować niezwłocznie — całkowitej ulegało zagładzie; mężczyźni — nieobjęci poborem — wchodzili w skład milicyi lub też luźnych oddziałów kozackich.

Skoro zaś nierzyjaciel zagrażał w owym czasie środkowym guberniom Cesarstwa, Moskwa winna była świecić przykładem. Stolica ta, słusznie nazwana przez poetów „Moskwą o złotych kopułach”, była rozległym i dziwaczny zbiorem dwustu dziewięćdziesięciu pięciu cerkwi i kościołów, oraz tysiąca pięciuset pałaców magnackich wraz z ogrodami i zabudowaniami. Pałace te i ogrody, przeplatane drewnianymi dworkami, nawet i chatami o słomianych strzechach — rozrzucone były na przestrzeni kilku mil kwadratowych. Wszystkie tuliły się pod opiekuńcze skrzydła wiel-

kiej trójkątnej fortecy, okolonej podwójnymi murami, w których obrębie mieściło się kilka pałaców i cerkwi, nieuprawne, kamieniste ugory i obszerny bazar — dzielnica kupiecka, niewyczerpana skarbnica wszelkiego rodzaju bogactw i dóstatków.

Gmachy te, pałace, nawet sklepy—niby drogocenne klejnoty—błyszczały zdala warstwą polerowanej i barwionej stali. Niezliczone cerkwie—o złotych kopułach, na których szczycie ostro rysował się półksiężyc, a nad nim krzyż — wiernym były odbiciem dziejów tego ludu: najpierw Azya i wierzenia wschodu, potem półksiężyc Mahometa, wreszcie krzyż Chrystusowy.

W słonecznym świetle wspaniałe to miasto skrzyło się tysiącem barw i odcieni, tęczowymi migotało blaski. Olśniony podróżnik w niemym stawał zachwycie. W obrębie miasta wzmagął się niebawem podziw uważnego obserwatora. Szlachta przyjęła — niemal bez wyjątku — zwyczaje, obyczaje i języki współczesnej Europy, mody jej i stroje. Kupcy natomiast i lud zachowali wiernie długie brody ojców i dawne, wschodnie szaty. Ta sama różnorodność widniała we wszystkim, z domieszką cech lokalnych, nader wyraźnych, nieco szorstkich — jak przystało tym dalekim kresowym ziemiom.

Członkowie najszlachetniejszych rodów rosyjskich, ożywieni szczerym duchem obywatelskim, wiedli tam patryarchalny żywot, zdala od dworu, dworskich intryg i matactw. To też niechętnie przebywali władcy w tem „Sercu Rosyi” — wśród

szlachty, która usuwała się do pewnego stopnia z pod ich władzy, a z którą musieli liczyć się dla różnych powodów.

Mus jedynie przywiódł Aleksandra do Moskwy. Porzedzony proklamacyami, niecierpliwie oczekiwany przez ogół, ukazał się najpierw wśród zgromadzonej licznie szlachty i arystokracji. Wszystko w harmonijną, a imponującą zlewało się całość: okoliczności, dobór zgromadzenia, dostojny mówca oraz uchwalone wnioski i rezolucye. Za ledwie bowiem przebrzmiały ostatnie słowa cesarza, gdy donośny, wzruszenia pełen okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi; wołano zewsząd: „Najjaśniejszy Panie! żądaj, czego chcesz! Bierz wszystko! Wszystko ci damy!”

Aleksander zwrócił się następnie do kupców; kazał odczytać im proklamacyę, w której Napoleon opisany był „jako przeniewierca, jako Moloch, który ze zdradą w sercu a kłamaną szlachetnością na ustach, przybywał, aby zetrzeć imię Rosyi z powierzchni świata”.

Na dźwięk tych słów zapłonęły gniewem wszystkie oczy, zakolysały się barczyste, krzepkie postacie. Groźnie zaciśnięte pięści, przytłumione okrzyki, głuchy pomruk dobywający się z pośród wzburzonego tłumu — malowały dosadnie uczucia zgromadzonych. Uchwalono natychmiast rezolucyę. Wybrany przez kupców przewodniczący nie zawiódł ogólnego zaufania: pierwszy zdeklarował dar pięćdziesięciu tysięcy rubli, dwie trzecie swojego majątku.

W Rosyi klasa kupiecka dzieli się na trzy

gildye; postawiono tedy wniosek, aby opodatkować każdą z nich w stosunku do mienia i dochodów. Lecz jeden z uczestników zgromadzenia, kupiec trzeciej gildyi — oświadczył, że miłość jego dla ojczyzny nie zna granic i zdeklarował niezwłocznie sumę, przenoszącą o wiele maximum wnioskodawcy. Za jego przykładem poszli inni.

Złożono ogółem blisko dwa miliony rubli. Inne gubernie powtórzyły — niby wierne echa — patryotyczny okrzyk Moskwy.

Niebawem jednak upadł Smoleńsk: potem Wiaźma. Popłoch wszczął się w Moskwie. Nie doszło jeszcze do decydującej bitwy, a opuszczono już gromadnie stolicę.

Równocześnie, w pobliżu Moskwy, puszkarz Niemiec kierować jął z rozkazu cesarskiego konstrukcją olbrzymiego balonu, który miał wznieść się ponad armię francuską, a wysłedziwszy sztab i cesarza — sypnąć gradem kul i pocisków. Lecz, wskutek wadliwej budowy powietrznego statku, zawiodły najfatalniej wszelkie próby.

Bynajmniej niezrażony niepowodzeniem, hrabia Roztopczyn — gubernator Moskwy — sporządzić kazał potajemnie znaczne zapasy sztucznych ogni i materiałów wybuchowych. Dzięki tym przygotowaniom, Moskwa pogrzebać miała pod gruzami płonących gmachów swoich i domostw — cesarza i armię jego. Gdyby zaś nieprzyjaciel uniknąć zdołał niebezpieczeństwa, pozbawiony byłby całkowicie dachu nad głową i wszelkich środków do życia. A ohyda tak wielkiej klęski, którą łącno przypisaćby można Francuzom — jak uczyniono

to w Smoleńsku, Drohobużu, Wiaźmie i Gzacku—
podburzyłyaby niewątpliwie całą Rosyę!

Takim był straszliwy zamiar potomka jednego z największych rodów rosyjskich. Poczęty z rozpaczy, starannie opracowany — wykonany został w zupełności; bez lęku ni wahania. Miałem później sposobność osobiście poznać w Paryżu hr. Roztopczyna. Dobry mąż i ojciec, niezmiernie miły i sympatyczny, wysoce wykształcony i kulturalny, jednocył wszelako—tak jak niektórzy jego rodacy — cywilizację współczesną z żywiołową energią dawno minionych stuleci.

Obecnie imię jego należy już do przeszłości. Jakkolwiek jednak zapisał się niezatartemi zgłoskami na kartach historii — ogrom tej bezprzykładnej wprost ofiary i poświęcenia nie jest wyłączną jego zasługą. Smoleńsk był początkiem, Moskwa — epilogiem. Jak wszystko, co wielkie i szczere, decyzya ta godna była podziwu i uwielbienia; powód słuszny i należycie usprawiedliwiony pomyślnym wynikiem; poświęcenie bezgraniczne, tak wielkie, że historyk zawiesić musi tok opowiadania, aby zgłębić je, zrozumieć i ocenić!

Sam jeden w pośrodku walącego się imperium, śmiałym wzrokiem obejmuje Roztopczyn całą grozę niebezpieczeństwa, trafnie ocenia je i, jakkolwiek może nie powołany, składa bez wahania na ołtarzu ojczyzny mienie tysięcy jednostek, niezliczone interesa publiczne i prywatne. Wierny poddany cesarza—rozstrzyga o losach państwa, nie oglądając się na akces i sankcyę monarszą; rodowy szlachcic — skazuje na zagładę wszystkie pa-

łace magnackie, bez wiedzy i zezwolenia szlachty; gubernator jednej z największych i najruchliwszych stolic Europy — oddaje na pastwę płomieni nieprzebrane skarby, od wieków gromadzone; z zimną krwią spogląda na pożar najpiękniejszej swojej rezydencji — i, dumny, spokojny, zadowolony — mimo ogólnego wzburzenia — czeka na wyniki bohaterskiej ofiary!

W krytycznym owym momencie, Roztopczyn obawiał się przedewszystkiem dwóch ewentualności: jedną z nich było zawarcie w Moskwie haniebnego dla Rosyi pokoju; drugą — niebezpieczeństwo polityczne, raczej, aniżeli militarne; mianowicie bardziej lękał się wpływów nieprzyjaciela, aniżeli jego oręża, rewolucyi bardziej, niż pogromu.

Jako zagorzały przeciwnik pokoju — przewidywał, że w stosunku do mieszkańców ludnej tej stolicy, którą sami Rosyanie zowią wyrocznią i przewodniczką całego narodu — Napoleon użyje broni rewolucyjnej, najodpowiedniejszej ażeby dokonać rozpoczętego dzieła. Dlatego też krwawą łuną pożogi postanowił odgrodzić genialnego najeźdźcę od wszelkich słabostek ludzkich i wszelkich warstw społecznych: od tronu, arystokracji i szlachty, od ludu, wreszcie od wielotysięcznego tłumu rzemieślników i kupców, tworzących podówczas w Moskwie zaczątek klasy średniej, klasy, w której łonie poczęła się Wielka Rewolucya francuska.

Dwuznacznie można tłómaczyć sobie ówczesne zagadkowe milczenie Aleksandra. Dotąd niewiadomo, jaki był istotny współdział jego w tej

sprawie. Rosyanie bądź sami tego nie wiedzą, bądź też milczą rozmyślnie.

Dwa tygodnie przed najściem Francuzów, wywiezienie archiwów państwowych i skarbu, oraz wyjazd szlachty i znamienitszych kupców, którzy zabierali wszystko, co można było zabrać — dały hasło do ogólnej wędrówki. Gubernator, któremu zależało niezmiernie na jaknajszybszem opróżnieniu się stolicy, osobiście doglądał emigracyi.

3-go września, pewna Francuzka—niepomna niebezpieczeństwa, grożącego jej od rozjuszonej czerni — odważyła się wyjść na ulicę. Zdumiona panującą dookoła ciszą, błąkała się dłuższy czas wśród pustych zupełnie dzielnic, gdy wtem, niby pogrzebowy hymn obumarłej stolicy zabrzmiał w oddali posępny śpiew, a w ślad za nim dążył nieprzebrany tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, rozszlochany, żałobny. Na przedzie, obładowani świętymi obrazami, szli popi i zawodzili pokutne psalmy, z płaczem przez wszystkich powtarzane.

Doszedłszy do bram miasta — tłum zakoly-sał się i stanął. Raz jeszcze—żałane łzami oczy zwróciły się ku Moskwie, jakgdyby żegnając prastare, „święte miasto”. Powoli jednak zaczęło oddalać się łkanie i śpiew i umilkło niebawem wśród bezkresu dalekich pól.

Rozlokowana w Fili, nieco przed Moskwą, armia rosyjska liczyła dziewięćdziesiąt jeden tysięcy ludzi; w tem sześć tysięcy kozaków, sześćdziesiąt pięć tysięcy wyćwiczonego żołnierza — szczątki studwudziestotysięcznej armii z pod Borodina—oraz dwadzieścia tysięcy rekrutów, uzbrojonych częściowo w karabiny, a częściowo w piki.

Armia francuska — licząca sto trzydzieści tysięcy ludzi w przededniu krwawej bitwy pod Borodinem — zredukowała się po bitwie do dziewięćdziesięciu tysięcy, zmęczonego wprawdzie, ale sprawnego i doborowego żołnierza. Łącznie z nadciągającymi batalionami rezerwy oraz dywizjami generałów Laborde i Pino, liczyła jeszcze u bram Moskwy sto tysięcy ludzi, sześćset siedem dział, dwa tysiące pięćset jaszczyków i pięć tysięcy furgonów. Brakowało natomiast amunicji; zawartość jaszczyków i ładownic starczyć mogła zaledwie na jednodniową bitwę. Być może, że Kutuzow uląkł się przewagi naszej nad niejednością i nierównomiernie wyćwiczoną armią rosyjską. W każdym bądź razie, są to jedynie hipotezy; odwrót swój motywował bowiem li tylko wymogami strategii.

Nie ulega wszelako najmniejszej wątpliwości, że aż do ostatniej chwili głównodowodzący zwodził gubernatora, „przysięgał mu na własną siwą głowę, że bronić będzie Moskwy do upadłego“. Niespodzianką była też wiadomość, że zwołana przez Kutuzowa rada wojenna uchwaliła cofać się dalej bez bitwy, pozostawiając stolicę na łup Francuzom.

Wściekły, lecz zdecydowany — Roztopczyn przystąpił niezwłocznie do dzieła, wydając rozkazy i zlecenia, do jaknajwiększego nagłąc pośpiechu. Nietajnym już był nikomu plan gubernatora. W stosunku do pozostałej w Moskwie, ubogiej i ciemnej ludności, odrzucono na bok wszelkie względy; należało zresztą — dla własnego jej dobra —

uwiadomić ją zawczasu i skłonić do opuszczenia miasta.

Rozesłani po nocy emisaryusze pukają do wszystkich drzwi, zwiastując pożar. We wszystkich bogatszych domach, zwłaszcza zaś w opancerzonych stalą składach i sklepach dzielnicy kupieckiej — rozrzucone są obficie sztuczne ognie i materiały palne. Milczące, zagadkowe postacie niszczą beczki i sikawki, burzą i zasypują studnie. Wzmaga się nieład i zamieszanie, wzrasta rozpacz. Na placach i ulicach miasta tłoczy się wylękły, strwożony tłum; szemrzą głucho pytania i odpowiedzi; ponuro brzmią szorstkie, bólem drgające głosy. Ukazuje się wreszcie armia — ostatnia nadzieja i ostoja tego ludu; pułk idzie za pułkiem, zwartymi szeregami, a wślad za wojskiem — ku nieznanej dali — podąża zrozpaczona ludność.

Niebawem ruchoma fala kobiet, dzieci i starców minęła bramę od strony Kołomni, zalewając podmiejskie pola, drogi i ścieżyny. Uciekano — gdzie kto mógł i którądy mógł. Każdy dźwigał ubogie swoje mienie, częstokroć rzeczy bezwartościowe i zbędne, w popłochu zabrane. Wobec zupełnego braku koni, mężczyźni — zaprzęgnięci do wózków — ciągnęli sami drobną dziatwę, chore kobiety i kalekich starców. Schroniwszy się w głąb lasów, o zebranych chlebie, tułaczy pędzili odtąd żywot.

Pamiętny ów dzień zakończył się krwawą tragedią. Pragnąc zatrzymać i uzbroić jaknajwiększą liczbę ludzi, na wszystko zdecydowa-

nych — Roztopczyn otworzyć kazał więzienia: obdarty motłoch wyległ tłumnie na ulice. Dwaj ludzie — Rosyanin i Francuz, oskarżeni: jeden o zdradę, drugi o nieoględność polityczną, wyłączeni zostali z pośród tej hordy i stawieni przed oblicze gubernatora, który z niezmierną zaciekleścią wznowił przeciw Rosyaninowi zarzut zdrady. Był to syn kupca, członek jednej z rozlicznych sekt iluministów niemieckich, znanych pod mianem Martynistów, uwięziony za propagandę rewolucyjną wśród ludu. Kajdany nie zmieniły w niczem jego przekonań, a jakkolwiek nie wykryto żadnych poszlak szerszej organizacji, niemniej obawiały się sfery rządzące krzewionych przezeń idei wolnościowych.

W tejże samej chwili nadbiegł ojciec więźnia. Zaległa głucha cisza. Lecz, wbrew ogólnemu mniemaniu, domagać się jął nie ulaskawienia, ale śmierci syna. Gubernator udzielił mu wówczas kilka minut na rozmowę i przedśmiertne błogosławieństwo. „Błogosławieństwo — zdrajcy!?” — wrzasnął rozjuszony starzec i, zwracając się do syna, przeklął go.

Przekleństwo stało się hasłem do egzekucji. Cięty pałaszem w głowę, więzień zachwiał się i runął zemdlony. Wśród ogólnego zamieszania byłby może ocalał, gdyby nie rozszalały, krwi chciwy tłum, który wylamał kraty ogrodzenia, a rzuciwszy się na nieszczęsną ofiarę, w mgnieniu oka rozszarpał ją na kawałki.

Zwracając się wówczas do przerażonego Francuza, Roztopczyn rzekł: „Jako Francuz, radujesz się zapewne zwycięstwem rodaków. Wra-

caj więc do swoich, lecz powiedz im, że jedyny zdrajca, jaki znalazł się w Rosyi, został już ukarany". Przemawiał wreszcie do otaczających go, a zowiąc ich „działwą Rosyi” nawoływał do ekspiacyi za popelnione winy przez wierną służbę ojczyźnie. Opuścił wreszcie Moskwę — ostatni — i podążył śladem armii.

W tej chwili Moskwa, niezajęta jeszcze przez Francuzów, przestała należeć do Rosyan. Rządził w niej niepodzielnie zbrodniczy motłoch, z trudem kierowany przez garstkę policyi i żandarmeryi; zorganizowano go naprędce, wydano rozkazy i zlecenia — i tłum rozproszył się, niosąc w najdalsze zakątki miasta zniszczenie, rabunek i pożogę.

14-go września, w odległości kilku mil od Moskwy, Napoleon dosiadł konia. Jechał powoli, ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, śląc rekonesans za rekonesansem: w głąb lasów i wąwozów, na szczyty okolicznych wzgórz. Spodziewano się ujrzeć lada chwila armię nieprzyjacielską. Teren odpowiedni był na pole bitwy, pozycja doskonała; wszystko jednak zostało opuszczone, wszystko wydane bez oporu w ręce wrogów.

Już tylko jedno wzgórze dzieliło nas od Moskwy: góra Pokłonów, zwana tak dlatego, że, dostrzegając z jej szczytu „święte miasto”, Rosyanie zwykli byli żegnać się i bić pokłony. Forpocztę nasze dotarły niebawem na wierzchołek. Dochodziła druga. W słonecznym świetle miasto skrzyło się tysiącem barw. Drgnęły wówczas wszystkie serca, ze wszystkich piersi wyrwał się

okrzyk: „Moskwa! Moskwa!” Każdy przyśpieszać jął kroku: szeregi zmieszały się i wnet cała armia, klaszcząc w dłonie — wołała radośnie: „Moskwa! Moskwa!” — tak, jak żeglarz woła: „Ziemia! ziemia!” u kresu długiej i uciążliwej podróży.

Na widok olbrzymiego miasta, owej „Moskwy o złożonych kopułach”, która jednoczyła w swoim łonie nabytki kulturalne Europy i tajemniczy urok wschodu; przepych, sztukę, zwyczaje i obyczaje dwóch najpiękniejszych części świata — stanęły wszystkie pulki, dumą zdjęte. Czuliśmy wszyscy, że dzień ten niezapomniany będzie w dziejach świata, że okryje chwałą imię Francji; czuliśmy, że zwrócone są na nas oczy całej Europy, że każde — najdrobniejsze nawet poruszenie nasze przejdzie do potomności!

Zdawało nam się, że dźwięczą w oddali radosne okrzyki sprzymierzonych ludów, że odblask chwały naszej opromienia bieżące stulecie i ściele się jasną smugą na kartach historii!

Niejednemu marzył się już gorąco upragniony powrót do Francji, entuzjastyczne powitania rodaków, łyż szczęścia w oczach żon i matek, duma starych ojców! Otoczeni podziwem i miłością, w świetlanej aureoli sławy i cierpień — żołnierze z pod Borodina i Moskwy zajmowałiby w społeczeństwie stanowisko wyjątkowe, jako ucieleśniony symbol rycerskich tradycji narodu!

A gdy umilkł wreszcie głos pychy, szeptać jąła rozważa — mówiąc, że oto kres trudów naszych i znoju, nagroda za przelaną krew, chlubny epilog kampanii, równającej się najslynniejszym wojnom starożytności.

W owej chwili zapomniano o krwawym szlaku, którym dążyła armia; zapomniano o star-ganych siłach, o ranach i bólu. Bo wszystko było niczem wobec nabytego prawa do tych kilku słów: „Byłem pod Moskwą!”

Dziś jeszcze — o towarzysze moi! — mimo niedoli naszej i poniżenia, czyż wspomnienie to nie jest o tyle żywotnem, aby pocieszyć nas i rozpaścić płomień dumy w oczach naszych, przyćmionych przez ból i łzy?

Nadjechał również cesarz i stanął zdumiony, z radosnym okrzykiem na ustach. Od czasu bitwy pod Borodinem, marszałkowie, zniechęceni, trzymali się na uboczu; lecz świetny widok leżącej u stóp naszych Moskwy, oraz wieść o przybyciu parlamentarza — wzbudziły taką radość, że chwilowo zapomniano o żalu i urazie. Wszyscy, bez wyjątku, tłoczyli się dokoła cesarza. Zgodnym chórem brzmiały słowa pochlebstwa; wynoszono pod niebiosa geniusz Napoleona, przypisując mu nieledwie zagadkowe zachowanie się cesarza w dniu 7-ym września.

Lecz w duszy Napoleona wszelkie odruchy uczuciowe były krótkotrwałe. Wobec nawału trosk i rozlicznych zajęć — sensacje i wrażenia szybko mijały. W pierwszej chwili zawołał: „Dotarliśmy więc do Moskwy!” — wkrótce zaś dodał: „Na-reszcie!”

Oczy jego, w dal zapatrzone — wyrażały już tylko zniecierpliwienie. W Moskwie pokładał wszystkie nadzieje; Moskwa zapewnić mu miała korzystny pokój, sowiłą kontrybucyę, oraz nieśmiertelną chwałę! Chciwym wzrokiem ogarniał

też wszystkie drogi wiodące ku miastu. Kiedy otworzą się na oścież bramy Moskwy? Kiedy ukaże się deputacya, złożona z mieszczan, senatorów i przedstawicieli rodowej szlachty rosyjskiej? — Niebezpieczne to przedsięwzięcie, pomyślnie ukończone dzięki zuchwalej, szalonej niemal akcji — stałoby się wówczas niedościgłym wzorem wyższych kombinacyi militarnych; nierozwaga cesarza byłaby jednym więcej dowodem niezrównanej jego wielkości, a krwawe i bezowocne zwycięstwo pod Borodinem — najpiękniejszym z rycerskich czynów Wielkiej Epoki! To, co zagładą miało być i zgubą — przemieniłoby się w promienną aureolę sławy; pamiętny zaś dzień 14-go września rozstrzygnąłby o tem, czy cesarz jest najgenialniejszym, czy też jeno najzuchwalszym człowiekiem na świecie, o tem, czy wznosił sobie niezniszczalny ołtarz i wiernych skupił wyznawców, czy też — u stóp swoich — otchłanną wykopał mogiłę!

Powoli jednak zaczynał go ogarniać niepokój. Na obu naszych skrzydłach, ks. Eugeniusz i Poniatowski okrążali już miasto; Murat, na czele forpocztów, dosięgał już przedmieść, a tymczasem na pustych zupełnie drogach nie było widać żadnej deputacyi. Ukazał się tylko w charakterze parlamentarza oficer Miłoradowicza i oświadczył, że generał podpali miasto, jeśli Francuzi utrudnią mu będą w czemkolwiek ewakuacyę stolicy.

Napoleon zgodził się na wszystko. Tylne straże jednej armii i forpoczty drugiej zwały się na chwilę. Murat poznany został przez ko-

zaków, którzy z bezceremonialną prostotą ludów koczowniczych, a żywością południowców, zwartym otaczając go koliskiem, mimiką i okrzykami wyrażali mu uwielbienie swoje i podziw dla męstwa jego i odwagi. Król zabrał wszystkim swoim oficerom zegarki i rozdał je tym półdzikim wojownikom. Otrzymał za to miano „hetmana”.

Sądził może, że znajdzie wśród kozaków nowego Mazepę, lub też że sam identyczną odegra rolę. Jakkolwiekbydź, to chwilowe zawieszenie broni, w tych warunkach i okolicznościach — dodało Napoleonowi otuchy i ubawiło go.

Lecz godzina mijała za godziną, czas upływał — a Moskwa milczała wciąż, jak obumarła! Niepokój cesarza wzrastał. Szemrały już i niecierpliwiły się szeregi. Wreszcie kilku oficerów wtargnęło do miasta: „Moskwa opustoszała była i cicha!”

Zirytowany tą wiadomością, Napoleon opuszcza górę Pokłonów, kierując się czempredziej ku Moskwie od strony Drogomila. Raz jeszcze zatrzymuje się przy rogatce, lecz napróżno. Murat nalega ponownie. „Wejdz zatem — odpowiada cesarz — skoro wojsko sobie tego życzy!” Równocześnie nakazuje surowo jaknajwiększą zachować karność: „Może ludność Moskwy nie wie nawet, jak kapitulować, gdyż wszystko w tym kraju nieznanne jest i obce: oni dla nas, my dla nich”.

Wszystkie jednak późniejsze raporty brzmiały zgodnie z pierwszym. Zamieszkujący Moskwę Francuzi, wyszedłszy z kryjówek, które uchroniły ich od wściekłej nienawiści rozjuszonego tłumu — po-

twierdzili złowrogą wieść. Cesarz zwrócił się wówczas do ministra Daru, wołając z gniewem: „Moskwa opustoszała! To nieprawdopodobne! Trzeba przekonać się o tem! Proszę sprowadzić tu niezwłocznie bojarów”! Łudził się bowiem nadzieją, że pod wpływem boleśnie zdraśniętej dumy lub też trwogi, mieszkańcy stolicy pozamykali się w domach swoich i pałacach — i on, który zawsze odnosił się nieufnie do zbyt wielkiej uległości zwyciężonych, tym razem pragnął zaskarbić sobie ich przychylność i zaufanie.

W rzeczy samej, trudno było uwierzyć, że wspaniałe te pałace, pozłociste cerkwie i bogate sklepy opuszczone zostały przez swoich właścicieli na równi z ubogimi wioskami, o nędznych chatach, strzechą krytych. Nie powiodła się wszelako misya marszałka Daru. Cisza śmierci zalegała wciąż olbrzymie miasto: nie ukazał się nikt, nikt nie odezwał; w żadnym domu nie skrzypnęły drzwi, nie uchyliło się okno. Głuche, niczem nie przerwane milczenie unosiło się ponad prastarą stolicą.

Tak wielkim był jednak upór Napoleona, że, mimo wszystko, oczekiwał jeszcze nadejścia deputacyi. W końcu, jeden z oficerów, pragnąc przypodobać się, czy też może przekonany, że spełnione być musi każde życzenie cesarza, zapuścił się w głąb miasta i przypędził niebawem pięciu czy sześciu obdartych włóczęgów, jako jedynych pozostałych w Moskwie przedstawicieli narodu. Lecz cesarz rozejrzał się natychmiast w sytuacji, a nie wątpiąc już dłużej o całkowitej ewakuacji stolicy, utraciwszy pokładane w niej na-

dzieje, ruszył wzgardliwie ramionami i zawołał z gniewem: „Rosyanie nie wiedzą jeszcze jakie wrażenie wyrze na nich utrata Moskwy”!

Tymczasem, na czele długiej i zwartej kolumny kawaleryi, Murat wkraczał do miasta. Zdumieni panującą dookoła, niezamąconą ciszą, żołnierze nasi milczeli również, wsłuchując się z tajemnym, dla nich samych niezrozumiałym dreszczem w łoskot tysiąca podkutych kopyt końskich, dźwięczących rozgłośnie po bruku pustych dziedzińców pałacowych. Nigdzie nie zatrzymano się, niczego nie tknięto; bądź to przez ostrożność, bądź też przez właściwe narodom cywilizowanym poczucie godności, silniejsze jeszcze wobec obcej, nieznaney kultury.

Milcząc, obserwowali Francuzi rozległe to miasto, niewątpliwie godne uwagi, wśród ludnej i bogatej krainy, tem ciekawsze zaś i wspanialsze na tle okalających go pustkowi: niczem kwietna oaza wśród piasków Sahary! Niebawem jednak dostrzegli rażącą sprzeczność między przepychem licznych pałaców, a nędzą niskich, pochylonych chat; sprzeczność, która zdradzała brak równowagi w łonie społeczeństwa i wymownym była dowodem, że wbrew prawom normalnej ewolucyi — przepych i zbytek wyprzedził tutaj rozwój przemysłu, zamiast być logicznem jego następstwem. Lecz mimo wołającej o pomstę niesprawiedliwości, mimo błędów i upadków — szlachetne wyrzeczenie się bogactw i mienia przemawiało za tem, że ani przepych, ani nawet zepsucie nie zdołało stłumić wśród szlachty dawnych cnót.

Sercami jadących żołnierzy różnorodne miały uczucia: zdumienie, litość, podziw i szczery zapał! Z rozbłysłym nagle wzrokiem wspominali niektórzy wielkie podboje rzymskich cesarów, nie czyniąc wszakże żadnych porównań: uważali bowiem, że wyżsi są ponad wszystko, że przerośli o głowę najsłynniejszych wodzów starożytności. Inni zaś, w smętnej pograżeni zadumie, bądź to wskutek nadmiaru silnych wrażeń, bądź też pod wpływem rozkołysanej wyobraźni, bohaterskich słów o potędze, o wielkości i chwale bez miary ni granic, z podniebnych wyżyn smutnemi spoglądali oczyma na szarą rzeczywistość i własną, dotkliwie odczuwaną nicość.

Wśród rozmyślań tych, którym sprzyjał wolny pochód, huknęły nagle strzały. Kolumna stanęła. Ostatnie jej szeregi znajdowały się jeszcze poza miastem; centrum posuwało się jedną z najdłuższych ulic Moskwy; czoło dotykało już podnóży Kremlinu. Bramy fortecy zawarte były, a na wałach, wśród dzikich wrzasków, kilkadziesiąt postaci męskich i kobiecych, w karabiny uzbrojonych, gotowało się do obrony. Naprawdę przemawiać kazał do nich Murat. Pijana, sfanatyzowana tłuszcza głucha była na wszelkie argumenty. Wytoczono wówczas działa. Kartacze otworzyły nam bramy cytadeli.

Przebojem wtargnięto do środka. Otoczyliśmy wkrótce dziwaczną załogę. Jeden z tych nędzarzy, zwinniejszy i bardziej zapalczywy od swoich towarzyszy, rzucił się na jednego z oficerów Murat'a, usiłując zabić go. Rozbrojony,

zamach powtórzył, a gdy związano mu ręce, jął kasać nawpół zduszoną ofiarę.

W uczuciach tych nie było wszakże całkowitej jednolitości. Pięciuset rekrutów, pozostałych w cytadeli, poddało się bez oporu na pierwsze wezwanie. Nieco dalej żołnierze, eskortujący konwój, uciekli w popłochu. Tym sposobem kilka tysięcy maruderów i dezertersów rosyjskich dostało się dobrowolnie w ręce naszych przednich straży. Lecz Murat, nie chcąc obarczać się tak wielką liczbą jeńców, odesłał ich dalej, do następnych korpusów. Przez nikogo nie krępowani, pozostali wśród nas dopóty, dopóki pożar i rabunek nie ukazał im drogi obowiązku i nie rozpalil w ich sercach płomienia nienawiści. Wówczas dopiero podążyli do obozu Kutuzowa.

Murat, którego Kremlin nie zdołał zatrzymać dłużej, rozproszył niebawem ten tłum i promienny, niez mordowany, mimo dziewięciuset mil forsownych marszów, oraz sześćdziesięciu bitew i potyczek, mijając jął obojętnie wspaniałe ulice miasta, bogate sklepy, pyszne pałace i zawarte w nich skarby. Ścigając w dalszym ciągu tylne straże nieprzyjacielskie, ruszył bez wahania zwycięskim szlakiem dawnych władcyków moskiewskich.

Traktem tym cofał się w owej chwili kilkutyśięczny oddział kozacki, oraz cztery działa. Zważywszy, że zawieszenie broni obowiązującym było jedynie w obrębie miasta, Murat, znudzony kilkugodzinną ciszą, wydał rozkaz natychmiastowej szarży. Lecz żołnierze nasi sądzili, iż wraz

z zajęciem Moskwy ustać miała wojna. Tak Rosyanie, jak Francuzi, łaknęli spokoju i wypoczynku. To też ponowny rozkaz przebrzmiał po raz wtóry bez echa. Wreszcie, zirytowany, Murat osobiście objął dowództwo! Po krótkiej przerwie huknęły znów strzały. Huczały odtąd wciąż, nieprzerwanie — i umilkły dopiero nad brzegami Sekwany!

Późnym wieczorem wszedł Napoleon do Moskwy. Zatrzymał się na nocleg w jednym z pierwszych domów przedmieścia drogomilskiego. Gubernatorem stolicy mianował marszałka Mortier'a. „Przedewszystkiem zapobiedz trzeba kradzieżom i rabunkowi! Odpowie pan za to własną głową! Bronić musimy Moskwy wbrew wszystkim i wszystkiemu!”

Noc ta posępna była i smutna. Nadchodziły zewsząd złowrogie wieści. Zamieszkali w Moskwie Francuzi, następnie zaś oficer policyi miejscowej — ostrzegali zgodnie przed pożarem, opowiadając szczegółowo o poczynionych przygotowaniach. Cesarz, wzruszony i zaniepokojony, na próżno usiłował zasnąć. Co chwila zrywał się i wołać kazał służbowego oficera. Mimo wszystko jednak, nie dawał jeszcze wiary okropnym wieściom, gdy wtem nagle, około godziny drugiej po północy, wśród nocnych mroków, rozbłysły jaszkrawą czerwienią pierwsze słupy ognia.

Palila się dzielnica kupiecka, położona w centrum miasta, ze wszystkich najbogatsza i najzasobniejsza. Cesarz wydał niezwłocznie odnośne rozkazy, a gdy rozwidniło się, dotarł do

ognia, nie szczędząc Mortier'owi ostrych wymówek. Lecz zamiast odpowiedzi, marszałek wskazał dłonią na domy stałą opancerzone, szczelnie zamknięte, całe jeszcze i nienaruszone, a okolne już kłębami gęstego czarnego dymu. W głębokiej pograżony zadumie wjechał Napoleon na Kremlin.

Czarodziejski widok wspaniałego, jednocześnie średniowiecznego i nowoczesnego pałacu Romanowych i Rurykowiczów, widok pozłocistego tronu, krzyża na wieży Iwana i najpiękniejszej części miasta, nad którą góruje Kremlin, a którą omijała dotychczas skoncentrowana w bazarze pożoga, pokrzepia go i nowej dodaje mu otuchy. Dumą i pychą jaśnieje twarz cesarza, radośnie dźwięczą słowa jego.

Cierpliwie wysłuchuje składanych mu raportów, a ulegając chwilowo niepodzielnie wpływowi zbudzonej do życia nadziei, pisze do cesarza Aleksandra przyjazny list, pokojowem owiany tchnieniem. List ten wręczony został pewnemu oficerowi rosyjskiemu, którego znaleziono w jednej z sal głównego szpitala. Ponury blask płonącego bazaru oświetlał Rosyaninowi powrotną drogę. Jedyłą wszelako odpowiedzią cesarza był pożar miasta.

W ciągu dnia ks. Trewizy zdołał opanować rozszalały żywioł. Podpalacze ukrywali się tak starannie, że niejeden wątpił wprost o ich egzystencji. A gdy wyszły już surowe rozkazy, gdy przywrócono jaki taki ład i spokój, pułki rozbiegły się po mieście, szukając po domach i pała-

cach wygodnych kwater, oraz dobrobytu, który miał być słuszną nagrodą za niezmierny trud i kilkumiesięczne niewywczasy.

Dwóch dyżurnych oficerów czuwało w jednym z narożnych budynków Kremlinu, skąd objąć mogli wzrokiem północną i zachodnią część miasta. Zbudzeni około północy niezwykle jasnością, ujrzeni gnane ku Kremlinowi północnym wiatrem morze płomieni, wśród których rysowały się jeszcze tu i owdzie szlachetne kontury pałaców magnackich. W obrębie Kremlina, oprócz cesarza, mieściła się elita armii, sztab i generalicya; w okolicznych zaś domach rozlokowali się żołnierze nasi, tysiące ludzi i koni — zmordowanych i sytych, twardym śpiących snem. Ogniste języki i płonące głównie połatywały już ponad dachami Kremlinu, gdy wiatr zmienił kierunek i zwał płomień ku zachodowi.

Nie troszcząc się bynajmniej o pozostałe wśród pożogi korpusy, jeden z tych oficerów zasnął znów, mówiąc: „Niechaj kłopotczą się inni, to do nas nie należy.” Gdyż tak wielki był wówczas przesył różnorodnych wrażeń, tak bezliatosny egoizm zrodzony z nadmiaru cierpień, zmęczenia i niedoli, tak bardzo stępiona zdolność odczuwania nieszczęść i bólów bliźniego, że bez wyjątku niemal każdy dbał tylko o siebie, własnych jedynie strzegł praw.

Niebawem jednak, po raz wtóry, oślepiający blask zalał narożną izbę. Gnana wichurą—ognista pożoga sunęła wprost na Kremlin. Jeszcze chwila, a płonąc zaczęły pobliskie domy. Wystraszeni oficerowie przeklinać jęli nierozwagę i brak

karności armii naszej. Trzykrotnie wiatr zmieniał kierunek i trzykrotnie mściwe płomienie, coraz bliższe i coraz jaskrawsze, usiłowały dotrzeć do kwatery cesarskiej.

Nagle podejrzenie zrodziło się wtedy w duszach oficerów. Znając odwagę i niefrasobliwość Francuzów, czyżby Rosyanie powzięli zamiar spalania wraz z Moskwą pułków naszych, upojonych winem, snem i znużeniem? Czy też może, przekonani, że warto było okupić zgon cesarza utratą stolicy; że chcąc osiągnąć tak wielką przewagę, nie należało wahać się przed najcięższą ofiarą; że olbrzym spłonąć mógł li tylko na olbrzymim stosie — łudzili się nadzieją, że cesarz nie wyjdzie cało z tej katastrofy?

Lecz śnać nie zbladła jeszcze przewodnia gwiazda cesarza, skoro nie ziściły się owej pamiętnej nocy szatańskie plany nieprzyjaciela. Istotnie, nietylko, że magazyny Kremlinu zawierały znaczne zapasy prochu, przez nas niezauważone, lecz nadto—teżże samej nocy—zaspane i nieliczne warty dozwoliły całemu parkowi artylerji rozłożyć się tuż pod oknami Napoleona.

W owej właśnie chwili pożar najbliższym był Kremlinu, a podsycala go nieustannie szalejąca coraz bardziej wichura. Życie cesarza i elity wojsk naszych zawisło na włosku. Wobec nagromadzonej wielkiej ilości prochu, każda głownia, każda nieledwie iskra groziła śmiercią.

Wreszcie niebo zaczęło blednąć i smutny, szary dzień oświetlił płonące zgliszcza. Wielu oficerów, między nimi Mortier, oraz dowódcy korpusów i dywizyi, wyczerpani trzydziestokilko-

godziną walką ze straszliwym żywiołem, schroniło się na Kremlin.

Głuche milczenie zaległo cytadelę. Wszystkim niemal zdawało się, że bezpośrednim powodem katastrofy było pijaństwo i niekarność żołnierzy naszych, że silny, iście jesienny wicher, dokonał jeno dzieła. Wzajemnie spoglądaliśmy na siebie z pewnego rodzaju wstrętem! Przerzązał nas okrzyk zgrozy, jaki wyrwać się miał niechybnie z piersi wszystkich bez wyjątku ludów europejskich. Pożar Moskwy kalał promienny blask zdobytej przez nas sławy; czynił bezowocnem krwawe zwycięstwo pod Borodinem; utrudniał nam niezmiernie egzystencję wśród opustoszałej krainy i wrogiej, sfanatyzowanej ludności. Jako zbrodniarze, którym słuszna należała się kara, stanąć mieliśmy przed boskim i ludzkim sądem! Powoli jednak, wobec nadchodzących zewsząd, dziwnych wieści, otrząśnięto się z pierwszego, nader boleśnego wrażenia.

Wszystkie bowiem raporty brzmiały zgodnie; wszystkie oskarżały Rosyan o zbrodniczy zamach na własną, odwieczną stolicę. W kilka godzin po wejściu Francuzów do miasta, w nocy z 14-go na 15-ty września, ognista kula zapłonęła na dachu pałacu ks. Trubeckiego, niecąc pożar. Był to umówiony sygnał. Podpalono niezwłocznie gmach giełdy. W podpalaniu brała czynny udział miejscowa policya. Bomby, podstępnie w piecach ukryte, pękały z hukiem, raniąc tłoczących się opodal żołnierzy. Zmuszeni innych szukać kwater, ruszali pośpiesznie w kierunku pobliskich, niekniętych jeszcze dzielnic; lecz nim zdążyli prze-

kroczyć próg pustych, szczelnie zamkniętych domów, rozlegał się głuchy, przytłumiony huk, a w ślad za nim biegło sine, nikłe pasemko dymu, który zwiększał się i gęstniał coraz bardziej, żółkł, czerwieniał, wreszcie wybuchał płomieniem, wszystko ognistą zalewając falą.

Wstrętne, obdarte postacie pijanych mężczyzn i rozwścieczonych kobiet błąkały się wśród ognia i zgliszcz, uzupełniając grozę i ohydę straszliwego widoku. Zbrojny w płonące pochodnie, niby hufiec potępionych mar, przebiegał z wrzaskiem ulice miasta, podpalając nieobjęte dotychczas pożarem pałace, domy i chaty. Nikt z pośród nas nie wahał się twierdzić, że ta półdzika, wyjąca tłuszczą rozpętana została przez wodzów rosyjskich w celu skutecznienia całkowitej zagłady Moskwy; nikt nie wątpił, że tak wielka, tak bezcenna ofiara, zrodzona z rozpacz, z bezgranicznego umiłowania ojczystej ziemi, zbrodniczą tylko dłonią mogła być dokonana.

Wydano niezwłocznie rozkaz natychmiastowego sądzenia i tracenia wszystkich pojmanych podpalaczy. Armia cała stanęła pod bronią. Stara gwardya, rozlokowana na Kremlinie, w pobliżu cesarza, otoczyła zwartem koliskiem kwaterę cesarską. Objuczone konie, naładowane furgony—wypełniały podwórze i dziedzińce zamkowe. Wszyscy przygnębieni byli i zrozpaczeni utratą tak bogatego łupu. Każdy myślał ze smutkiem o ponownej tułaczce, o noclegach pod gołym niebem, przy ogniu biwaków, u bram zdobytej i równocześnie utraconej Moskwy.

Podczas kiedy żołnierze nasi krzżeli się jeszcze koło ognia, usiłując pożar umiejscowić i ocalić bodaj część miasta, Napoleon, któremu nikt nie ośmielił się zakłócić spokojnego snu, z przerażeniem ujrzał wczesnym rankiem krwawą łunę olbrzymiej pożogi. Nawykły rozkazywać wszystkim i wszystkiemu, chciał ujarzmić również groźny żywioł; wkrótce jednak, pokonany, własną ujrzawszy niemoc, ustąpić musiał wobec niepodobieństwa. Zamiast legnąć w prochu u stóp cesarza, Moskwa straszliwy zgotowała mu odwet!

Zdobycz, której wszystko poświęcił, którą okupił krwią i życiem tysięcy, ginęła oto bezprowrotnie w dymie i ogniu! Dziwny niepokój zawładnął wówczas duszą cesarza. Niemożąc usiedzieć spokojnie, wstawał co chwila, chodził, siadał znów i znów się zrywał, chmurny i rozdrażniony; mimo niecierpiących zwłoki spraw i interesów, porzucał coraz rozpoczętą pracę i biegł ku oknu, skąd widać było szerzącą się coraz bardziej pożogę; gwałtowne ruchy zdradzały wewnętrzną jego rozterkę; krótkie, wzruszeniem drgające okrzyki wyrwały się z głębi ścieśnionej piersi: „Jakiż okropny widok! Oto własne ich dzieło! Tyle pałaców! Jaka niezwykła decyzja! Co za ludzie! Istni Scytowie!”

Kremlin odgradzony był od pożaru pustym, niezabudowanym placem, rzeką i nadbrzeżnemi buiwarami. A jednak, mimo znacznego oddalenia, mimo ciągłego zlewania wodą żelaznych dachów pałacu, zasypywanych wciąż ognistym rojem iskier i głowni, szyby, o które cesarz opierał płonące czoło, rozpalone były jak żużle.

W tejże chwili rozeszła się pogłoska, że Kremlin jest podminowany: wylękle ciury obozowe kurczyły się ze strachu; żołnierze czekali spokojnie na rozkazy swego wodza; cesarz zaś uśmiechał się tylko z niedowierzaniem.

Chodził jednak wciąż z kąta w kąt, od okna do okna i patrzył ze smutkiem na straszliwy a zwycięski żywioł, który coraz szersze zataczał kręgi, coraz dalsze obejmował dzielnice, zalewał ulice, place i mosty, zacieśniając coraz bardziej ogniste kolisko, zewsząd otaczając Kremlin nieprzebytem morzem dymu i płomieni.

Ostry, gryzący popiół zasypywał już oczy i tamował oddech. Coraz gwałtowniej huczała wichura, zwiększając grozę sytuacji. Powoli zapadał zmierzch, ścieląc się posępnymi barwy na zwarty, znieruchomiały tłum żołnierski i krwawe łuny pożogi. Murat, ks. Eugeniusz i ks. Neuchâtel'u, dotarłszy do cesarza, na klęczkach jęli błagać go o zaniechanie pierwotnego zamiaru i o jaknajrychlejsze opuszczenie Kremlinu. Lecz próżne były zarówno prośby ich, jak perswazye.

Napoleon upierał się pozostać w cytadeli — wbrew wszystkim i wszystkiemu, gdy w tem ponury, złowrogi okrzyk: „Kremlin pali się!” — zbudził nas z odrętwienia. Zaroily się dziedzińce i podwórza. Dwukrotnie ogień gaszono i dwukrotnie ukazywały się na dachu jednego z budynków fortecznych smugi siniego dymu. Mimo rantunku, płonęła wieża arsenału. Znaleziony w wieży policyant rosyjski zeznał w obecności cesarza, że, podkładając ogień, spełnił jeno dany mu roz-

kaz. Wszystko więc miało być zburzone, nawet prastary, czczony jak świętość Kremlin!

Niezwłocznie na śmierć skazany, podpalacz wyzionął niebawem ducha pod mściwymi ciosami rozjuszonych grenadyerów.

Zajście to zdecydowało ostatecznie Napoleona. Opuścił wreszcie Kremlin od północnej strony, schodami, które wślawiły się w historyi przez rzeź Strelitz'ów — i kazał prowadzić się poza miasto, na trakt petersburski, w kierunku oddalonej od milę rezydencji cesarskiej.

Lecz otaczający nas zewsząd, rozszalały żywioł — uniemożliwiał ewakuację cytadeli. Po chwili dopiero odnaleziono wykute w skale, wąskie przejście, które wiodło ku rzece. Przejściem tem — Napoleon, oficerowie jego i gwardya zdołali wydostać się z Kremlinu. Bliżsi wszelako pożaru, niż przedtem, nie mogąc ruszyć się ani naprzód, ani też wstecz, spoglądali ze zgrozą na ogrom katastrofy: i tu, i tam huczała pożoga. Ci, którzy usiłowali przedrzeć się ku miastu — ogłuszeni trzaskiem walących się gmachów, osłepi od dymu i popiołu — wkrótce musieli cofać się, z trudem torując sobie drogę wśród ognia i dymiących zgliszczy!

Należało jednak śpieszyć się. Z każdą chwilą wzrastał dokoła nas głuchy pomruk splątanych, niby potworne węże, płomieni. Jedna tylko ulica — kręta, wąska, płonąca odokolona domami — wiodła przez to piekło. Nie wahając się dłużej, cesarz ruszył pieszo. Szedł prędko, wśród łoskotu walących się ścian i dachów, po rozżarzonych depcąc główniach. Odłamy belek i de-

sek, szczątki cegieł i żelastwa utrudniały pochód. Ogień szerzył się z przerażającą szybkością. Gnane wiatrem, przemożne, zwycięskie płomienie zlewały się, tworząc ponad naszymi głowami ognistą powalę. Szliśmy po rozpalonej ziemi, pod ognistym sklepieniem, między dwiema gorejącymi ścianami! Straszliwy żar wypalał nam oczy; oślepił jaskrawy blask. Ciężko dyszały już wszystkie piersi. Ognistym deszczem sypał się gorący popiół, iskry i drobne, lotne płomyki. Parzyliśmy sobie dłonie, usiłując osłonić twarz i oczy. Z odzienia trzeba było zgarniać wciąż osiadające rojem iskry.

W krytycznym owym momencie, wówczas, gdy szybka ucieczka zdawała się być jedyną deską ratunku, przewodnik nasz, niepewny i zmieszany, zwalniać jął kroku, wreszcie stanął. Prawdopodobnie bylibyśmy dokonali wtedy burzliwego żywota, gdyby nie plądrujący opodal żołnierze pierwszego korpusu, którzy, poznawszy cesarza, nadbiegli czempredzej i poprowadzili nas w kierunku dymiących jeszcze zgliszcz spalonej nad ranem dzielnicy.

Wśród gruzów tych i rumowisk spotkaliśmy ks. Eckmühl. Ranny pod Borodinem, mimo osłabienia i znacznego upływu krwi, poprzez krwawe łuny pożogi — Davout szukał Napoleona, aby skłonić go do opuszczenia Moskwy, lub też aby zginać razem z nim. Z okrzykiem radości rzucił się w objęcia cesarza. Cesarz przyjął marszałka łaskawie, lecz bez żadnych zewnętrznych objawów wzruszenia, ze spokojem, który nie opuszczał go nigdy w chwilach niebezpieczeństwa.

Tuż przed roгатką, musieliśmy jeszcze wyminąć długi konwój furgonów z prochem, cofających się również poza miasto. Jakkolwiek groźne, niebezpieczeństwo to było ostatniem. O zmroku cesarz dotarł do Petrowska.

Nazajutrz rano, 17-go września, zaraz po przebudzeniu się, Napoleon jął obserwować pilnie widniejącą w oddali Moskwę. Łudził się jeszcze nadzieją częściowego ocalenia stolicy. Lecz wbrew życzeniom jego i rachubom — straszliwy żywioł z dawną szalał mocą; jak olbrzymi, gorejący stos, płonęło całe miasto; krwawa łuna rozpościerała się na niebie. Zgnębiony tym okropnym widokiem, pobladył, jakgdyby nagle postarzały — cesarz wyrzekł wtedy te prorocze słowa: „Pożar Moskwy wróży nam nieszczęście!”

Forsowne marsze oraz liczne bitwy i potyczki — poprzedzające zajęcie Moskwy — wyczerpały doszczętnie militarne zasoby cesarza. Moskwa miała być kresem nużącej kampanii, celem wszystkich kombinacji i usiłowań, nagrodą za trudy i krew — i ginęła oto jak zwiewna mgła! Jaką pójść teraz drogą? w jakim podążyć kierunku? Pod wpływem sprzecznych uczuć, nieugięty dotychczas geniusz cesarza stanął na rozdrożu. I on, który w r. 1805, mimo długich i kosztownych przygotowań, zaniechał bez wahania projektowanej inwazyi na terytorium Wielkiej Brytanii; on, który z Boulogne-sur-Mer dokonał całkowitego rozbicia armii austriackiej i zwycięskim szlakiem powiódł wojska swoje od Ulm do Monachium; ten sam człowiek, który rok później, z tą samą nieomylnością podyktował z Paryża

cały plan pochodu na Berlin, oznaczył dzień tryumfalnego wjazdu swojego do stolicy Prus i zamianował z góry gubernatora — wahał się teraz, trwożny i niezdecydowany! Nigdy przedtem, w stosunku do najwierniejszych, najbardziej zaufanych ministrów nie zdradzał w niczem na lżejszych wątpliwości; nie było daskusy, ani wspólnych narad, jeno stanowcze, nie cierpiące żadnej opozycji rozkazy. W owej zaś godzinie zwątpienia i depresji — pyta o zdanie, zasięga rady, stara się wy badać duchowe i fizyczne siły swojego otoczenia!

Zachował wszelako dawne formy. Tym samym, co i dawniej, rozkazującym tonem, uwiadomił sztab i generalicyę o projekcie pochodu na Petersburg. Szczegółowy plan pochodu oznaczony już był na mapach — proroczych, jasnowidzących mapach, które nigdy jeszcze nie omyliły się i nie zawiodły; odnośne rozkazy wydane już zostały szefom korpusów. Lecz złudną była stanowczość cesarza, pozorny spokój jego i ufność we własne siły. To też Berthier, zwłaszcza zaś Bessières — przekonali go bez trudu, że zarówno spóźniona pora roku, jak fatalne drogi i całkowity brak furazu oraz żywności, uniemożliwiały równie odległą i niebezpieczną ekspedycyę.

Jednocześnie doszły cesarza wieści, że Kutuzow, cofający się dotąd na wschód, odwiecznym szlakiem najazdów mongolskich, zwrócił się nagle ku południowi i stanął między Moskwą a Kaługą. W myśl argumentów Berthier'a i Bessières'a, wiadomość ta nagliła do natychmiastowego pościgu częściowo rozbitej armii rosyjskiej; nale-

zało bowiem osłonić prawy nasz flank i naszą linię operacyjną; zająć Kaługę i Tułę — śpichlerz i arsenał Rosyi; wreszcie — zapewnić sobie odwrót, krótszą i bezpieczniejszą drogą, na Smoleńsk i Litwę.

Pojedyńczy jakiś głos doradzał odwrót na Witebsk i Połock.

Wobec wszystkich tych projektów — Napoleon waha się, chmurny, niezdecydowany. Uśmiecha mu się jedynie plan zdobycia Petersburga. Odsuwa natomiast wszelkie inne projekty, zgodnie nakłaniające go do jaknajrychlejszego odwrotu. Za żadną cenę nie chce przyznać się w oczach świata do popełnionej omyłki.

Pozostała wprawdzie niespełna trzecia część ołbrzymiej armii cesarskiej i trzecia część prastarej stolicy władków. Lecz ocalał Kremlin i osoba cesarza; lecz nie umniejszyła się w niczem sława oręża francuskiego. W mniemaniu — niestety błędnie! — że zjednoczone imiona Napoleona i Moskwy, jednakowo wielkie i potężne, dokonać powinny chlubnie rozpoczętego dzieła, cesarz postanawia powrócić na Kremlin, którego strzegł i bronił batalion gwardyi cesarskiej.

Obóz, który cesarz przebyć musiał, dążąc ku cytadeli, dziwaczny przedstawiał widok. W szczerem polu, na błotnistej, rozmokłej równinie, paliły się ogniska, podsycane mahoniowemi meblami, szczątkami złożonych drzwi i ram okiennych. Dokoła tych ognisk, na podściółce z wilgotnej słomy, skąpo nakrytej derkami, na pozłocistych fotelach i kanapach, lśniących atlasem

lub aksamitem — siedzieli albo leżeli oficerowie i żołnierze, obdarcy, błotem obryzgni, czarni od dymu i sadzy. U stóp ich falowały zwoje szalów kaszmirowych, najcenniejszych futer syberyjskich, perskich brokateli i tyftyków; piętrzyły się stosy srebrnych półmisków, talerzy, na których nie było nic krom ciemnych, w popiele pieczonych podpłomyków i nawpół surowej, krwią ociekającej koniny: dziwne połączenie dostatku i głodu, bogactwa i trudu, przepychu i nędzy.

Między obozem a miastem, snuły się gromady żołnierzy, którzy bądź to sami dźwigali bogate łupy, bądź też poganiali przed sobą rosyjskich muzyków, obładowanych, jak juczne zwierzęta, plonem krądieży i rabunku. Pożar wygnał bowiem z kryjówek blisko dwadzieścia tysięcy mieszkańców, którzy nie mogli zdecydować się na opuszczenie miasta. Niektórzy z nich — tak mężczyźni jak kobiety — chędogo i dostatnio ubrani, należeli śnać do sfery kupieckiej. Strzegąc resztek ocalonego mienia — schronili się pod osłonę francuskich biwaków i żyli czas jakiś pospołu z naszymi żołnierzami, faworyzowani przez jednych, tolerowani lub też ignorowani przez drugich.

Za ich przykładem poszły luźne oddziały rosyjskie, liczące ogółem prawie dziesięć tysięcy ludzi. W ciągu kilku dni błakali się wśród nas, przez nikogo nie krępowani, niektórzy nawet uzbrojeni. Żołnierze nasi spoglądali na nich bez gniewu ani zawiści, nie zdradzając żadnych nieprzyjaznych zamiarów, bądź to dlatego, że uważali wojnę za ukończoną, bądź też, że z natury nie-

frasobliwi i miłosierni — litowali się nad nędzą i wymizerowaniem wczorajszych wrogów. Ognie biwaków naszych ogrzewały zarówno Rosyan, jak Francuzów; jednoczyły ich wspólne wyprawy w celach kradzieży i rabunku. Później dopiero, gdy zmiejszył się nieład, gdy wodzowie zorganizowali rabunek jako normalny środek zaopatrywania się w żywność i furaz, zauważono niezwykłą liczbę maruderów rosyjskich. Wyszedł wówczas rozkaz wzięcia ich do niewoli; lecz nim rozkaz spełniono, blisko osiem tysięcy Rosyan zdołało umknąć.

Dziwniejszy jeszcze i smutniejszy widok przedstawiało miasto, a raczej zwęglone szczątki olbrzymiej stolicy. Gdziekolwiek tylko widniały samotne domy, cudem nieledwie ocalałe. Przykrawoń spalenizny unosiła się w powietrzu. Jak okiem dojrzeć — wszędzie stopy dymiących jeszcze zligszcz, wszędzie gruzy i popiół; linię placów i ulic oznaczały jedynie, nawpół rozwalone ściany lub sterzące tu i owdzie smukłe filary pałacowe.

Na przedmieściach tułały się wśród rumowisk gromadki mężczyzn i kobiet — pobladłe, wynędzniałe, w brudnej, na poły spalonej odzieży. Jedni rozkopywali po ogrodach grządki, szukając jakichkolwiek jarzyn — marchwi lub buraków; inni — do spółki z krukami — szarpali resztki pozostawionaj przez wojsko padliny; inni wreszcie — mimo chłodu — wylawiali z nurtów Moskwy ziarno, rzucone do rzeki z rozkazu Roztopczyna i pożerali je łapczywie, chociaż sfermentowane już było i stęchłe.

Cała armia nasza, wszystkie bez wyjątku pułki, rozpierzchły się po mieście. Cesarz napo-

tykał co chwila oddziały maruderów, mniej lub więcej obładowanych, albo hałaśliwe zbiegowisko żołnierzy, tłoczących się u wrót pałaców, kościołów i bogatych sklepów, które usiłowali otworzyć.

Wszędzie walały się szczątki mebli wszelkiego rodzaju, potłuczonych i pogruchotanych; wszędzie bogate tkaniny, przedmioty sztuki i zbytku — przez kapryśnego rzucone żołnierza. Żołnierze bowiem z zasady rabują wszystko, wszystko zabierają, bez względu na to, czy istotnie wszystko będą mogli udźwignąć; później zaś, zmęczeni, pod nadmiernem uginając się brzemieniem, zostawiają po drodze przeważną część zrabowanych bogactw.

Place i ulice wyglądały jak olbrzymi targ, tysiąciami mieniący się barwami. Wśród istic jarmarcznego zgielku i wrzawy — najrzadsze, najcenniejsze przedmioty sprzedawane były za pół darmo; inne, mniej wartościowe, za drogie kupowano pieniądze. Szczególniej złoto, łatwiejsze do ukrycia i przeniesienia, chętnych znajdowało nabywców. Na stosach piętrzących się skrzyń z cukrem i kawą, na beczkach najlepszych win i likierów — siedzieli żołnierze, radzi sprzedawać kosztowny swój towar za bochenek czerstwego chleba. Niektórzy z pośród nich, głodem wyścieńczeni, oszołomieni wódką, staczali się w huczące tuż obok płomienie i ginęli wśród ognia i dymu.

Wszelako większość uratowanych domów i pałaców, przeznaczona na kwatery dla oficerów i generalicyi, wyłączona została z ogólnego rabunku. Wszyscy spoglądali ze smutkiem na ogrom

katastrofy, na nędzę i rozprzężenie naszych szeregów. Wprawdzie kilka wybitnych jednostek spotkało się następnie z zarzutem zbyt gorliwego gromadzenia cennych pamiątek i zabytków, lecz było ich tak niewiele, że zarzut ten nie może żadną miarą stosować się do ogółu. W owej epoce, dusze ludzkie, wykołysane dźwiękiem bojowych surm, gorące były i namiętne. Namiętne, częstokroć lekkomyślne, lecz nie chciwe, nie zachłanne: brano wszystko, ażeby wszystko rozdać, sądząc, że przelana krew hojnie za wszystko zapłaciła.

Wśród chaosu tego i rozprzężenia, po raz wtóry wjeżdżał Napoleon do Moskwy. Początkowo patrzył przez szpary na nadużycia i rabunek, w nadziei, że staranne przeszukiwanie gruzów i rumowisk nie będzie bezowocnem. Lecz gdy dowiedział się, że nieład wzrasta; że nawet stara gwardya idzie za przykładem innych korpusów; że chłopcy rosyjscy, których ściągnąć kazał z zapasami żywności i furażu, hojnie płacąc im za wszystko, napadani są i ograbiani przez zgłodniałych żołnierzy naszych; gdy dowiedział się, że wszystkie bez wyjątku pułki przymierają głodem i chłodem, przemocą wydzierają każdy niemal kęs chleba; że istniejące jeszcze skąpe zapasy trwonione są przez bandy rabusiów — wydał wówczas nader surowe rozporządzenia: gwardya ukarana została czasowo aresztem; opróżniono cerkwie, zajęte dotychczas przez naszą kawaleryę; rabunek zaś — zorganizowany na wzór innych czynności służbowych — powierzany był kolejno wszystkim kor-

pusom. Postanowiono wreszcie zająć się losem licznych maruderów rosyjskich.

Lecz było już po niewczasie. Maruderzy umknęli; chłopci, zrazeni i wylękli, omijali zdaleka obóz nasz; znaczna część zapasów została roztrwoniona. Wprawdzie armia francuska niejednokrotnie dopuszczała się grzechu marnotrawstwa; tutaj wszakże, straszliwy pożar tłumaczy i usprawiedliwia wiele rzeczy, czyni nas mniej odpowiedzialnymi za popełnione nadużycia. Jakkolwiek bądź, zaznaczyć należy, że rozprzężenie trwało krótko i że zapanował niebawem w olbrzymim obozie dawny ład i dawna karność.

Opuszczając Moskwę, Kutuzow pociągnął za sobą Murat'a ku Kołomni, aż do punktu, w którym rzeka Moskwa przecina drogę. Pod osłoną nocy cofnął się wówczas między Moskwę a Kaługę. Nocny ten pochód Rosyan dokoła płonącej stolicy, posępny był i tajemniczy, niby średnio-wieczne misteryum. Szli cicho, w lunach pożogi, która coraz szersze zataczała kręgi, zalewając ognistą falą jądro i ośrodek handlu rosyjskiego, czczone sanktuarium wiary ojców, kolebkę i macierz potężnego mocarstwa! Grozą i nienawiścią gorzały wszystkie oczy. W głuchem milczeniu szedł pułk za pułkiem a w oddali huczały płomienie, jękliwą skargą zawodził zimny jesienny wiatr. Od czasu do czasu, tu i owdzie, wybuchał nagle krwawy słup ognia, oświetlając zakrzepłe w bólu twarze żołnierzy. Tylko oczy paliły się wciąż fosforycznym blaskiem; w oczach tylko można było wyczytać dziką żądzę zemsty, która wkrótce

objąć miała płomieniem całe imperium, aż do najcichszych jego zakątków, kładąc dłoń swoją na pokonanych już wtedy, dogorywających z ran i głodu szczątkach Wielkiej Armii.

W owej uroczystej chwili, Kutuzow zawiadamia cesarza o utracie stolicy; oświadcza: „że, chcąc zachować urodzajne gubernie południowe oraz łączność z Tormasowem i Czyczagowem, zmuszony został opuścić Moskwę, wydać ją w ręce wrogów; wobec tego jednak, że naród, nie ziemia, stanowi państwo, wszędzie gdzie tylko znajduje się lud rosyjski — tam jest Moskwa, tam całe imperium”.

Pod wpływem żalu, przyznaje wówczas: „że cios ciężki jest i niezatarte zostawi ślady”, nie traci wszakże otuchy i wiary w przyszłość: „Utrata Moskwy jest utratą jednego tylko miasta, ofiarą, która ocalić powinna kraj i naród. Pulki nasze, rozlokowane wzdłuż niezmiernie długiej linii operacyjnej Francuzów—strzedz będą każdego poruszenia wojsk nieprzyjacielskich, osłaniać zasobniejsze ziemie cesarstwa, ułatwiać rozszerzenie i uzupełnienie przetrzebionych kadrów armii naszej”. 16-go września donosi już cesarzowi: „że Napoleon niebawem zmuszony będzie wyrzec się drogo okupionej zdobyczy”.

Żalobna ta wiadomość wstrząsnęła do głębi sercem Aleksandra. Dwór okrył się kirem. Lecz, wbrew rachubom Napoleona, który liczył niewątpliwie na słabość ducha swojego rywala; wbrew tajemnym obawom świątelszych Rosyan, którzy spoglądali z lękiem w stronę Petersburga—cesarz zniósł mężnie bolesny cios. Męstwem i spoko-

jem tchnie proklamacya cesarska do narodu zwrócona: „Nie rozpaczy nam trzeba, lecz czynów, lecz odwagi i wytrwałości! Opustoszała i spalona Moskwa, w której nie ma nic, krom gruzów i popiołu—grobem będzie dla Francuzów. Olbrzymia, trzystotysięczna armia francuska, składająca się z ludzi wszelkich narodowości i wszelkich wyznań stopniała już oto w połowie od ran, głodu i trudów. Moskwa leży w gruzach, lecz ani jedna głowa nie pochyliła się kornie do stóp Napoleona.

„Wzrastające z dniem każdym siły nasze otaczają go zewsząd; wszystkie drogi osaczone są, strzeżone wszystkie przejścia. Ażeby głodowej ująć śmierci, niedługo zmuszony będzie przedzierać się przez zwarte szeregi walecznych żołnierzy naszych. Czy cofniemy się wówczas w oczach sprzyjającej nam Europy?... Zaświećmy jej przykładem i chwalmy Pana nad Pany, który obrał nas za rycerzy cnoty i wolności!” Proklamacya kończy się wezwaniem do Wszechmocnego.

Rozmaicie oceniają Rosyanie ówczesne zachowanie się Kutuzowa i cesarza. Co do nas, to sądzić możemy naszych wrogów jedynie na podstawie faktów. Owóż czyny odpowiadały w zupełności wyrzeczonym słowom. Towarzysze moi, bądźmy sprawiedliwi! Ofiara całkowitą była, bez zastrzeżeń, bez niewczesnych żalów. A gdy zagasała później w potokach krwi promienna gwiazda cesarza, gdy wybiła godzina odwetu, żadnej nie żądali zapłaty, żadnego odszkodowania; uszanowali odwieczne pamiątki, gmachy i skarby nadsekwańskiej stolicy. To też imię ich czyste jest, niczem nieskalane. Z chwilą, gdy cywilizacya

przeniknie głębiej to społeczeństwo, naród rosyjski doczeka się pełni rozkwitu i tak, jak inne ludy, krzepką dłonią ujmie z kolei złote berło sławy!

Podstępny manewr Kutuzowa powiódł się w zupełności. W ciągu trzech dni Murat szukał napróżno śladów nieprzyjaciela. Tymczasem Rosyianie przestudyowali teren i odpowiednio obwarowali się. Forpoczty rosyjskie bliskie już były Woronowa, jednej z najpiękniejszych włości hrabiego Roztopczyna, gdy wyminął ich gubernator, stale towarzyszący teraz armii. Żołnierze sądzili, że ujrzyć chce raz jeszcze swoją rezydencję i, gwarząc, jechali dalej, gdy wtem nagle buchnęły kłęby czarnego dymu. Pałac i zabudowania dworskie znikły z oczu.

Kto żył, rzucił się do ognia, lecz Roztopczyn nikomu nic ratować nie pozwolił. Z uśmiechem na ustach spoglądał na walący się przepyszny gmach, a gdy zostały jeno zgliszcza, pewną dłonią nakreślił na wrotach cerkiewnych następujące znamienne słowa: „Przez osiem lat upiększałem pałac ten i żyłem w nim szczęśliwie na łonie rodziny. Dzisiaj poddani moi,—tysiąc siedemset dusz—opuszczają chaty i ziemię, ja zaś podpalam własnoręcznie dom mój, abyście go nie splugawili waszą obecnością. Francuzi! zostawiłem wam na łup dwa domy w Moskwie oraz za pół miliona rubli mebli i ruchomości. Tutaj znajdziecie tylko gruzy i popiół”!

W pobliżu Woronowa doścignął Murat armię rosyjską. 29-go września, pod Czerikowem, doszło do gwałtownego starcia. Szwadrony nasze chwiałały się już i ustępowały, gdy nadciągnął ks.

Poniatowski na czele trzech tysięcy Polaków. Przy współdziałale generalów Paszkowskiego i Kniaziewicza, Poniatowski podjął bez wahania walkę z dwudziestotysięcznym korpusem jazdy rosyjskiej. W ciągu kilku godzin, Miłoradowicz usiłował napróżno zgnieść słabszego liczebnie nieprzyjaciela. Jak wiatr szły w ogień niezmordowane, lotne pułki polskie, odpierając kozaków. Męstwo polskiego księcia unicestwiło wreszcie ostatni i największy wysiłek generała rosyjskiego. Zewsząd otoczony, bezbronny wskutek nagłego upadku, Poniatowski skrzyknął czterdziestu jeźdźców i ruszył w skok na wroga, atakując kolumnę nieprzyjacielską pejcem wprawdzie, lecz z tak wielkim impetem, że pod naporem ludzkich i końskich piersi jęły wkrótce cofać się przestraszone i zdziwione szeregi rosyjskie. Miłoradowicz został pobity.

Tymczasem pożar, wzniecony w nocy z 14-go na 15-y września, chwilowo opanowany, szalejący następnie bez przerwy 16-go, 17-go i 18-go, przygasać zaczął 19-go, ustał zaś całkowicie nazajutrz, 20-go września. Tegoż dnia Napoleon, który uszedł był z Kremlinu przed pożogą, powrócił do prastarego pałacu cesarzów. Pewnym będąc, że odniesione przezeń zwycięstwo doda otuchy wyczerpanym i osłabłym pułkom naszym; że każdy bieczyć będzie do Moskwy, znęcony urokiem bogatych łupów, niezaznanych jeszcze, a silnych wrzeń, zwłaszcza zaś urokiem promiennej sławy tego, który podbił całą niemal Europę, który tutaj nawet, wśród zgliszcz i gruzów, gorzał jak pochodnia na samotnej skale—oczekiwał aplauzu

wszystkich ludów Europy, oczekiwał nadejścia zapóźnionych konwojów, świeżych posiłków i tłumu wlokących się za wojskiem maruderów.

Dwukrotnie wszelako, 22-go i 28-go września, listy dążącego za Kutuzowem Murat'a, o mało co nie skłoniły cesarza do opuszczenia Kremlinu. Lecz tak w jednym, jak w drugim wypadku, przygotowane już na piśmie rozkazy, zostały spalone. Uważając snąc wojnę za ukończoną, cesarz wyglądał z dnia na dzień odpowiedzi z Petersburga. Wspominał ustawicznie dawne czasy, Tylżę i Erfurt, i, jak wszyscy wybrańcy losu, z przedziwnym uporem łudził się, że spełnione będą wszystkie jego życzenia.

Posiadał zresztą w najwyższym stopniu zdolność dowolnego przerywania najbardziej skupionej refleksyi, najsmutniejszych, troską i bólem brzemiennych, myśli. Wola górowała w nim zawsze nad wyobraźnią. Równie dobrze panował nad samym sobą, jak nad drugimi.

Lecz choć upłynęło już jedenaście dni, żadna nie nadeszła odpowiedź. Aleksander milczał wciąż; Napoleon wciąż łudził się, że uporem i wytrwałością pokona słabszego przeciwnika. Tracił tym sposobem drogocenny czas, dozwalając Rosyanom ponownie zorganizować się i do dalszej przygotować walki.

Od tej chwili, bardziej jeszcze, aniżeli w Witebsku—cała działalność, wszystkie rozporządzenia cesarza, zwiastują Rosyanom, że potężny ich wróg zamierza osiedlić się w centrum ziem cesarskich. Szcątki spalonej Moskwy otrzymują intendentą i władze miejskie. Wydany zostaje roz-

kaz zaprowiantowania armii na zimę. Powstać ma teatr, obsadzony pierwszorzędniemi silami sceny paryskiej. Włoski śpiewak usiłuje wskrzesić w ponurych murach Kremlinu świetne zebrania Tuileryów. Środki te podejść miały i uspić czujność rządu rosyjskiego.

Niebawem jednak cesarz zdaje sobie sprawę, że rząd ten, nawykły do panowania nad narodem, podejść się nie da. Minęły tymczasem ostatnie dni września, rozpoczynał się październik, a wraz z nim zimna i słotna jesień. Zirytowany milczeniem Aleksandra, po bezsennej, niespokojnej nocy, rankiem 3-go października przywołać kazał generałów swoich i marszałków. „Chodźcie—rzekł—zaznajomić się z nowym moim planem. Ks. Eugeniuszu, proszę czytać! (Wszyscy słuchają). Trzeba spalić szczątki Moskwy i przez Twier ruszyć na Petersburg, dokąd podąży za nami Macdonald! Murat i Davout tworzyć będą tylną straż!” Rzekłszy to, ogarnął palającym wzrokiem milczących i zdumionych generałów. Wszystkie twarze chłodne były i niewzruszone, zaciśnięte wszystkie usta.

Podniecając się wówczas, ażeby innych porwać i rozplomienić, zawołał: „Czyżby istotnie brakło już w duszach waszych ognia i zapału? Czy kiedykolwiek dokonał kto większego czynu? Obecnie tylko taka zdobycz jest nas godna! Jakżeż niezmierna otoczy nas chwała, co powie świat cały, dowiedziawszy się, że w przeciągu trzech miesięcy zdobyliśmy dwie największe stolice Północy?”

Lecz Davout i Daru zgodnie przeciwstawili mu „spóźnioną porę roku, głód, oraz bezludną, z wszelkich zasobów ogołoconą drogę”.

Podobno przedstawili wówczas cesarzowi kilka innych planów i projektów; był to wszakże próżny trud, gdyż geniusz Napoleona tak wysoko szybował, że żadne argumenty ani perswazyje nie byłyby powstrzymały go, gdyby istotnie powziął był stanowczą decyzję rozpoczęcia nowych kroków wojennych. Lecz plan pochodu na Petersburg był jeno gniewnym porywem, odruchem zadraśniętej miłości własnej wobec przypuszczalnego faktu wyrzeczenia się wspaniałej, drogo okupionej zdobyczy.

Przedewszystkiem zaś był groźbą, która przestraszyć miała zarówno przyjaciół, jak wrogów i doprowadzić do negocyacji. Przedstawicielem cesarza miał być hrabia Caulaincourt. Darzony szczególniejszemi względami Aleksandra, Caulaincourt cieszył się sympatyą wyższych sfer petersburskich; lecz od kilku miesięcy—jako jeden z gorętszych przeciwników toczącej się kampanii, stale odsuwany był przez cesarza od poufnych narad i dyskusyi.

Do Caulaincourt'a wszelako odwołał się Napoleon w owej krytycznej chwili. Sam na sam z wielkim koniuszym—długo wahał się, chodząc wzdłuż i wszerz ponurej sali, zmagając się z własną niepohamowaną dumą i pychą. W końcu jął mówić szorstkim, zdławionym głosem, w którym drgały jeszcze echa wewnętrznej burzy; poprzez rzeczową argumentację przebijał gniew, przemocą tłumiony:

„Mam zamiar wyruszyć niebawem na Petersburg. Wiem, że zmartwi pana zniszczenie tej drugiej z rządu stolicy. Rosya powstanie wówczas przeciwko cesarzowi; uknuty zostanie spisek i cesarz padnie z ręki sprzyśiężonych. Śmierć jego wielkiem będzie nieszczęściem tak dla Rosyi, jak dla Francyi; gdyż charakter Aleksandra odpowiada nam w zupełności i nikt inny nie mógłby zasiąść na tronie rosyjskim z równą dla nas korzyścią. Ażeby przeto zapobiedz katastrofie, pragnę, panie hrabio, wysłać cię do Petersburga”.

Lecz wbrew najelementarniejszym zasadom pochlebstwa, wierny przekonaniom swoim ks. Vicencyi odparł: „że preliminarya te żadnych nie dadzą wyników; że dopóki ostatni żołnierz francuski nie opuści terytoryum rosyjskiego, Aleksander nie zaakceptuje żadnej propozycyi; że Rosyanie zdają sobie sprawę z tego, iż w owej porze roku przewaga jest po ich stronie; że nadto, negocjacye takie byłyby szkodliwe, bo, kładąc nacisk na zawarcie pokoju, odsłoniłyby nieprzyjacielowi istotę smutnego naszego położenia”.

Dodał: „że im znacznieszą będzie osoba wysłańca cesarskiego, tem większy ujawni niepokój; że wobec tego on, Caulaincourt, najzupełniej nieopowiedni jest, tembardziej, że, jako przedstawiciel cesarza i Francyi, z góry przekonany byłby o bezużyteczności powierzonej mu misyi”. Cesarz zawołał wtedy z gniewem: „Wyślę więc Lauriston’a”!

Lauriston upewnia, że, na równi z Caulaincourt'em, przeciwny był rozpoczynaniu jakichkolwiek układów, doradzając natomiast, bez żadnej

zwłoki, odwrót w kierunku Kaługi. Napoleon, zirytowany, odparł z goryczą: „Że lubi tylko proste plany i proste drogi; że szlak, którym przybył do Moskwy, najprostszym jest, lecz że nie pójdzie nim, dopóki nie zawrze korzystnego pokoju”. Wskazując następnie na przygotowany list do cesarza Aleksandra, polecił mu wyjednać u Kutuzowa odpowiednie glejty. W końcu zaś rzekł z naciśkiem: „Pragnę pokoju, koniecznie, za wszelką cenę! Generale, wyjdź jeno z honorem”!

5-go października dotarł Lauriston do forpocztów rosyjskich. Wojna chwilowo ustała; udzielono generałowi żądanej audyencji. Lecz zamiast Kutuzowa, zjawił się tylko Bennigsen i Wołkoński, adjutant cesarza. Wilson twierdzi, że oficerowie i generałowie rosyjscy, obawiając się starczej niemocy naczelnego wodza, tak głośno pomawiali go o zdradę, że Kutuzow nie śmiał wprost opuścić zajmowanej przez się kwatery.

Instrukcye, dane Lauriston'owi, nakazywały mu porozumiewać się li tylko z samym Kutuzowem. Odrzucił więc ze wzdgardliwą dumą wszelkie pośrednictwo, a korzystając ze sposobności, aby przerwać negocyacye, którym był przeciwny, usunął się, mimo nalegania i perswazyi Wołkońskiego. Nazajutrz wracać miał do Moskwy. Napoleon, urażony i zirytowany, niewątpliwie byłby wyruszył wówczas przeciw nieuzupełnionej jeszcze i niewyćwiczonej armii rosyjskiej, byłby rozniósł ją i zmusił Kutuzowa do zawarcia pokoju. W razie zaś mniej decydującej wiktoryi, byłby mógł cofnąć się spokojnie na zachód, ku zapasowym batalionom naszej rezerwy.

Na nieszczęście, Bennigsen pośpieszył prosić Murat'a o współudział w negocjacyach. Lauriston wyjazd odroczył. Szef sztabu rosyjskiego — zręczniejszy jako dyplomata, aniżeli jako wódz — postanowił usidlić króla pochlebstwem i okazywaniem mu uwielbieniem; wziąć go na lep słodkich słówek, które tchnęły przesytem wojny i nadzieją rychłego pokoju. Murat, znudzony już nieustającą wrzawą wojenną, pełen serdecznej troski o dalsze losy kampanii — bez trudu dozwolił usidlić się, zwieść i oszukać.

Bennigsen przekonał równocześnie Kutuzowa i Murat'a. Mimo spóźnionej pory, zawiadomił Lauriston'a, iż otwarta jest dla niego droga do kwatery naczelnego wodza. Konferencya rozpoczęła się dość burzliwie. Dotknięty natarczywością Wołkońskiego i Konownicina, Lauriston zażądał rozmowy bez świadków. Po krótkim wahaniu — przyjęto ten warunek.

Lauriston przedstawił wtedy Kutuzowowi cel swojego przybycia i prosił go o udzielenie mu odpowiednich gwałtów. Kutuzow odrzucił wprawdzie prośbę — zasłaniając się zupełną w tym kierunku niekompetencją — zaproponował natomiast wysłać do Petersburga ks. Wołkońskiego z listem od Napoleona. Aż do powrotu księcia trwać miało czasowe zawieszenie broni. Propozycyi tej towarzyszyły wyrazy szczerej, rzekomo, życzliwości, powtarzane następnie przez wszystkich generałów i wyższych oficerów rosyjskich.

Niebawem jednak przekonaliśmy się, jak dalece fałszywa była owa życzliwość. Rosyane podeszli zarówno Murat'a jak cesarza. Uradowany przebie-

giem negocjacyi, łatwowierny wskutek nadmiaru złudzeń czy też może zniechęcenia i rozpacz, pragnąc uciszyć wewnętrzny niepokój i miotającą nim rozterkę — Napoleon przywołać kazał wszystkich generałów i z niezwykłym blaskiem w chłodnych zazwyczaj żrenicach, oświadczył im, że pokój wkrótce zostanie zawarty.

Niepodobało mu się tylko proponowane przez Kutuzowa zawieszenie broni. Rozkazał Murat'owi zerwać je natychmiast; nie mniej jednak — dla nieznanych dotychczas powodów — obustronnie wszelkich zaniechało utarczek.

A raczej zaniechało ich jedynie czoło obu wrogich sobie kolumn. Dziwaczne to armistycium, które zerwać można było co dnia za trzygodzinnem wypowiedzeniem — nie obowiązywało ani flanków, ani tyłów armii. Tak przynajmniej interpretowali je Rosyanie. Ani jeden konwój, ani jeden furgon z furazem lub zapasami żywności, nie mógł przedostać się bez walki. Wojna trwała więc w dalszym ciągu, toczyła się wszędzie, za wyjątkiem tych właśnie punktów, w których oręż nasz miał największe szanse powodzenia i przewagi.

Przez kilka pierwszych dni Murat docierał chętnie do forpocztów nieprzyjacielskich, ciesząc się z dziecinną nieogłędnością z okazywanych mu względów. Aby tylko podtrzymać złudzenia, wódzowie rosyjscy nie szczędzili grzeczności ani pochlebstw. Waleczny król Neapolu rozkazywać mógł zarówno rosyjskim, jak francuskim strażom, objeżdżać tak jedne, jak drugie posterunki.

Co się zaś tyczy cesarza — to krótkotrwałą była jego radość.

W rzeczy samej, dwa znaczne konwoje dostały się znów w ręce nieprzyjacielskie: jeden przez niedbalstwo komendanta, który zastrzelił się z rozpacz; drugi wskutek podłości i tchórzostwa oficera, który, na surową zasłużywszy karę, ocalał tylko dzięki poczynającemu się odwrotowi.

Każdego ranka żołnierze nasi — kawalerya zwłaszcza — zmuszeni byli dalekie odbywać wyprawy po codzienną, skąpą strawę. A ponieważ okolice Moskwy i Winkowa wkrótce оголоcone zostały z wszystkiego, przeto wycieczki te z konieczności coraz dalsze były i coraz forsowniejsze. Ludzie i konie wracali wyczerpani i osłabieni, o ile wszyscy wrócić zdołali; każdą bowiem miarę żyta i owsa, każdą wiązkę siana zdobywać trzeba było przemocą. Śmiercią karani byli ci, których ciekawość lub chęć zysku przywiodła do naszego obozu. Inni, sprowadziwszy uprzednio kozaków, podpalali własnoręcznie chaty swoje i zabudowania i patrzyli z radością na wylaniające się z pośród ognia ciemne sylwetki naszych furazerów, którzy mieli wówczas do wyboru śmierć w płomieniach lub też rycerski zgon w nierównej walce.

Chłopi to zdobyli Wereję, miasteczko, leżące w pobliżu Moskwy. Zamiar ten zrodził się podobno w umyśle jednego z popów miejscowych, który przy współdziałaniu zbrojnych mieszkańców, oraz otrzymanej od Kutuzowa garstki wyćwiczonego żołnierza, rankiem 10-go października, z jednej strony przypuścić kazał do szaićców symulowany atak, podczas gdy sam wdzierał się z drugiej strony na wały. Po krótkiej walce, miasteczko zostało zdobyte, a załoga wymordowana.

Wszędzie zatem toczyła się wojna: za nami, przed nami, dookoła nas. Armia topniała z dniem każdym; z dniem każdym wzmagало się zuchwalstwo i przedsiębiorczość nieprzyjaciela. Podbój Rosyi podzielić miał niestety! los wielu innych — równie świetnych i wiekopomnych zdobywczy, które prędeży czy później wymykały się ze znużonej dłoni zdobywcy.

Nawet niefrasobliwy, lekkomyślny Murat jął w końcu niepokoić się i z lękiem w przyszłość spoglądać. Połowa pozostałych mu szczątków świetnej niegdyś jazdy wyginęła w codziennych tych utarczkach. Na forpocztach, przy zetknięciu się z naszymi strażami, oficerowie rosyjscy — bądź to przez pychę, bądź też przez nadmierną, brutalną niemal szczerość — czarnemi barwy malowali bliskie już podobno dni klęski i niedoli. „Widniejące w oddali tabuny pół dzikich koni, o długiej rozwianej grzywie, świadczyły o formowaniu się licznych oddziałów jazdy, podczas gdy topniały i ginęły reszki naszej kawaleryi. W głębi linii nieprzyjacielskiej, nieustanny loskot salw karabinowych zwiastował nam, że Rosyanie korzystają z chwilowego zawieszenia broni, ażeby wyćwiczyć i obznajmić ze służbą zastępy gołąsych rekrutów”.

Cesarz świadom był grożącego mu niebezpieczeństwa; za wszelką jednak cenę zachować pragnął bodaj złudzenia. Lecz powoli wrócił znów niepokój, wewnętrzna wróciła rozterka i wzrastała wciąż, nieustannie, ujawniając się w gniewnych i mściwych rozporządzeniach. Wówczas to ograbić kazał cerkwie Kremlinu z wszystkiego, co tyl-

ko służyć mogło Wielkiej Armii jako zwycięskie trofea. „Przedmioty, przez samych Rosyan skazane na zagładę, słusznie należą do zwycięzców na mocy podwójnego prawa zwycięstwa i pożaru!”

Olbrzymi, pozłocisty krzyż z wieży cerkiewnej Iwana — krzyż, któremu lud rosyjski szczególniejszą oddawał cześć, z którym łączyły się, w myśl podania, losy monarchii — zdobić miał kopułę paryskiego gmachu Inwalidów. Podczas gdy tłum żołnierzy pracował nad zdjęciem świętego znaku, żalobnym wiankiem otoczyły go wrony i kruki, kracząc tak rozgłośnie, tak uporczywie, że Napoleon — zmęczony, zdenerwowany, zauważył w końcu: „Te czarne ptaszyska bronić chyba chcą swojego krzyża!” Nikt nie wie, jakie myśli, jakie przeczucia gnębiły w owej chwili cesarza; wszyscy jednak widzieli, że smutny był i często w ponurą popadał zadumę.

Codziennie spacer, jesiennem słońcem ozłocone — potęgowały jeno smutek: wszędzie głucha, martwa cisza; wszędzie zgliszcza i popioły; dookoła Moskwy pustynia, a za nią nieznaną dal, w złowrogiem spowita milczeniu. Odgłos miarowego stąpania nielicznych patroli naszych, stróżujących u wrót olbrzymiego tego grobowca — nie był mocen wyrwać cesarza z zadumy, z zakłętęgo koliska bolesnych wspomnień i boleśniejszych jeszcze obaw o dzień jutrzejszy.

Bezsenne, troską brzemiennie noce spędzał sam na sam z hrabią Daru, na wspólnych naradach nad grozą i niebezpieczeństwem sytuacji.

Oceniając wówczas należyście urok nieomyślności, który opromieniał go od szeregu lat —

odrzucał ze zgrozą wszelką myśl o odwróceniu o przyznaniu się wobec Europy do popełnionej omyłki. „Pierwszy krok wstecz będzie hasłem długoletniej, krwawej i morderczej walki! Bezczyńność moja jest więc uzasadniona. Czyż nie wiem, że pod względem strategicznym Moskwa żadnej nie przedstawia wartości? Posiada natomiast duże znaczenie polityczne. Rządź tu nie jako generał, lecz jako cesarz. W polityce nie należy nigdy cofać się, nigdy do żadnego przyznawać się błędowi, wtedy nawet, gdy błąd istotnie został popełniony; mimo wszystko, wbrew wszystkim i wszystkiemu, dążyć trzeba wytrwale do celu”.

Dlatego też trzymał się pierwotnego planu z uporem, który był niegdyś pierwszorzędną zaletą cesarza, w owej zaś chwili największą jego wadą, najstraszliwszą pomyłką.

Wzrastają tymczasem trudności, położenie komplikuje się coraz bardziej. Armia pruska niepewnym jest sprzymierzeńcem; armia austriacka cofnie się również lada dzień. Cesarz zdaje sobie sprawę z odstępstwa i zdrady, lecz, bezsilny wobec wyjątkowych warunków i okoliczności; nie mogąc ani posunąć się w głąb kraju, ani zostać na dłużej w Moskwie, ani też cofnąć się wstecz; pod wpływem najróżnorodniejszych, szóstokroć sprzecznych uczuć i refleksyi — odkłada z dnia na dzień stanowczy moment powzięcia nieodwołalnej decyzji.

List cesarza, wręczony Lauriston'owi, odejść miał 6-go października; nie należało więc spodziewać się odpowiedzi przed 20-ym tegoż miesiąca. Mimo wszystko zatem, mimo całą grozę

położenia — duma Napoleona, najistotniejsze zasady jego polityki, może i stan zdrowia, nakłaniały go do obrania najniebezpieczniejszej drogi, do bezcelowego wyczekiwania na niepewną, zwodniczą odpowiedź. Daru, pospołu z innymi oficerami, szukał napróżno dawnych cech cesarskiego geniuszu, dawnej zdolności natychmiastowego decydowania się, dawnej energii i siły; wszyscy zgodnie krytykowali zawziętą wytrwałość cesarza, która spowodować miała upadek jego, tak jak wyniosła go niegdyś na wyżyny tronu.

Wszelako wobec niezwykle utrudnionej i skomplikowanej sytuacji, zarówno militarnej, jak politycznej; wobec żelaznej, nieustępliwej woli cesarza, wątpliwem było rychłe wyrzeczenie się zamiaru, powziętego jeszcze w Witebsku.

Duch, ożywiający armię, podtrzymywał nadzieje i pragnienia Napoleona. Większość oficerów jaknajlepszej była myśli. Prości zaś szeregowcy, dla których chwila obecna jest wszystkim, kwintesencją całego życia, zachowali najcenniejszą zaletę żołnierza: rubaszną, śmiechem dźwięczącą niefrasobliwość. Wprawdzie nagrody, których nie skąpił im cesarz, hojną dłonią rozdając przy codziennych rewiach krzyże i awanse — przyjmowane były z niezwykłą, na poły smętną, na poły radosną powagą. Wprawdzie w ciągu forsownych marszów, licznych bitew i potyczek — poszarpało się odzienie, buty poszły w strzępy, wprawdzie niejeden żołnierz obdarty był i bosy; lecz, mimo wszystko, mimo całą nędzę swoją, z dumnie podniesioną głową, prezentując błyszczącą broń — sta-

rali się ukryć przed cesarzem dziury i łąty. Na dziedzińcu prastarego pałacu, o osiemset mil od ojczyzny, po tylu nadludzkich niemal trudach, pozbawieni wszelkich wygod, częstokroć głodni — usiłowali zadośćuczynić wymogom żołnierskiej godności, utrzymać wszystko w należytym, wzorowym porządku.

Cesarz udawał, że nic nie widzi, że nie domyśla się nawet tych wzruszających fortelów; do ostatniej chwili nie chciał tracić nadziei. Lecz gdy pierwsze spadły śniegi, wobec straszliwej rzeczywistości — rozwiały się wszystkie złudzenia. Zrozumiał wreszcie, że odwrót jest nieunikniony, a choć z ust jego nie padły jeszcze słowa rozkazu, choć nic nie zdawało się zapowiadać bliskiego wymarszu, powtarzano i komentowano w obozie ostatnie rozporządzenia cesarskie, dotyczące zimowych leży i jaknajrychlejszej wysyłki ranionych. Bez względu na różnorodne, a dotkliwe braki, w pierwszym rzędzie na brak koni, który utrudniał przewóz artylerii, zbyt licznej w stosunku do przetrzebionych kadrów armii naszej — wszystko miało być zabrane. „Nie zostawimy nic Rosyanom” — mawiał cesarz.

W tym opustoszałym i ze wszystkiego ogołoconym kraju, nakazał kupić dwudziestu tysięcy koni; chciał zaopatrzyć się w znaczne zapasy furażu i żywności w okolicy, w której dalekie, częstokroć niebezpieczne wyprawy zaledwie opędzić mogły bieżące, najpilniejsze potrzeby. Niewykonalność zleceń tych i rozkazów — dziwiła jednych, gniewała i oburzała drugich. Niekiedy wszakże, dawnymi jeszcze czasy, cesarz posługiwał się tą

bronią, aby podejść, i oszukać nieprzyjaciela, częściej zaś dlatego, aby podkreślić należycie ogrom potrzeb i ogrom wymaganych od wojska usiłowań.

Teraz jednak sam nie wie, jaką pójść drogą, jaką powziąć decyzję. Waha się wciąż i wciąż odkłada z dnia na dzień chwilę przyznania się do popełnionej omyłki. Jakgdyby na urągowisko wrogim mu żywiołom, pod lodowatym tchnieniem straszliwej zawieruchy, która zgasić miała świetność gwiazdy napoleońskiej i pochłonąć tysiące istnień ludzkich, w owych ostatnich dniach pobytu na Kremlinie — cesarz prowadzi ożywione dyskusje literackie lub też opracowuje szczegóły nowej ustawy dla „Komedyi francuskiej” w Paryżu. Najbliższe otoczenie cesarza, świadome trosk jego i niepokoju, z tem większym podziwem obserwowało lotność i głębię cesarskiego geniuszu oraz niesłychaną łatwość dowolnego przenoszenia uwagi i skupiania jej na jakimkolwiek bądź przedmiocie.

Zauważono tylko, że wbrew przyzwyczajeniu i upodobaniom swoim, pragnąc zagłuszyć czemkolwiek nurtujący go niepokój, cesarz coraz dłużej siadywał przy stole; że godzinami całemi, wtulony w róg kanapy, czytywał poezję lub błahe romanse. Doszedłszy do szczytu sławy — wytrwały, a nieugięty — Napoleon przeczuwał snąć, że pierwszy krok wstecz będzie hasłem upadku, będzie mrocznym cieniem padającym na jasną czerwień cesarskiej purpury; i dlatego z trwogą spoglądał w przyszłość, dlatego wahał się i wątpił.

Rozwiała się wreszcie ostatnie złudzenia. Pewnego dnia, w chwili gdy Murat ukazał się na forpocztach, od strony rosyjskiej huknął strzał,

gwizdnęła kula. Murat, zirytowany, oświadczył Miłoradowiczowi, że gwałcone ustawicznie zawieszenie broni przestaje być obowiązującym i że odtąd tak Rosyanie, jak Francuzi polegać mogą li tylko na własnych siłach.

Równocześnie uwiadomił cesarza, że pagórkowaty i lesisty teren sprzyja podstępnympa napaściom nieprzyjaciela na były jego i lewy flank; że pierwsza linia strzelców naszych, stojąca nad brzegiem głębokiego jaru, łatwo zepchniętą być może na dno, w nurty strumienia; że pozycja, którą zajmuje u wejścia wąwozu, niebezpieczna jest; że wobec tego należałoby cofnąć się. Lecz Napoleon odrzucił plan Murat'a, jakkolwiek przedtem sam wskazał był Woronowo jako pewniejszą i bardziej obronną pozycję. W ciągu całej tej wojny — według niego politycznej raczej, aniżeli militarnej — obawiał się nadewszystko wszelkich, najłżejszych nawet pozorów porażki. Wszystko inne było niczem.

Wszelako, 13-go października, Lauriston wysłany został w celu obejrzenia pozycji naszych forpocztów. Co się zaś tyczy cesarza, to bądź przez upór i żywotną, mimo wszystko, nadzieję, bądź też dlatego, że każda wzmianka o odwrócenie raniła boleśnie dumę jego, sprzeciwiała się zasadom cesarskiej polityki, pomijał obojętnie ważną sprawę przygotowań do odjazdu. A jednak rozmyślał widocznie nad opuszczeniem Moskwy, gdyż tego samego dnia skreślił dwojaki plan odwrotu. Junot, znajdujący się w Kołocku, otrzymał rozkaz spalenia 21-go października karabinów rannych żołnierzy i wysadzenia w po-

wietrze wszystkich zapasowych jaszczyków z prochem i amunicją. D'Hilliers zająć miał Jelnię i utworzyć tam tymczasowe magazyny. Lecz 17-go dopiero, po raz pierwszy, Berthier wydać kazał ze składów pasy i rzemień.

W owej krytycznej sytuacji, szef sztabu głównego wykazał nader mały zasób energii i pomysowości. Wobec nieznanej krainy i obcego a srogiego klimatu, nie przedsięwziął żadnych zgoła środków ostrożności, czekając ze wszystkim na wyraźny rozkaz cesarza. A cesarz zapomniał o niejednym, dojmującą pochłonięty troską. Fatalne były skutki tego niedbalstwa, czy też może tylko braku przezorności. W armii, w której na czele każdego poszczególnego korpusu stał marszałek, książę lub nawet król — oglądano się może zbyt skwapliwie na cudze siły i cudzą działalność. Zresztą, Berthier nie wydawał nigdy samodzielnych rozkazów: był jeno dosłownym tłumaczem woli i życzeń Napoleona, raczej w zewnętrznej ich formie, aniżeli w istotnej treści.

Tymczasem Napoleon gromadzi dywizye i korpusy; codziennie niemal, na obszernych dziedzińcach zamkowych czyni przegląd wojsk; formuje bataliony ze spieszonych jeźdźców; rozdaje nagrody. Trofea wojenne i wszyscy lżej ranni dążą w kierunku Możajska; reszta, strzeżona niejako przez współtowarzyszów niedoli, rannych żołnierzy rosyjskich, pozostaje w Moskwie, w obszernym gmachu szpitala dla podrzutków, pod opieką francuskich lekarzy.

Lecz było już zapóźno. Wśród przygotowań

tych, 18-go października, w chwili, gdy Napoleon objeżdżał przetrzebione dywizye Ney'a, rozszerzyła się nagle pogłoska o bitwie pod Winkowem. Początkowo nikt nie śmiał zawiadomić o tem cesarza; każdy wahał się, bądź to dlatego, że uważał pogłoskę za mylną, bądź też, że nie chciał narazić się na męczącą jazdę w celu stwierdzenia nieoczekiwanej wieści.

Poinformowany wreszcie przez Duroc'a, cesarz drgnął i pobladł; wkrótce jednak opanował pierwsze wrażenie i ze zwykłym spokojem odbywał w dalszym ciągu rewję. Nadjechał wówczas adjutant króla, młody Béranger, z wiadomością, że pierwsza linia Murat'a, napadniętą z nienacka, została rozbita; lewe jego skrzydło—osaczone; flank zaatakowany; odwrót odcięty; że dwanaście dział, dwadzieścia jaszczków i trzydzieści furgonów dostało się w ręce nieprzyjacielskie; że padło trupem dwóch generałów i trzy do czterech tysięcy ludzi; że król, sam ranny, ucieść zdołał ze szczątkami swoich przednich straży tylko dzięki ponawianym kilkakrotnie szarżom na zwarte szeregi rosyjskie, które zajmowały już po za nim trakt, jedyną dla niego drogę odwrotu.

Ocalał wszakże honor. Czoło kolumny rosyjskiej, dowodzone przez Kutuzowa, dość niechętnie szło w ogień; w odległości kilku mil korpus Poniatowskiego bohaterski stawiał opór; Murat i strzelcy nasi nadludzkim niemal wysiłkiem powstrzymali na lewym flanku Bagawuta; Claparède i Latour-Maubourg wyparli z wąwozu Ś-go Spasa kozaków Płatowa. Poległo dwóch generałów rosyjskich i znaczna liczba oficerów.

Lecz mimo strat, Rosyanie zwyciężyli; zabrali nam jeńców, działa i zajmowaną dotychczas pozycję.

Z całej, świetnej niegdyś jazdy Murat'a pozostały jeno zgłodniałe, śmiertelnie znużone niedobitki: podczas zawieszenia broni wyginęły setki ludzi, bitwa zaś dokonała dzieła. A w oddali, gromom podobne—huczały znów działa!

Wobec klęski, Napoleon odzyskuje siły i zapal młodości. Wydaje tysiące różnorodnych, a mimo to zgadzających się ze sobą rozkazów, tysiące zleceń i wskazówek. Potężny geniusz cesarza do słonecznych, królewskich rwie się lotów! Nie zapadł jeszcze zmierzch, a już cała armia nasza stanęła pod bronią. A nim ranne rozbłysły zorze, cesarz opuścił Moskwę: „Idźmy na Kaługę i biada tym, którzy wejdą mi w drogę!”

V.

Mało-Jarostawiec.

W południowej części Moskwy, jedno z największych przedmieść stolicy ciągnie się wzdłuż dwóch szerokich traktów, starego i nowego, wiodących do Kaługi. Na starym trakcie pobił Kutuzow Murat'a i tą samą drogą, rankiem 19-go października, wyruszył Napoleon z Moskwy. Armia cofać się miała ku granicom Polski, przez Kaługę i Smoleńsk. Niebo pogodne było, jasno świeciło słońce. Napoleon zapytał wówczas otaczających go oficerów: „czy nie uważają, że taka

piękna pogoda jest dobrą wróżbą na przyszłość?"
Lecz błada, zmęczona twarz cesarza i przygasły wzrok przeczyły tym pełnym otuchy słowom.

Po bitwie pod Borodinem, Wielka Armia liczyła dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi zdatnych do boju, oraz dwadzieścia tysięcy chorych i rannych. W dniu ewakuacji Moskwy, Napoleon stanął na czele przeszło stu tysięcy żołnierzy. Tylko tyśiąc dwustu chorych pozostało w mieście. Mimo więc codziennych niemal utarczek, mimo licznych ofiar, pobyt w Moskwie nie był bezowocnym: przybyło do szeregów przeszło dziesięć tysięcy ludzi; strudzone regimenty piechoty zdołały wypocząć; zapasy amunicji zostały uzupełnione; chorzy przewiezieni lub też troskliwą otoczeni opieką. Lecz konnica i artyleria smutny przedstawiała widok; brak koni dotkliwie dawał się we znaki.

Całą noc panował w obozie gorączkowy ruch. Pułk szedł za pułkiem, korpus za korpu-
sem. W tej olbrzymiej kolumnie, złożonej ze stu czterdziestu tysięcy ludzi i około pięćdziesięciu tysięcy wszelkiego rodzaju koni — czoło kolumny: sto tysięcy sprawnego żołnierza, przeszło pięćset pięćdziesiąt dział i dwa tysiące jaszczyków, przypominało karne, niezwyciężone hufce z pod Wagram i Austerlitz. Lecz reszta podobna była do bezładnej hordy tatarskiej, powracającej z wyprawy. Kilkoma nieskończenie długimi rzędami wlokły się karety, furgony, zgrabne powoziki i ciężkie chłopskie wozy. Purpurą i złotem mieniły się zdobyczne sztandary: rosyjskie, tureckie i perskie; połyskiwał olbrzymi krzyż

z cerkwi Iwana; lśniły atłasy, złotogłowa i tyftyki. Chłopi rosyjscy poganiali juczne konie, lub też dźwigali sami ogromne toboły. Ciągnięto nawet taczki, po brzegi naładowane. Bo chciwość ludzka silniejszą była od wszystkiego, wszelkie przemo-gła względy.

Pstry ten, różnorodny i różnojęzyczny tłum składał się z ludzi wszelkich narodowości, obdar-tych i bezbronnych, z prywatnej służby i z ciur obozowych. Wśród wrzasków, przekleństw i na-woływań posuwały się wózki i karety, pełne za-pasów żywności, łupów lub furazu, zaprzężone w kuce lub kudłate, wygłodzone szkapy. Tu i ow-dzie jechały rodziny francuskie, zamieszkujące niegdyś ludną i bogatą Moskwę, zmuszone teraz uchodzić w nieznaną dal. Gromadki młodych, jasnowłosych Rosyanek dobrowolnie szły również za wojskiem.

Nie armia to była, lecz raczej karawana lub wędrowny a zwycięski naród, bogatymi obciążony łupami.

Mimowoli nasuwało się pytanie, czy i o ile, w ciągu tak długich i forsownych marszów, czoło tej kolumny zdoła osłonić i pociągnąć tak znaczną liczbę ładownych wozów i furgonów.

Mimo szerokości traktu i nawoływań cesar-skiej eskorty, Napoleon z trudem torował sobie drogę poprzez ten zwarty, skłębiony tłum. Nagle ukazanie się kozaków, kilkodniowy forsowny marsz lub też trudny do przebycia wąwóz, nie-wątpliwie byłby oswobodził armię od tego uciąż-łiwego balastu; ale tylko los albo nieprzyjaciel mógł tego dokonać. Cesarz wiedział dobrze, że

nie można było ani odebrać, ani też zakazać żołnierzom zabrania tak drogo okupionych łupów. Zresztą, w znacznej mierze, łupy ukryte były w głębi furgonów, pod zapasami żywności. Skoro zaś intendentura nie mogła wyżywić armii, czyż godziwem było w jakikolwiek bądź sposób krępować pod tym względem żołnierzy? Wreszcie, wobec zupełnego braku wozów ambulansowych, owe liczne podwoły były jedyną deską ratunku dla chorych i rannych.

W milczeniu wymijał tedy Napoleon nieskończony korowód wozów i bryczek, i w milczeniu dążył starym traktem ku Kałudze, zapowiedziawszy swoim oficerom zupełny pogrom Kutuzowa na świeżem, nieociekłem jeszcze z krwi pobojowisku. Lecz około południa, w pobliżu zamku Krasnapasza, niespodziewanie zwrócił się na prawo i, maszerując na przełaj polami, dotarł trzeciego dnia do nowego traktu kaługańskiego.

Na nieszczęście, pierwszego zaraz dnia, jał padać deszcz. Rozmokły polne drogi i ścieżyny, potworzyły się kałuże i wyboje, opóźniając pochód. Z trudem przedostawała się artylerya przez błotnistą, grzązką topiel.

Korpus Ney'a, oraz szczątki kawaleryi Murat'a, pozostałe w Woronowie i na przeciwległym brzegu Moszczy, zasłaniały przed nieprzyjacielem manewr cesarza. Podczas gdy Kutuzow, ponownego oczekując starcia, strzegł pilnie pozycji, zajętej poprzednio na starym trakcie i wyglądał wciąż ukazania się Wielkiej Armii, wojska nasze, dotarwszy szczęśliwie 23-go października do nowego traktu, przejść miały cichaczem opodał

szeregów rosyjskich i wyprzedzić je na drodze do Kaługi.

List Berthier'a do Kutuzowa, pisany 19-go, był jednocześnie podstępem wojennym i ostatnią próbą nawiązania pokojowych rokowań. Lecz dzień mijał za dniem, żadnej nie przynosząc odpowiedzi.

Wieczorem, 23-go, cesarz zatrzymał się w Borowsku. Niezwłocznie doszły go wieści, że Delzons, idący na przedzie, nie zastał nieprzyjaciela ani w Mało-Jarosławcu, ani też w okolicznych lasach; w pobliżu Kutuzowa była to jedyna obronna pozycja, jedyny punkt, w którym Rosyanie mogli zastąpić nam drogę do Kaługi.

Początkowo cesarz osobiście poprzec chciał Delzons'a: wydał nawet rozkaz wymarszu, cofnięty następnie dla nieznanym nikomu powodów. Mimo ulewnego deszczu, do późna stał Napoleon na trakcie, opodal Borowska—i studyował teren, jakgdyby w przewidywaniu walnej bitwy. Nazajutrz, 24-go, w kierunku Mało-Jarosławca zagrały działa. Lecz cesarz tak dalece ufny był we własne siły, czy też może tak bardzo chwiejny w powziętych podówczas decyzjach i zamiarach, że bez śladu zaniepokojenia wsłuchiwał się w daleki, głuchy pomruk.

Nie śpiesząc się, opuszczał Borowsk, gdy wtem nagle huknęły w oddali gęste, karabinowe i armatnie strzały. Zaniepokojony, stanął na szczycie przydrożnego pagórka: „Czyżby Rosyanie uprzedzili nas? Czyżby manewr mój był chybiony? zbyt powolny i źle pokierowany?”

Istotnie, w owym kilkudniowym pochodzie,

można było zauważyć pewną ociężałość, zwykle zresztą następstwo długiego wypoczynku. Tylko sto dziesięć wiorst, czyli w normalnych warunkach cztery dni marszu, dzieli Moskwę od Mało-Jarosławca; tymczasem zamiast czterech dni, szliśmy dni sześć. Armia, przeciążona nadmierną ilością łupów i zapasów żywności, posuwała się z trudem; drogi rozmokłe były i błotniste. Cały dzień zeszedł na przeprowianiu się przez Narę i nadbrzeżne bagna. Przytem, wobec bliskiego sąsiedztwa z obozem rosyjskim, pułki musiały zwartą tworzyć kolumnę, czekać jedne na drugie, ażeby w razie napaści nie wystawić na ogień nieprzyjacielski zbyt wydłużonego flanku. Jakkolwiek bądź, pobyt w Moskwie stał się niewątpliwie przyczyną i źródłem wszystkich niepowodzeń, całej klęski naszej i niedoli.

Tymczasem wzrosła wrzawa, coraz gęściej jąły padać strzały. „Czyżby to była bitwa?”—zawołał cesarz. Każda salwa szarpała boleśnie sercem jego, z chwilą każdą wzmagał się lęk i niepokój. Corychlej wysłany został marszałek Davout na czele swojej piechoty. Lecz nim dotarł do pola walki, zapadał już zmierzch, milkły strzały, a losy bitwy nieodwołalnie były rozstrzygnięte.

Zdaleka widział cesarz rozpaczliwą obronę pułków wicekróla. Nie mógł jednak ani podtrzymać go, ani nadesłać na czas posiłków. Oddział twerskich kozaków o mało co nie wziął do niewoli jednego z oficerów świty cesarskiej.

Wraz z nadejściem nocy, generał, przysłany przez ks. Eugeniusza, szczegółowy złożył raport.

„Istotnie, Delzons nie zastał nieprzyjaciela w Mało-Jarosławcu; sądził wszelako, iż nie należało rozmieścić całej dywizyi w wyżej położonej części miasta, poza rzeką i wąwozem, na skraju przepaści, która w razie nocnego napadu łatwo pochłonąć mogła naszych żołnierzy. Pozostał więc po tej stronie Łuży, na niskim, błotnistym brzegu, powierzwszy straż nad miastem i podmiejską wyżyną tylko dwom batalionom.

„Okolo godziny czwartej zrana, gdy przygasać już zaczęły ognie biwaków Delzons'a, a cały obóz pograżony był jeszcze w głębokim śnie, na rubieży pobliskich lasów ukazali się zniecka Rosyane Dochterowa, wydając okrzyki. Forpoczty nasze zostały rozbite, owe dwa batalionzmuszone do odwrotu. Atak snąc uplanowany był, bo nieprzyjaciel wytoczył odrazu armaty. Ryk dział uwiadomił oddalonego o trzy mile wicekróla o toczącej się bitwie.

„Księżę Eugeniusz wyruszył niezwłocznie z odsieczą na czele dywizyi swoich i gwardyi włoskiej, w otoczeniu nielicznej świty. W miarę, gdy zbliżał się do pola bitwy, przed oczyma jego roztaczał się rozległy i nader urozmaicony widok: rzeka Łuża stanowiła ośrodek walki, a na obu jej brzegach czerniały ciemne sylwetki jegrów rosyjskich, w tyralierkę rozsypanych.”

Stojące poza nimi, przednie straże nieprzyjacielskie prażyły Delzons'a gęstemi salwami, a z oddali, z krańców płaskowzgórza, w dwóch zwartych i długich kolumnach nadciągała cała armia Kutuzowa. Silniejsza liczebnie, zająwszy w półmilowym promieniu nader dogodną i obron-

ną pozycyę, opanowała nadto stary trakt kaługański, który jeszcze poprzedniego dnia leżał przed nami otworem, a który odtąd trzeba będzie zdobywać piędź po piędzi.

Równocześnie artylerya nieprzyjacielska wykorzystwała wzgórze, okalające z tej strony rzekę; grad kul i kartaczy zasypał kotlinę, na dnie której tłoczyły się pułki Delzons'a. Pozycya była nie do utrzymania, wszelkie wahanie—zgubne. Trzeba było wyjść corychlej z kotliny, bądź to cofając się, bądź też nacierając z impetem na wroga. Lecz odwrót był odcięty, a wicekról nakazał szarżę.

Po przejściu Łuży po wąskim, chwiejącym się moście, trakt kaługański wchodził w głęboki parów i parowem tym zwracał się ku Mało-Jarosławcu. Nieprzyjaciel bronił traktu. Osaczona ze wsząd dywizya Delzons'a biegiem ruszyła na bagnety, zniosła szeregi rosyjskie i wdarła się niebawem na wzgórze.

Pewien zwycięstwa, Delzons głosem i własnym przykładem zagrzewał jeszcze zdyszanych żołnierzy do zdobycia ostatniej przeszkody — ob-sadzonych wojskiem zabudowań, — gdy wtem nagle zachwiał się i runął ugodzony kulą w czoło. Z okrzykiem zgrozy na ustach przypadł do konającego brat jego i, tuląc w objęciach stygnące zwłoki, usiłował dźwignąć je z ziemi, unieść zdala od wrzawy i zgiełku; lecz druga kula młodą przeszła pierś i obaj razem wyzionęli ducha.

Śmierć Delzons'a niepowetowaną była stratą. Komendę objął po nim generał Guilleminot. W pobliskim kościele, na pagórku, z lewej strony

traktu, ukrył stu grenadyerów, którzy dziesiątkowali celnymi strzałami flank i tyły przechodzących mimo pułków nieprzyjacielskich. W ciągu tego dnia pięciokrotnie organizowali Rosyanie pościg i pięciokrotnie musieli cofać się, powstrzymani morderczym ogniem walecznej garstki starych wiarusów. A gdy nasi szli do ataku, wzięte we dwa ognie rozsypały się niebawem wrogie szeregi.

Zaledwie zdążył Guilleminot wydać powyższą dyspozycję, gdy jęły szarpać go nieprzebrane zastępy rosyjskie. Wkrótce zepchnięty został w dół, aż do mostu, z którego wicekról obserwował przebieg walki i wysyłał bataliony zapasowe. Początkowo posiłki nieliczne były, zbyt słabe, ażeby wpłynąć na ostateczny wynik walki — i wszystkie niemal wyginęły, żadnej nie osiągnąwszy korzyści.

Ruszyła wreszcie cała 14-ta dywizya. Poraz trzeci zakotłowało się na stokach wzgórz. Z chwilą jednak, gdy Francuzi przekroczyli ochronną linię budynków, gdy oddalili się od swej rezerwy i wtargnęli na rozległe, zewsząd odsłonięte płaskowzgórze, gdy huknęły wraz armatnie i karabinowe salwy, gęstym prażone ogniem, potykając się na nierównym terenie, osłabłe i krwawe szeregi nasze cofnęły się czemprowadziej w głąb wozu.

Lecz wznoszące się poza nimi, przeważnie drewniane, domostwa, stały już w płomieniach: odwrót był odcięty. Sfanatyzowani rekruci rosyjscy wznowili atak; zawrzała bezlitosna, nieubłagana walka, przy wtórze okrzyków, jęków i przekleństw. W śmiertelnym zwarci uścisku, Rosyanie i Fran-

cuzi staczali się w dół, na dno przepaści lub gięli w ognistym kolisku płonących budowli, w kłębach czarnego, gryzącego dymu. Niebawem zostały na placu jeno trupy i ranni, a nieco dalej czarne i zwęglone szkielety ludzkie, groźne jeszcze, mimo zniekształcenia.

Nie wszyscy jednak równie uczciwie spełnili swój obowiązek: jeden z oficerów, wielki zwolennik rycerskich i kwiecistych przemówień, w rzeczywistości tchórzem podszyty, zamiast bić się, przypadł ze swoją kompanią na dno zacisznego jaru, a chociaż świadom był całej grozy położenia, choć wiedział, że w pobliżu walczą i giną towarzysze broni, nie opuścił bezpiecznego schronienia.

Z kolei poszła w ogień 15-ta dywizya. Jedna brygada zwróciła się na lewo, ku przedmieściom, druga na prawo, w głąb miasta. Byli to sami Włosi, gołowase chłopięta z ostatniego poboru. Szli raźnie i ochoczo, radosne wznosząc okrzyki, niepomni grożącego im niebezpieczeństwa, lub też może gardząc niem z właściwą młodemu wiekowi nieopatrną hojnością, która sprawia, że mniej obawiamy się śmierci w kwiecie lat, aniżeli u schyłku życia, że każdej chwili gotowi jesteśmy własną przelewać krew i szafować nią tak, jak bogacz szafuje swojemi bogactwy.

Zderzenie było straszliwe. Poraz czwarty wszystko zostało zdobyte i wszystko stracone. Bardziej zapalczywi od starszych kamratów, prędzej też znużeni i zniechęceni, rekruci cofnęli się w popłochu pod osłonę zapasowych batalionów. Wkrótce jednak musieli szarżę ponowić.

Rosyane bowiem, ośmieleni dotychczasowym powodzeniem, pragnąc uniemożliwić nam odwrót, lawą ruszyli w dół, w stronę mostu. Ks. Eugeniusz osobiście stanął na czele ostatniej swojej rezerwy — gwardyi włoskiej. Widząc to, szczątki 13-ej, 14-ej i 15-ej dywizyi dobyły ostatka sił: poraz piąty huknęły strzały, zadymiły się wzgórze.

Równocześnie, po lewej stronie mostu, pułkownik Peraldi i szaserzy włoscy odparli bagnietami atakujących Rosyan i, upojeni zwycięstwem, ogłuszeni hukiem i wrzawą, czarni od dymu i prochu, ruszyli na widniejącą w oddali baterię nieprzyjacielską; lecz jedna z tych głębokich rozpadlin, w jakie obfitują ziemie rosyjskie, zatrzymała ich w pół drogi, pod gradem kul i pocisków. Wyszunęła się wówczas jazda nieprzyjacielska. Kluci i tratowani, szaserzy oparli się dopiero o podmiejskie ogrody. Pod osłoną drzew i parkanów, ścieśnili przerzedzone szeregi i wszyscy wraz: Durricu, Gifflinga i Trezel, Francuzi i Włosi, tak zaciekle bronili dostępu do górnej części miasta, że Rosyane, pokonani wreszcie, cofnęli się na trakt, wiodący do Kaługi, pomiędzy Mało-Jarosławcem a okolicznymi lasami.

Osiemnaście tysięcy Włochów i Francuzów, stłoczonych na dnie wąwozu, odniosło tedy zwycięstwo nad pięćdziesięciu tysiącami Rosyan, którzy znakomitą zajmowali pozycję, powyżej nas, na stokach spadzistych wzgórz.

Armia patrzyła wszelako ze smutkiem na pobojowisko, na którem było siedmiu generalów i cztery tysiące zabitych lub rannych Włochów

i Francuzów. Nie cieszyły nikogo znaczne straty, jakie poniósł nieprzyjaciel: stosunkowo mniejsze były od naszych, a ranni Rosyanie — wobec czynnego współdziałania całego narodu w toczącej się wojnie — zapewnioną mieli troskliwą opiekę i pomyślne warunki powrotu do sił i zdrowia. Przypomniano sobie zresztą pamiętne słowa Piotra I-go, który, okupiwszy w podobnych okolicznościach dziesięciu Rosyanami każdego zabitego Szweda, nie tylko, że nie uważał się za pokrzywdzonego, lecz sądził nawet, iż zarobił na tym krwawym targu. Żal i smutek zwiększało przekonanie, że łatwo można było uniknąć bitwy.

W rzeczy samej, w nocy z 23-go na 24-ty, migotliwy blask dalekich ognisk obozowych uprzedził nas o zbliżaniu się Rosyan do Mało-Jarosławca. A jednak, mimo tego ostrzeżenia, pułki nasze szły powoli; jedna tylko dywizya, wszelkiej pozbawiona pomocy, niedbale wysunięta została naprzód; inne zaś korpusy, rozmieszczone daleko jedno od drugich, żadnej nie miały z sobą łączności. Gdzie podziela się lotność i energia genialnych zarządzeń z pod Marengo, Ulm i Eckmühl? Czem wytłómaczyć, czemu przypisać ociężałość i powolność marszu w tak niezwyklej, tak krytycznej chwili? Te i tym podobne bolesne pytania zaprzętały wszystkie umysły.

Gdy nadszedł szczegółowy raport o przebiegu bitwy, cesarz znajdował się o pół mili od Mało-Jarosławca, między Łużą a traktem, na skraju wioski Gorodyni, w nędznej, smrodliwej chacie miejscowego tkacza. Pod, tą napoły zbudowaną, strzechą, w ciemnej, brudnej izbie, prze-

dzielonej płachtą szarego płótna, rozstrzygnąć się miały dalsze losy armii, a wraz z nimi losy całej Europy.

Do późna odbierał cesarz raporty i sprawozdania. Wszystkie brzmiały zgodnie, wszystkie ostrzegały przed walną rozprawą, do której Kutuzow przygotowywał się na dzień następny. O g. 11-ej wieczorem zjawił się Bessières, długoletni, wierny towarzysz i ulubieniec Napoleona. Wpływy swoje i marszałkowską łaskę zawdzięczał jednak nie zręczności, ani pochlebstwu, lecz istotnym, znacznym zasługom. Bo nikt nie mógł być faworytem cesarza na tych samych prawach, które rządziły dworami innych mocarstw europejskich; trzeba było towarzyszyć wszędzie cesarzowi, ochoczo i bez wytchnienia pełnić ciężką nieraz służbę, być czemś więcej, aniżeli biernym świadkiem tyłu i tak świetnych zwycięstw; w końcu, cesarz przyzwyczajał się patrzeć oczyma jednostki, którą urabiał w ciągu długich lat, o której mniemał, iż jest dziełem rąk jego.

Bessières wracał z rekonesansu czoła pozycyi rosyjskich. „Pozycja jest nie do zdobycia” — rzekł ze smutkiem. „O Boże — zawołał cesarz, rozpacznie załamując dłonie. — Czy to istotnie prawda? Czy trafnie oceniasz, panie marszałku, sytuację?” Bessières potwierdził fatalną nowinę, dodając, że w tym punkcie „trzystu sprawnych grenadyerów mogłoby zagrozić drogę całej armii.” Przerażony i zgnębiony Napoleon skrzyżował wówczas ręce i, spuściwszy głowę, w bolesnej pograżył się zadumie: „Oto pokonany jest, mimo odniesionego zwycięstwa! Kutuzow, zgrzybiały

starzec, odgadł oto jego zamiary, unicestwił jego plany, zastąpił mu drogę! A jednak zdawało się, iż przewodnia gwiazda cesarstwa jednakim zawsze promienieje blaskiem! Wszak wczoraj jeszcze stała otworem droga z Mało-Jarosławca do Kaługi? Skoro zaś nie los ukrzywdził go, czyżby on sam, własnoręcznie, zgotował sobie klęskę?"

Pod wpływem posepnych, rozpaczliwych myśli, stężały i zakrzepły w tajonej męce klasyczne rysy cesarza. Przygasłym wzrokiem kędyś w dal zapatrzony, na wszystko głuchy i obojętny, przestał odpowiadać na wszelkie pytania. Wreszcie położył się; lecz, nie mogąc zasnąć, ani uleżeć spokojnie, w ciągu tej okropnej, niezapomnianej nocy, co chwila wstawał, kładł się znów i znów się zrywał, przywoływać kazał dyżurnych oficerów, napozór spokojny, zdradzając jedynie nadmierną ruchliwością miotający nim ból i niepokój.

Nad ranem, około czwartej, jeden z dyżurnych oficerów, ks. Arenberg, przyniósł wiadomość, że pod osłoną nocy, korzystając z leśnej gęstwiny i falistości terenu, oddział kozaków przedostawał się pomiędzy forpocztę nasze, a kwaterę cesarską. Cesarz tak dalece nie spodziewał się z tej strony żadnego ataku, że, wysyłając Poniatowskiego na skraj naszego prawego skrzydła, do Kremienskoje, zaniechał był najzupełniej rekonesansu prawego flanku. Lekceważył też sobie ostrzeżenie służbowego oficera.

O wschodzie słońca dosiadł konia i ruszył traktem w kierunku Mało-Jarosławca. Droga do mostu na Łuży wiodła przez równinę długą i szeroką na pół mili. Tylko szczupła garstka oficerów

towarzyszyła cesarzowi. Zwykła eskorta — cztery szwadrony konnej gwardyi — uprzednio nie zawiadomiona, pozostała w tyle. Traktem ciągnęły setki wozów ambulansowych, furgonów, jaszczków, oraz wszelkiego rodzaju pojazdów: pod osłoną forpocztów każdy czuł się bezpieczny; nikt nie przewidywał zasadzki.

Ujrzano najpierw w oddali kilka pojedynczych plutonów, a za nimi dopiero szybko posuwającą się ciemną linię. Powstał wówczas zgiełk, zabrzmiały trwożne okrzyki. Od czoła kolumny biegła co tchu gromadka wystraszonych kobiet i pobladłych ciur obozowych, nie słysząc nic, na żadne nie odpowiadając pytania. Równocześnie stawać jęły niektóre wozy; wszczął się nieład i zamieszanie; jedni chcieli jechać dalej, inni zawracać; płątały się uprząże, wywracały pojazdy; wzrastała szalona, obłądna trwoga.

Mniemając, iż alarm fałszywym jest, ubawiony ogólnym popłochem, cesarz jechał dalej. Wprawdzie przybocznicy jego adjutantów przypuszczali potrosze, że owa czarna linia może być oddziałem kozackim, do ostatka jednak wahali się i wątpili, zbici z tropu wzorową sprawnością niekarnej zazwyczaj i bezładnej lekkiej jazdy rosyjskiej. I gdyby nie dzikie wrzaski idących do ataku kozaków, Napoleon nie byłby prawdopodobnie wyszedł cało z tej imprezy. Grozę sytuacji zwiększyła fatalna omyłka, polegająca na tem, iż rosyjskie „hurra!” wzięto początkowo za inny, znany okrzyk: „Niech żyje cesarz!”

Był to Platow na czele sześciu tysięcy kozaków, którzy, przedostawszy się cichaczem poza

linię zwycięskich forpocztów naszych, postanowili przebyć wplaw Łuzę i dotrzeć do traktu, znosząc po drodze wszelkie przeszkody. I w tejże samej chwili, gdy cesarz—bezpieczny w pośrodku armii swojej, osłonięty głęboką i rwącą rzeką — jechał spokojnie, nie chcąc dać wiary równie zuchwalej napaści, napaść była już faktem dokonanym!

Kozacy zbliżali się tak niesłychanie szybko, że Rapp zdążył jeno wykrzyknąć: „To oni! Zawracajmy, sire!” Cesarz jednak, bądź to dlatego, że własnym niedowierzał oczom, bądź też przez upór, nie chciał zawrócić konia i niechybnie zostałby ogarnięty, gdyby nie Rapp, który zdarł przemocą cugle cesarskiego rumaka, wołając: „W konie, najjaśniejszy panie!” Istotnie należało uciekać. Lecz miłość własna Napoleona nie mogła pogodzić się z myślą sromotnej ucieczki. Zwolniwszy biegu, pewną dłonią ujął szpadę i stanął w pogotowiu z lewej strony traktu; Berthier i Caulaincourt poszli za jego przykładem. Tylko czterdzieści kroków dzieliło ich od kozaków. Rapp skoczył wówczas naprzód, lecz niebawem zwałił się pod nim koń, przeszyty kozacką piką. Pozostali adjutanci, oraz kilku kawalerzystów gwardyi ruszyło śladami generała. Waleczność Rapp'a, nadludzkie niemal wysiłki Lecoutteux'a, tudzież garstki oficerów i szaserów, ocaliły cesarza.

Zguba wydawała się tembardziej nieuchronna, że w jednej chwili kozacy zaleli całą szerokość traktu, przewracając i tratując ludzi, konie i wozy, raniąc i mordując żołnierzy trenu, rabu-

jąc wszystko, co tylko można było zrabować, zabierając konie i działa. Lecz krótkotrwałym był tryumf nieprzyjaciela, zwodnicze chwilowe zwycięstwo. Na przelaj, polami, sadziły rysią szwadrony konnej gwardyi. Przerażeni kozacy pierzchnęli, zostawiając konie, wozy i łupy. Tylko tu i owdzie wałały się trupy, jęczeli ranni.

Nie wszyscy jednak podali tyły. Byli i tacy, którzy cofali się powoli pobok naszych szwadronów, nabijając spokojnie krótkie, lekkie karabinki. Liczyli snąć na pewną ociążałość doborowej jazdy francuskiej i na rączność półdzikich, stepowych koni swoich. Odwrót odbywał się w zupełnym porządku: zaledwie kilku zabitych i rannych pozostało w tyle. W końcu schronili się pod osłonę dział rosyjskich, ukrytych w gęstwinie, nad brzegami głębokiego jaru. Kule i pociski powstrzymały dalszy pościg. Epizod ten zrodził poważne obawy i wątpliwości. Armia nasza wyczerpana była doszczętnie, wojna zaś wybuchała oto ponownie z niespożytą mocą.

Cesarz, zdumiony niespodziewanym atakiem Rosyan, dotrwał na placu do końca bitwy; potem zwrócił się ku bramom Mało-Jarosławca, gdzie wicekról wskazał mu zdobyte poprzedniego dnia przeszkody.

Stratowana i krwią przesiąknięta ziemia; dymiące jeszcze zgliszczca; gruzy i rumowiska; stosy sztywnych, w mięce zastygłych trupów; setki głów zmiażdżonych pod armatnimi kołami; straszliwe postacie rannych, którzy czołgali się wśród żużli i popiołów, żalosne wydając jęki; wreszcie pogrzebowe echa ostatniej posługi, jaką oddawali

grenadyerzy zwłokom poległych pułkowników i generałów—wszystko to świadczyło o bezlitosnej, nieubłaganej walce, o gwałtownem starciu się dwóch wrogich sobie potęg. Cesarz wszelako nie chciał widzieć niczego, krom sławy; wykrzyknął z zapalem, że: „ks. Eugeniusz okrył się wiekopomną chwałą!”, niebawem jednak, pod wpływem złowieszczonego przecucia, opuścił pobojewisko, dążąc ku płaskowzgórzcu.

Czy pamiętacie jeszcze, starzy towarzysze broni, tę równinę, która stała się grobem niezwykłej dotychczas Wielkiej Armii, grobem snów naszych i rycerskiej karyery?... Czy pamiętacie jeszcze to leżące w gruzach, krwią zbryzgane miasto, te głębokie jary i mroczne lasy, które okalały zewsząd owo płaskowzgórze i zamknięte w jego granicach posępne, milczące szeregi?... Francuzi szli od północy, uchodząc przed srogą, mroźną zimą; Rosyanie bronili przejścia na południe i zachód — na Kaługę i Medyń — ufni we własne siły i wrogie Francuzom warunki. Na trakcie kaługańskim stał Kutuzow i sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, zdecydowanych bronić do upadłego każdej piędzi ojczystej ziemi. Od Medyni zaś nadciągała liczna jazda: Platow i kozacy, ci sami, którzy przerwali podstępnie nasz lewy flank i ruszyli wraz z łupami na przeciwległą stronę traktu, pod osłonę oczekujących tam na nich dział i batalionów zapasowych. W tym kierunku zwracał się najczęściej chmurny wzrok cesarza, tę drogę śledził najpilniej na mapach, łowiąc czujnem uchem toczące się dookoła niego narady i dyskusye, które oświetlały należycie całą grozę sytuacji. Wreszcie,

wciąż milczący, w posępnej pograżony zadumie, ruszył z powrotem do Gorodyni.

Towarzyszył mu Murat, ks. Eugeniusz, Berthier, Davout i Bessières. Ubogi wiejski tkacz gościł pod swoją strzechą cesarza, dwóch królów i trzech słynnych generałów. W nędznej izdebce rozstrzygnąć się miały losy Europy i losy armii, która w ciągu dwudziestu lat zwycięskim kroczyła szlakiem! Smoleńsk był celem wyprawy! Lecz kórędy iść, jaką drogą dojść do tego celu? Przez Kaługę, Medyń, czy Możajsk?... Z twarzą, ukrytą w dłoniach, wsparty o prosty sosnowy stół, Napoleon rozmyślał...

Zaległa głucha cisza. Nikt nie śmiał prze-
rwać wątku ciężkich, niewątpliwie bolesnych, my-
śli, gdy wtem Murat, zniecierpliwiony wahaniem
się i zwłoką, ulegając, jak zwykle, impulsywności
zapalnego swojego temperamentu, powstał z ławy
i zawołał: „że podczas wojny nie ludzie, ale wa-
runki i okoliczności decydują o wszystkim, wszyst-
kiemu właściwe nadają miano; że tam, gdzie wska-
zana jest ofensywa, ostrożność staje się zuchwal-
stwem a zuchwalstwo ostrożnością; że dalszy po-
byt na płaskowzgórzu jest wykluczony, odwrót —
wielce niebezpieczny; że wobec tego ścigać na-
leży Rosyan bez względu na zajmowaną przez
nich pozycję i ducha, ożywiającego szeregi nie-
przyjacielskie; że jeśli cesarz powierzy mu do-
wództwo szczątków kawalerii oraz komendę kon-
nej gwardii, on, Murat, podejmuje się zdobyć
okoliczne lasy, roznieść na szablach bataliony ro-
syjskie i oczyścić poraz wtóry drogę do Kaługi!”

Lecz Napoleon ostudził niewczesny zapal

króla, mówiąc: „że dość już było zuchwalstwa, dość rycerskich, chlubnych czynów; że obecnie należało myśleć li tylko o ocaleniu szczątków armii.”

Wówczas Bessières, bądź to na skutek urażonej przez Murat'a miłości własnej, bądź też dlatego, że istotnie pragnął uchronić od zagłady konną gwardję, której był twórcą i wodzem, za całość której odpowiadał wobec cesarza, czując nadto, że Napoleon poprze jego zdanie, ośmielił się dodać: „Że armia cała, nie wykluczając gwardyi, w danej chwili nie rozporządza dostatecznym zasobem entuzjazmu; że wśród szeregów odzywa się już tu i owdzie głuchy pomruk niezadowolenia; że wojsko świadome jest niebezpieczeństwa i smutnej doli, jaka czeka maruderów i rannych; że wobec niezwykle obronnej pozycji nieprzyjaciela i zaciekłości licho odzianych i źle wyćwiczonych, lecz zdecydowanych na wszystko rekrutów rosyjskich, szarża projektowana przez Murat'a łącznie mogłaby zamienić się w porażkę.” Wzmianką o odwrocie zakończył marszałek swoje przemówienie. Cesarz słuchał w milczeniu wywodów Bessières'a.

Davout oświadczył z kolei: „że skoro jest mowa o cofaniu się, proponuje odwrót na Medyi i Smoleńsk.” Lecz czy to pod wpływem zawiści, czy też goryczy i zniechęcenia, Murat przerwał ks. Eckmühl w pół zdania, wyrażając zdziwienie swoje: „że znalazł się ktoś tak czelny, ażeby doradzać cesarzowi tak dalece ryzykowny manewr! Czyżby Davout zaprzysiągł zgubę armii? Czy sądzi istotnie, że długa i zwarta kolumna na-

sza, obciążona nadmiernym bagażem, może puszczać się bezkarnie nieznaną drogą, narażając rozległy flank swój na wszystkie, bez, wyjątku strzały nieprzyjacielskie? Czy wówczas on, Davout, zdoła ją obronić? Dlaczego zresztą szukać innych dróg, skoro otwarty jest poza nami bezpieczny szlak, wiodący do Możajska przez Borowsk i Wereję? W Możajsku znajdziemy zapasy furazu i żywności, rezerwę i ambulanse i znaną nam już okolicę!”

Hamując z trudem wybuch gniewu, Davout odparł: „Że proponuje odwrót poprzez żyzną, zasobną krainę, wśród ludnych i bogatych wsi, drogą ze wszystkich najkrótszą — w tym celu, ażeby wyprzedzić Rosyan i uniemożliwić im dostęp do Smoleńska; że droga, wskazana przez Murat’a, jest drogą pustynną, wiodącą przez zgliszcza i piaszczyste wydmy, że nie znajdziemy na niej nic, okrom setek chorych i rannych, okrom krwi, trupów i głodu!

„Że obowiązkiem jego, jako żołnierza, jest wypowiedzieć się szczerze i bez ogródek; że spełniać będzie sumiennie wszystkie, nawet najbardziej sprzeciwiające się jego przekonaniom rozkazy cesarza; lecz że tylko cesarz mocen jest nakazać mu milczenie, nie Murat, który nigdy nie był jego panem i nigdy nim nie będzie!”

Bessières i Berthier jęli uspokajać wzburzonych przeciwników. Co się zaś tyczy cesarza, to pogrążony wciąż w tej samej posępnej zadumie, zdawał się być głuchym na wszystko. W końcu temi słowy przerwał milczenie swoje i położył kres dyskusyom: „Macie panowie rację; trzeba coś zdecydować!”

W rzeczy samej postanowił cofać się i to cofać się drogą, która odrazu pozwalała mu oddalić się od wojsk nieprzyjacielskich; wszelako ostateczny rozkaz wymarszu, niebywałego w dotychczasowych zwycięskich dziejach Francji napoleońskiej, wydany został dopiero po długim i bolesnym zmaganiu się z własną duszą, z własną dumą i pychą! Walka tak ciężką była, wysiłek tak wielki, że cesarz popadł w chwilowe omdlenie i bezprzytomny osunął się w ramiona otaczających go stroskanych generałów. Podobno raport o nowej a niepomyślnej utarczce z kozakami, w pobliżu Borowska, nieco w tyle poza armią, był ostatnią kroplą goryczy, która przeważała na szali, skłaniając Napoleona do powzięcia tej niefortunnej decyzji.

Zaznaczyć należy, że w chwili, gdy Wielka Armia rozpoczynała odwrót ku północy, Kutuzow, strwożony gwałtownością starcia pod Mało-Jarosławcem, zwrócił się ku południowi.

Tejże samej nocy podobny niepokój miotał sercem Rosyan. Podczas bitwy pod Mało-Jarosławcem, Kutuzow działał z niezmierną oględnością, ustawicznie zatrzymując się, badając teren, jakgdyby w obawie, że lada chwila grunt usunie mu się z pod nóg, pod naciskiem jedynie wysyłając w ogień poszczególne korpusy, które poprzec miały usiłowania Dochterowa. Sam zaś zagroził drogę Napoleonowi dopiero pod wieczór, gdy bitwa miała się już ku końcowi.

Dotarł wówczas do niego Wilson, czynny i ruchliwy Anglik, niegdyś uczestnik akcji wiel-

kobrytańskiej w Egipcie i Hiszpanii, zagorzały wróg Francuzów i Napoleona. W łonie armii rosyjskiej był on przedstawicielem mocarstw sprzymierzonych, człowiekiem niezależnym, bystrym obserwatorem, poniekąd nawet i sędzią, co oczywiście wzbudzić musiało niechęć w duszy zgrzybiałego generalissimusa. A że nienawiść rodzi zazwyczaj nienawiść, obaj więc niecierpieli się wzajemnie.

Wilson wyrzucać jął Kutuzowowi niebyszała wprost opieszłość, która w ciągu tego jednego dnia, tak jak pod Winkowem, 18-go października, pięciokrotnie wytrąciła zwycięskie wawrzyny z rąk Rosyan.

Wilson interpeluje więc żarliwie głównodowodzącego, żądając decydującej rozprawy na dzień następny. A choć rady jego i uwagi odrzucone zostały z oburzeniem, wszelako Kutuzow, zamknięty, tak jak i Francuzi, w granicach małojarosławieckiego płaskowzgórza—zmuszony był wykazać jaknajwiększą potęgę militarną. 25-go stanęły tedy pod bronią wszystkie dywizye oraz artylerya, złożona z siedmiuset dział. Obustronnie sądzili wszyscy, iż ostatnia wybiła godzina; uwierzył w to nawet Wilson. Zauważył on, że linia rosyjska opierała się o błotnisty, grząski jar; że na poly zbutwiały, chwiejny most, wystawiony na strzały i pociski nieprzyjacielskie, stanowił jedyną drogę w razie odwrotu; że wobec tego nieunikniona była walna rozprawa; że Kutuzow musiał zwyciężyć, albo zginąć. Alternatywą ta uśmiechała się Anglikowi; bez względu bowiem na ostateczny

wynik bitwy, na porażkę czy też zwycięstwo Napoleona, Anglia, nic nie tracąc, mogła tylko wykorzystać krwawe zapasy potężnych współzawodników.

Wraz z nadejściem nocy, raz jeszcze obszedł szeregi, słuchając z radością zapewnień i przysięg Kutuzowa, przyglądając się pilnie czynionym wszędzie przygotowaniom. Jeden tylko Bennigsen do ostatka wątpił, do ostatka niedowierzał. Mimo to wszakże, w mniemaniu, że zajęta przez Rosyan pozycja nie dozwoliłaby im cofać się, Anglik zasnął spokojnie, gdy wtem, około godziny trzeciej zrana, zbudził go niezwykle gwar i wrzawa. Armia gotowała się do odwrotu. Próżnemi były wszelkie perswazyje i namowy. Kutuzow postanowił nieodwołalnie ująć ku południowi, najpierw do Gonczarewa, następnie zaś dalej poza Kaługę. Mosty na Ocie stały już w pogotowiu.

W tej samej chwili z ust Napoleona padł rozkaz wymarszu na Możajsk i Smoleńsk. Równocześnie więc wyruszyły obie armie: jedna ku północy, druga ku południowi. Pozostawione na miejscu tylne straże, zobopólnie zmylić miały wzajemną czujność.

Nad brzeg wspomnianego powyżej jaru, ze wszystkich stron, z centrum, od prawego i lewego skrzydła, nadciągała konnica, artylerya, piechota i furgony. Konie i ludzie stłoczyli się w zwarty, rozkołyszany tłum, niezdolny do żadnej zorganizowanej akcji. Dopiero po kilku godzinach zdołano oczyścić jako tako dostęp do mostu. Kilka zbłą-

kanych kartaczy francuskich zwiększyło jeszcze bezład i zamieszanie.

Łatwo byłby mógł Napoleon odnieść wówczas świetne zwycięstwo nad stłoczonym, bezradnym tłumem. Tymczasem zamiast atakować, cofał się. Takie bowiem są zmienne koleje wojny: obaj zapaśnicy, zobopólnie nieświadomi zamiarów swoich i planów, maskują się forpocztami, forpocztami osłaniają wszelkie, najdrobniejsze nawet poruszenia. Przepaść dzieli zawsze dwie wrogie sobie armie!

Być może zresztą, iż przez nadmierną ostrożność, cesarz naprawić chciał pomyłkę, popełnioną pod Moskwą; znużony organizm domagał się spoczynku; ostatnie dwie utarczki z kozakami, groza krwawego pobojowiska, jęki i krzyki rannych, targnęły aż do głębi duszą cesarza; obawiając się zaś, że zwycięstwo nie będzie całkowite, postanowił cofnąć się corychlej.

Od tej chwili, Paryż stał się celem i ośrodkiem wszystkich jego myśli, tak jak niedawno jeszcze, celem i ośrodkiem była Moskwa! 26-go października ruszyła Wielka Armia z pod Małojarsławca. Davout, na czele dwudziestu pięciu tysięcy ludzi osłaniał odwrót. W milczeniu, z wzrokiem w ziemię utkwionym, szły posępne szeregi, a wśród nich, jak one chmurny i milczący, jechał cesarz.

Dotarł tak do Wereji, gdzie oczekiwał na niego Mortier. Zaznaczyć tu muszę, że pod wpływem gwałtownych wzruszeń i wiekopomnych wypadków dziejowych, pominąłem milczeniem fakt,

godzien uwagi. 23-go października, po północy, około drugiej, od straszliwego wybuchu zadrżało powietrze, zakolebała się ziemia. W obu obozach kto żył, zerwał się na nogi.

Mortier usłuchał rozkazu: Kremlin został zburzony. Poprzednio już wtoczono sto osiemdziesiąt trzy tysiące beczek z prochem do piwnic i lochów zamkowych; setki takichże beczek wypełniały wszystkie sale starożytnego pałacu. Na czele ośmiu tysięcy ludzi strzegł marszałek tego wulkanu, któremu groził zagładą każdy kartacz, każdy pocisk rosyjski. Z Kremlinu czuwał on nad armią, dążącą do Kaługi i nad konwojami, które posuwały się w stronę Możajska.

W rzeczywistości jednak liczyć mógł zaledwie na dwa tysiące sprawnego, wiernego żołnierza. Pozostałe sześć tysięcy, jeźdźcy bez koni, ludzie wszelkich wyznań i wszelkich narodowości, oddani pod komendę obcych sobie dowódców, nie mający ani jednakowych przyzwyczajęń, ani wspólnych upodobań i wspomnień, niczem właściwie ze sobą nie związani,—było to raczej luźne zbiorowisko, aniżeli spoista, zorganizowana całość. Wkrótce też mieli rozpierzchnąć się na wsze strony.

Dowództwo oddziału inżynierii powierzono walecznemu i uczonemu pułkownikowi Desprès. Przybyły dopiero co z Hiszpanii, w początkach września, pułkownik brał czynny udział w odwróceniu wojsk francuskich z Madrytu do Walencji; teraz zaś, w odwróceniu z Moskwy do Wilna. I tu i tam, oręż nasz giął się pod przemocą!

Wszyscy spoglądali na ks. Trewizy, jak na skazańca, jak na własnowolną ofiarę krwawego boga wojny. Starzy towarzysze broni żegnali go ze łzami w oczach; cesarz zaś zwrócił się doń, mówiąc: „że nie należy nigdy tracić nadziei, lecz że podczas wojny ofiary być muszą, zawsze i wszędzie”. Mortier przyjął bez wahania powierzoną mu misję. W myśl rozkazów cesarskich bronić miał Kremlinu, następnie, cofając się, podpalić szczątki miasta i wysadzić cytadelę w powietrze. 21-go października, z Krasno-Paszy, letniej rezydencji cesarskiej, wysłał Napoleon ostatnie zlecenia i wskazówki. Spełniwszy je, Mortier podążyć miał niezwłocznie do Wereji, aby utworzyć tylną straż armii.

W liście tym, Napoleon polecał mu w pierwszym rzędzie: „zużytkować wszystkie furgony dla przewozu pozostałych jeszcze po szpitalach chorych i rannych. Rzymianie,—pisał dalej cesarz—wieńczyli wawrzynem skronie zasłużonych mężów; ks. Trewizy otrzymać powinien tyle wieńców, ilu żołnierzy zdoła uratować. Lżej ranni jechać mogą konno, jak niegdyś, podczas odwrotu z pod Saint-Jean d’Acre. Z chwilą zaś, gdy konwój połączy się z armią, wozy, opróżnione już z zapasów żywności, oddane mu zostaną do dyspozycji. Pierwszeństwo winni mieć oficerowie i podoficerowie, ze szczególnem uwzględnieniem narodowości francuskiej. Niechaj zatem ks. Trewizy zwoła wszystkich podkomendnych swoich, generałów i oficerów, ażeby uświadomić im należycie znaczenie tej humanitarnej misji i zape-

wnić ich o wdzięczności cesarza za ocalenie pięciuset ludzi”.

Lecz, w miarę jak Wielka Armia oddalała się od Moskwy, kozacy zajmować jęli przedmieścia i Mortier zmuszony został cofnąć się poza mury Kremlinu. Podobnie w chwili konania, gdy martwieją już i stygną kończyny, tlejąca jeszcze iskierka życia chroni się i koncentruje w sercu. Kozacy ci stanowili forpoczty dziesięciotysięcznego korpusu Rosyan, którym przewodził Wintzingerode.

Niemiec rodem, nieprzejednany wróg Napoleona, pragnąc namiętnie odebrać Francuzom Moskwę i zdobyć sobie tym sposobem pełne prawo do obywatelstwa rosyjskiego, Wintzingerode puścił się samotrzeć naprzód; poprzez kolonię gruzińską i chińską dzielnicę miasta pomknął cwałem ku Kremlinowi, minął forpoczty nasze i dopiero wówczas, gdy ujrzał, iż odcięto mu powrotną drogę, jął nagle sygnalizować białą chustą i oświadczył, że przybywa w roli parlamentarza.

Zaprowadzono go niezwłocznie do kwatery ks. Trewizy. Oburzony zuchwalstwem Niemca, który wniósł skargę na gwałt, popełniony rzekomo na jego osobie, Mortier odpowiedział: „że naczelny wódz, który nie umie uszanować swojej godności, żadną miarą nie może być traktowany jako parlamentarz; że wobec tego, on, Mortier, wzywa jeńca do natychmiastowego oddania szpady”. Widząc wtedy, iż nie zdoła nikogo podejść i nikomu zaimponować, generał rosyjski

uznał własną nieogłębność i bez oporu złożył broń w ręce marszałka.

Wreszcie, po czterodniowej zwłoce, zabierając ze sobą przeszło czterystu rannych, Francuzi opuścili na zawsze to nieszczęsne miasto. Uprzednio jednak, w bezpiecznej, kilku tylko ludziom znajomej kryjówce, założyli olbrzymi, smołą i siarką nasycony lont, który tlić się miał powoli, obliczoną z góry ilość godzin a dotarłszy do olbrzymich zapasów prochu, obrócić w perzynę Kremlin.

Czemprędzej uchodził Mortier; równocześnie jednak chciwi kozacy i chłopci, ośmieleni ciszą, panującą pozornie w cytadeli, wtargnęli na Kremlin. Ku bogatym sprzętom wyciągały się już dłonie, gdy wtem ozwał się straszliwy huk, podziemia i lochy zionęły ogniem, zatrzęsła się w posadach ziemia. Deszcz kamieni, pogruchotanych lawet, połamanych karabinów i okropnie poszarpanych, krwawych szczątków ludzkich, posypał się dookoła.

Dziesięć mil od Moskwy, w Fomienskoje, słyhać było piorunny huk wybuchu.

Tak jak Kremlin, płonąć miało odtąd wszystko. Zdobywając, Napoleon pragnął wszystko zachować, wszystkiego strzedz i chronić; zmuszony cofać się, niszczyć będzie wszystko, wszystko burzyć i palić; bądź to z konieczności, ażeby zrujnować doszczętnie nieprzyjaciela i utrudnić mu pochód; bądź też przez zemstę, tę wierną towarzyszkę wszelkiego rodzaju najazdów, które z na-

tury rzeczy bardziej krwawe są i okrutne od innych wojen.

Nie Napoleon wszelako, lecz Rosyanie trzymali się uparcie ofensywy. 19-go października pisał Berthier do Kutuzowa, nakłaniając go „do uregulowania przebiegu walki w ten sposób, ażeby monarchia rosyjska ponosiła tylko te straty, które nieodłącznie związane są z wojną, gdyż dewastacya Rosyi równie szkodliwą jest dla kraju, jak bolesną dla Napoleona”. Lecz Kutuzow odpowiedział, „że patryotyzm rosyjski nie da się już niczem okiełznać”; innemi słowy pochwalał tedy najzupełniej postępowanie rosyjskich milicyi, upoważniając nas tem samem do represalii.

Na podobieństwo Kremlinu, poszła z dymem Wereja, dokąd, śladami cesarza, przywiódł Mortier Wintzingerode'a. Widok jeńca rzucił zarzewie gniewu w stroskaną, mroczną duszę Napoleona: „Kim pan jesteś?” — zawołał, krzyżując gwałtownie ramiona, jakgdyby sam siebie uchwycić chciał i powstrzymać. „Kim jesteś? Człowiekiem bez wiary, ni ojczyzny! Osobistym moim wrogiem, który walczył przeciw mnie najpierw pod sztandarem austryackim, a gdy Austria zawarła ze mną przymierze, przeszedł do służby rosyjskiej i agitował najgorliwiej za toczącą się obecnie kampanią. A jednak urodził się nad brzegiem Renu, w granicach Cesarstwa; nie jesteś więc zwykłym jeńcem wojennym, lecz buntownikiem, który podlega władzy mojej! Żandarmi, chwytajcie tego człowieka!” Lecz żandarmi stali nieruchomo, wiedzieli bowiem z doświadczenia, jak kończą się

takie sceny; wiedzieli, iż w danym wypadku nieposłuszeństwo największym jest posłuchem.

Cesarz zaś ciągnął dalej: „Czy widzisz pan te dymiące zgliszcza, tę nieszczęsną, ze wszystkiego ogołoconą krainę? Komu przypisać należy cały ogrom klęski? Pięćdziesięciu awanturnikom takim, jak pan, którzy tak, jak pan, są na żołdzie angielskim! Lecz srogie brzemię tej wojny spadnie niebawem na barki prowokatorów; za sześć miesięcy, w Petersburgu, sądzić was będą i karać!”

Zwracając się wówczas do adjutanta Wintzingerode'a, wziętego do niewoli pospołu z generałem, rzekł: „Co się tyczy pana, hrabio Naryszkina, niemam panu nic do zarzucenia; jesteś rodowitym Rosyaninem; spełniasz swój obowiązek. Czem jednak wytłomaczyć fakt, że członek jednej z najpierwszych rodzin w kraju zgodził się zostać przybocznym adjutantem płatnego cudzoziemca? Wolalbyś pan raczej służyć pod komendą rosyjskiego generała! Służba miłszą byłaby i bardziej zaszczytną!”

W milczeniu słuchał dotychczas Wintzingerode gniewnej przemowy Napoleona; wreszcie odparł spokojnie. „Że cesarz Aleksander był do broczyńcą jego i całej jego rodziny; że z rąk cesarza otrzymał wszystko; że przez wdzięczność przyjął poddaństwo rosyjskie; że stanowisko naczelnego wodza powierzone mu zostało przez cesarza; że spełnił zatem sumiennie swój obowiązek i nie poczuwa się do żadnej winy”.

Napoleon groził jeszcze i gromił; poprzestał

wszelako na słowach, bądź to, że istotnie ochłoniął z gniewu, bądź też dlatego, że chciał jeno przestraszyć tych Niemców, którzy nosili się, być może, z myślą dezercyi. Tak przynajmniej tłomaczono sobie słowa cesarza, które powszechny wzbudziły niesmak. Nikt też nie wziął ich do serca, wszyscy zaś jawnie okazywali generałowi życzliwość swoją i sympatyę. Trwało to aż do granic Litwy, gdzie kozacy odbili Wintzingerode'a i jego adjutanta. Cesarz o tyle łaskawym był dla młodego magnata rosyjskiego, o ile szorstkim i przykrym dla generała, co dowodzi, że w owej chwili, nawet w gniewie, nie zapomniał o rachubie i dyplomacyi.

VI.

W i a ż m a.

28-go października ujrzeliśmy po raz wtóry Możajsk. Miasto przepelnione było jeszcze ranionymi: jednych zabrano; drugich pozostawiono tak, jak w Moskwie na łaskę i niełaskę Rosyan. Za ledwie minął Napoleon Możajsk, gdy spadły ogromne śniegi; powiał od północy mroźny, lodowaty podmuch. Po dziesięciu dniach forsownych marszów i kontrmarszów, krwawą stoczywszy bitwę, armia, która zabrała z Moskwy niespełna po piętnaście porcyi mąki na głowę — uszła zatem tyle tylko, ile w innych warunkach byłaby uszła w ciągu trzech dni. Skąpe zapasy miały się już ku końcowi; z niezmiernych, śnieżnych pól powstawało straszliwe widmo głodu!

Ginać jeły słabsze, mniej odporne jednostki. Pierwszego niemal dnia odwrotu trzeba było spalić część furgonów, których nie mogły uciągnąć nieliczne i wychudłe konie. Wówczas to wyszedł rozkaz palenia i burzenia wszystkiego. Za pomocą wyprzężonych jaszczyków z prochem, wysadzano w powietrze murowane domy i większe budynki. Wobec tego jednak, że nieprzyjacieli nie ukazywał się ponownie, malała groza sytuacji, odwrót nabierał coraz więcej cech przymusowej, niemilej wędrówki. Napoleon zaś coraz lepszej był myśli, gdy tegoż, 28-go, pod wieczór, przyprowadzono do kwatery cesarskiej jegra rosyjskiego, pojmanego i przysłanego przez Davout'a.

Lekceważąc sobie osobę jeńca, cesarz zadał mu kilka krótkich, urywkowych pytań; lecz traf zrzucił, że jeńiec świadom był do pewnego stopnia nazw, dróg i dystansów; odparł więc: „że cała armia rosyjska dąży przez Medyń ku Wiaźmie”. Wówczas cesarz zaczął przysłuchiwać się uważnie odpowiedziom jegra. Czyżby Kutuzow wyprzedzić go chciał pod Wiaźmą, jak pod Mało-Jarostawcem; tak samo zagrozić mu drogę do Smoleńska, jak drogę do Kaługi; osaczyć go zewsząd wśród pustynnej, ze wszystkiego ogołoczonej krainy, w pośrodku powstańczych zastępów ludu rosyjskiego? Odrzucił wszelako ze wzgardą ostrzeżenie, w powyższych słowach zawarte, gdyż bądź to przez dumę, bądź też na skutek długoletniego doświadczenia, przyzwyczał się nie przypisywać swoim przeciwnikom zręczności, którą byliby wykazał na ich miejscu.

Tym razem jednak wchodziły w grę inne jeszcze pobudki. Niefrasobliwość cesarza zmyślona była i sztuczna, nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że armia rosyjska obrała drogę, wiodącą przez Medyń, tę samą, którą doradzał Davout dla wojsk naszych; Davout zaś, przez nieogłębność, czy też pod wpływem urażonej miłości własnej, zamiast poprzestać na przesłaniu cesarzowi tajnej depeszy, dozwolił rozejść się tym alarmującym wieściom. Obawiając się dla armii zniechęcenia i depresji, Napoleon lekceważył je rzekomo, lecz równocześnie wydał rozkaz, aby nazajutrz, skoro świt, gwardya ruszyła w kierunku Gzacka i szła nieprzerwanie aż do wieczora. Wyprzedziwszy na tej linii Kutuzowa, w murach Gzacka znaleźć miała strawę i schronienie.

Nie wzięto natomiast w rachubę straszliwego klimatu północy. Nowy ten, a nieubłagany, wróg chyżymi zbliżał się kroki: na polach i rozłogach huczała mroźna wichura, śnieżne puchy coraz szczelniej otulały zmarzniętą, skostniałą ziemię. Zaraz też zmieniło się wszystko: drogi, twarze ludzkie, ogólny nastrój i zewnętrzny nawet wygląd armii: umilkł gwar, posępna cisza zaległa szeregi; w duszach kielkować jęły lęk i trwoga.

O kilka mil poniżej Możajska, wypadło przeprowić się przez Kołogę, niewielką rzeczkę, przez którą dość było przetrzucić dwa pnie, ze dwie poprzecznice i nieco desek, aby przejść wygodnie na przeciwległy brzeg. Tak wielkim był jednak bezład i niedołęstwo, że przeprawa przedłużyła się nadmiernie, przyczem utopiono kilka

dział. Każdy korpus o sobie tylko myślał, na własną działał rękę, jakgdyby nie było ani sztabu głównego, ani rozkazów jednakowo obowiązujących dla całej armii, ani żadnego spoidła — nic, coby wiązało i łączyło ze sobą poszczególne oddziały. W rzeczy samej, niezwykle godności i tytuły wszystkich niemal dowódców wykluczały poniekąd konieczną w wojsku karność i subordynację: nikt nie chciał być zależnym od nikogo. Sam cesarz na takich zawrotach stanął wyżynach, że przepaść dzieliła go od armii i szczegółów życia obozowego. Berthier zaś, jako łącznik i pośrednik między cesarzem, a dostojnym tłumem królów, książąt i marszałków, zbyt często musiał liczyć się z przeróżnymi i przemożnymi względami. Nie odpowiadał zresztą wymogom zajmowanego przez się stanowiska.

Na widok niespodziewanej przeszkody, cesarz wzruszył pogardliwie ramionami, gniewnie spoglądając na Berthier'a. Westchnienie pełne rezygnacyi było jedyną odpowiedzią marszałka. Skoro naprawa, względnie budowa mostu, nie została wymieniona w rozkazie dziennym, Berthier nie poczuwał się do żadnej winy. Był on tylko wiernem echem cesarza, niczem więcej. Tak w dzień, jak w nocy, niezmordowany i czujny, rozsyłał wydane mu rozkazy i zlecenia, sam jednak o niczem nie stanowił, nigdy nic nie zmienił, nic od siebie nie dodał — i to, o czem Napoleon zapomniał, zapomniane było bezpowrotnie.

Po przejściu Kołogi, armia szła w milczeniu, gdy wtem nagle okrzyk zgrozy wyrwał się ze wszystkich niemal piersi! W prawo i w lewo,

przed nami i za nami, ziemia stratowana była, dziwnymi poryta bruzdy; drzewo potrzaskane, o suchych już, żałośnie sterczących konarach; w oddali zaś wznosiło się kilka niekształtnych wzgórz, ściętych u wierzchołka. Najwyższe z pośród nich wyglądało jak wulkan, wygasły wśród gruzów i popiołu. Dokoła wałały się szczątki kasków i pancerzy, przedziurawionych bębnow, po-gruchotanej broni, strzępy mundurów i osmalonych, krwią zbrzydzanych sztandarów!

Trzydzieści tysięcy trupów zalegało to żalobne pole śmierci. Trupy, widne zdaleka, zdawały się bronić jeszcze wzgórz. Była to owa straszliwa reduta, zdobycz i mogiła Caulaincourt'a. Bolesny jęk zaszemrał wzdłuż szeregów — i skończył. Bledszy i chmurniejszy, niż zwykle, szybko wymijał cesarz pobojuwisko. Nik zresztą nie zatrzymał się: głód, zimno oraz bliskość nieprzyjaciela nagliły do pośpiechu. Idąc, odwracano jeno głowy, aby poraz ostatni ogarnąć smutnemi oczyma ten olbrzymi grobowiec, w którym spoczywało tylu wiernych druhów, tylu nieodżałowanych towarzyszy broni, poległych na obczyźnie, w krwawej, a bezowocnej walce!

Tam właśnie, u stóp tej reduty, krwią naszą i orężem skreśliłiśmy jedną z najsłynniejszych kart w dziejach ludzkości! Lecz pod śnieżną i lodowatą powłoką zniknąć miał wkrótce wszelki ślad boju i męki! Być może, iż kiedyś, gdy czas wszystko zrówna i zniweluje, wędrowny przechodzień minie obojętnie pole to, podobne do wielu innych; gdy jednak dowie się, czem ono było przed laty, wiedziony ciekawością, niewątpliwie

zawróci wstecz, długo przyglądać się będzie okolicy, wreszcie zawoła: „Co za ludzie! co za wódz! Jaka dziwna, równocześnie świetna i nieszczęsna dola! Oni to w roku 1799 przez Egipt wtargnąć chcieli na Wschód. Odparci, przeszli zwycięskim szlakiem całą Europę, a gdy wszystkie ludy kornie legły u ich stóp, gdy zdawało się, że nic nie zdoła powstrzymać tej przemożnej, przepotężnej siły, ponowili od północy niefortunną próbę i tak, jak niegdyś, musieli cofnąć się, rozbić, i zdziesiątkowani. Pod jakim wpływem, z jakich pobudek, szukali wciąż nowych wrażeń, nowych, a niezwykłych przygód? Urodzeni pod błękitnym niebem południa, nawykli do wygód i wszelkiego rodzaju dostatków, syci zaszczytów i godności, bez wahania zostawiali wszystko i szli w nieznaną dal, o głodzie i chłodzie, niepomni na ból, na kalectwo i śmierć! Czem wytłómaczyć, czemu przypisać to niezrozumiałe na pozór zjawisko? Działał tak nieprzeparty urok cesarskiego geniuszu, wiara w nieomylnego dotychczas wodza, chęć dokonania chlubnie rozpoczętego dzieła, nadewszystko zaś upojna, ze wszystkich najpotężniejsza żądza sławy, która lekceważy nawet śmierć, aby tylko zdobyć nieśmiertelność!”

W zbożnym milczeniu mijaly szeregi pobojowisko, gdy wtem dostrzeżono wśród trupów straszliwą, okaleczoną marę, która głośnie wydawała jęki. Był to żołnierz francuski. Raniony w obie nogi, zapomniany i opuszczony, schroniwszy się w krwawym kadłubie zabitego konia, w ciągu pięćdziesięciu dni krzepił się mętną wodą z pobliskiego strumienia, a karmił ohydną,

trudną do nazwania strawą. Ci, którzy zajęli się nim, twierdzą, iż ocalał i do zdrowia powrócił.

Nieco dalej, w Kołocku, ujrzano po raz wtóry klasztor, czy też raczej olbrzymi szpital, napelniony po brzegi ludzką męką i niedolą. Pod Borodinem panowała wprawdzie niepodzielnie śmierć, lecz panowała także i cisza, głęboka, bezbrzeżna cisza. W Kołocku walka trwała wciąż: walczyły ze śmiercią nieszczęsne ofiary wojny, mocowały się ostatkiem sił i tchu, pozbawione wszelkich wygód, wszelkich, najniezbędniejszych nawet środków ratunku. Nie brakło tam jeno rozkazów, niewykonalnych jeśli zważymy dane warunki i okoliczności, idących zresztą ze zbyt wysoka i ze zbyt daleka, aby istotnie mogły być wykonane.

Jednakowoż, mimo głodu, zimna i nędzy, poświęcenie kilku lekarzy i niewygasła jeszcze iskierka nadziei, utrzymywały przy życiu znaczną liczbę chorych i rannych. Lecz gdy spostrzegli mijające ich szeregi bratnie, mniej chorzy powlekli się za próg, wzdłuż drogi, błagalnie wyciągając ku nam wychudłe dłonie.

Cesarz wydał rozkaz, iżby każda bez wyjątku podwoda, każdy wóz i furgon, zabierał conajmniej po jednym rannym; najslabsi zaś pozostać mieli tak, jak w Moskwie, pod opieką rannych oficerów rosyjskich, którzy, dostawszy się do niewoli, leczeni byli w ambulansach francuskich. Osobiście doglądał cesarz wykonania tego rozkazu. Opodal gorzało ognisko, podsycane szczątkami wyprzężonych jaszczyków. Od rana już, często powtarzający się huk eksplozyi, świadczył,

o licznych, a przymusowych ofiarach w prochu i amunicji.

Podczas tego postoju popełniona została ohydna zbrodnia. Kilku ciężej rannych oficerów i żołnierzy umieszczono na wózkach wiwandyerów, mimo protestu i szemrania tych nędzników, którzy, obladowawszy się w Moskwie łupami, niechętnie nowy przyjmowali ciężar; wobec groźby jednak — umilkli. Lecz gdy ruszyły szeregi, gdy armia opuszczać jąła Kołock, zwolnili kroku, a korzystając z chwilowej samotności, wrzucili wszystkich chorych do przydrożnych, głębokich rowów, na niechybną śmierć. Jeden tylko z pośród nich, generał, żył jeszcze tak długo, że doczekał się nadejścia pierwszych wozów i zbrodnię ujawnił. Okrzyk zgrozy wybiegł wówczas na wszystkie usta; niebawem doszedł uszu cesarza, gdyż w owej chwili cierpienia nie były jeszcze tak niezmierne i tak powszechne, aby stłumić w duszach ludzkich wszelką litość i miłosierdzie, aby znieczulić je całkowicie na jęki i ból.

Wieczorem tegoż dnia, kolumna cesarska zbliżyła się do Gzacka. Na trakcie gęsto leżały liczne zwłoki świeżo pobitych Rosyan. Zauważono, że wszystkie głowy rozłupane były w ten sam sposób, a mózg rozprysnięty dookoła. Wiedzieli wszyscy, że dwa tysiące jeńców rosyjskich szło przodem, pod strażą Hiszpanów, Portugalczyków i Polaków. Zależnie od usposobienia, każdy reagował inaczej na tę bezlitosną rzeź: jedni oburzali się, inni aprobowali, inni wreszcie obojętni byli i głusi na wszystko. W najbliższym otoczeniu cesarza posępna zaległa cisza. Jeden

tylko Caulaincourt, nie mogąc pohamować miotających nim uczuć, wykrzyknął: „Że jest to niesłychane okrucieństwo! Że tak właśnie wygląda owa cywilizacja, którą chcemy rzekomo krzewić wśród Rosyan! Co powie na to naród rosyjski? Czyż nie zostawiamy poza sobą chorych i rannych? Któż obroni ich, jeśli nieprzyjaciel zechce skorzystać z prawa krwawego odwetu?”

Napoleon nie odpowiedział nic, lecz nazajutrz zabójstwa ustały całkowicie. Poprzestano odtąd na zamykaniu nieszczęsnych jeńców w szopach, w których spędzali zazwyczaj noc, a w których konać mieli z głodu, powolną, straszną śmiercią. Niewątpliwie było to wielkiem okrucieństwem. Położenie było wszakże bez wyjścia. Nieprzyjaciel nie chciał przystać na wymianę jeńców, cesarz zaś obawiał się puścić ich ze względu na nędzę wojsk naszych, która nie powinna była dojść do wiadomości Kutuzowa. W tej zacieklej, nieubłaganej walce — walce na śmierć i życie — okrucieństwo spowodowane zostało koniecznością, wyjątkowo groźną i niebezpieczną sytuacją.

O zmierzchu dotarła armia do Gżacka. Ten pierwszy mroźny dzień, białymi puchy spowity — był jednocześnie dniem smutku i bolesnych wzruszeń: żaloszny widok pobojoowiska i szpitala w Kołocku, setki wysadzonych w powietrze jaszczków, krwawe trupy pomordowanych Rosyan, nadmierna forsowność marszu; głód i zimno — wszystko to posępny wytwarzało nastrój. Odwrót zaczął nabierać wszelkich cech ucieczki, zadawał kłam bohaterskiej legendzie cesarskich orłów!

Wśród sprzymierzeńców naszych, niektórzy cieszyli się w głębi duszy z porażki niezwyciężonego dotychczas wodza. Z małostkowością, wrodzoną niższym moralnie jednostkom, zazdrościli mu oni świetnego losu, geniuszu i sławy. Niebawem jednak umilkły złośliwe szept; wobec ogólnej klęski i niedoli pierzchła zawistna radość.

Przeczulona дума Napoleona wniknęła odrazu w tajniki myśli tych ludzi. Podczas krótkiego postoju, w szczerem polu, na grudzie, wśród rozsianych dookoła francuskich i rosyjskich szczątków, potęgą wymowy swojej zrzucić chciał z siebie okropne brzemię odpowiedzialności za tyle i takich nieszczęść. Toczącą się wojnę przypisywał w pierwszym rzędzie * *: „Wojnę sprowokował ten minister cesarski, duszą i ciałem zaprzędany Anglii! On to podszedł zdradziecko Aleksandra i Francję! Na niego też spaść powinna cała ohyda wszystkich okropności tej kampanii!”

Powyższe słowa, wypowiedziane w obecności dwóch generałów francuskich, pozostały bez odpowiedzi: słuchano ich w milczeniu, z poszanowaniem, należnem władzy i nieszczęściu. Lecz ks. Vicencyi, szczerzy zawsze i gwałtowny, gniewnie i niedowierzająco pokiwał jeno głową, a, cofnąwszy się natychmiast, przerwał tę niezmiernie przykrą rozmowę.

We dwa dni po opuszczeniu Gżacka wchodził cesarz do Wiaźmy na dłuższy nieco wypoczynek. Celem pobytu we Wiaźmie było połączenie się z korpusem ks. Eugeniusza i Davout'a oraz obserwacya drogi, wiodącej od Medyni

i Juchnowa, która w tym właśnie punkcie przecina trakt Smoleński: tą boczną drogą nadciągnąć miała od Mało-Jarosławca armia rosyjska. Lecz 1-go listopada, po trzydziestu sześciu godzinach ciągłego wypatrywania, nie doczekawszy się nawet forpocztów nieprzyjacielskich — Napoleon ruszył w dalszą drogę. Dusza cesarza wahała się między nadzieją, że Kutuzow zaprzestał pościgu, a obawą, że po to tylko ominął Wiaźmę, aby wyprzedzić wielką armię i zagrozić jej drogę opodal Drohobuża. Zostawił jednak Ney'a we Wiaźmie dla osłony czwartego korpusu i zluzowania zmęczonych pułków Dawout'a na tylnych strażach.

Zbyttnia, jakoby, powolność i oględność Davout'a irytowała cesarza: zarzucał mu nadmiar systematyczności, pedantyzm, nie licujący bynajmniej z równie nieregularnym, na tysiączne przeszkody narażonym marszem; z gniewem podkreślał też przestrzeń, dzielącą marszałka od Wiaźmy.

Zapomniał snać, że trakt, którym postępowały tylne straże, nierówny był i błotnisty; że wskutek gołoledzi, wszędzie, gdzie droga szła w dół, osuwały się i staczały wozy i działa; że na stokach pagórków, po lodowatej powłoce, ślizgały się źle podkute kopyta końskie; że tak konie, jak ludzie dyszeli wtedy ostatkiem tchu, przewracając się co chwila; że gdy tylko padł jaki koń, zgłodniaли żołnierze rąbali go natychmiast na ćwierci i piekli te krwawe ochłapy przy ogniu, podsycanym szczątkami wozów i furgonów.

Ruszyła wówczas artylerya. Kanonierzy i oficerowie — wychowani wszyscy niemal w slynnej

na świat cały szkole wojskowej, wyprzęgali konie od własnych pojazdów i furgonów, ażeby tylko ocalić działa. A gdy brakło koni, zaprzęgali się sami i ciągnęli co sił, nie szczędząc trudu. Krążące w pobliżu oddziały kozackie, nie dość odważne, aby atakować, zwiększały nieład i rozprężenie gęstemi salwami z lekkich, polowych armatek, wiezionych na saniach.

Pierwszy korpus utracił już był dziesięć tysięcy ludzi. Jednakowoż, dzięki nadludzkim niemal ofiarom i wysiłkom, wice-król i ks. Eckmühl stanęli 2-go listopada o dwie mile od Wiaźmy. Lecz pod osłoną zwodniczych mroków tejże nocy, od strony Mało-Jarosławca, nadciągnęły forpocztę rosyjskie, obeszły bokiem oba korpusy francuskie oraz korpus Polaków Poniatowskiego — a minawszy nasze biwaki, rozciągnęły się wzdłuż lewego flanku drogi, na owej dwumilowej przestrzeni między Wiaźmą, a wojskami Davout'a i Eugeniusza.

Forpocztami dowodził Miłoradowicz, zwany „rosyjskim Murat'em”. Niezwykle popularny wśród rodaków swoich, był to — zdaniem ich — żołnierz z krwi i kości, niezmordowany i mężny, równie urodziwy jak Murat i, tak jak on, stale przez los faworyzowany. Nie imają się go kule ani pociski, nigdy żadnej nie odniósł rany, jakkolwiek ubito pod nim kilka koni, a tuż obok niego rozlegały się niejednokrotnie jęki konających i rannych. Gardząc zasadami sztuki wojennej, jako gorący zwolennik nieuplanowanej z góry, często-kroć zgoła nieprzewidzianej akcji; zwolennik zasadzek i napaści, partyzanckiej niejako walki,

zależnej całkowicie od warunków, terenu i okoliczności — Miłoradowicz walecznym był wodzem, lecz lichym administratorem, znanym w kraju utracyuszem, co dziwniejsze zaś, człowiekiem równocześnie rozrzutnym i uczciwym.

Na czele dwudziestu tysięcy żołnierzy, Miłoradowicz i Płatow bronili nam dostępu do Wiaźmy.

3-go listopada, przed świtem, ruszył ks. Eugeniusz ku miastu, poprzedzany przez artylerję i tren, gdy w tem dzienny brzask ukazał mu pułki nieprzyjacielskie na tyłach naszych i na lewym flanku, z drugiej zaś strony — na równoległej równinie przewracane wozy i maruderów, uciekających w popłochu przed lancami ułanów rosyjskich. Kędyś, koło Wiaźmy — głuchy huk armatnich strzałów świadczył aż nadto wymownie, że marszałek Ney, zaniechawszy z konieczności wszelkiej akcji zaczepnej, bronił już tylko miasta i zajmowanej przez się pozycyi.

Jako zdolny i doświadczony wódz, wice-król rozejrzał się natychmiast w sytuacji i obmyślił plan defensywy. Stała tedy kolumna; dywizye zawróciły wstecz i uszykowały się z prawej strony traktu, ażeby odeprzeć szeregi rosyjskie, które usiłowały nas zepchnąć z drogi, w szersze pole. Na prawem skrzydle armii włoskiej, Rosyanie byli opanowali już w jednym punkcie trakt, gdy Ney wysłał przeciw nim regiment jazdy, który zaatakował ich z tyłu i zmusił do ucieczki.

Równocześnie Compans, jeden z generałów Davout'a, łącznie z tylnymi strażami wice-króla,

przedarł się przez szeregi nieprzyjacielskie i wpadł w najgorętszy wir walki; Davout zaś cofnął się poza nim lewą stroną traktu, następnie trakt przekroczył i stanął na lewym skrzydle, między Wiaźmą a nieprzyjacielem. Ks. Eugeniusz ustąpił mu z kolei bronionej dotąd pozycji i przeszedł na przeciwległą stronę drogi. Nieprzyjaciel spróbował wówczas osaczyć ich, obchodząc oba skrzydła.

Dzięki odwadze żołnierzy i talentom militarnym dowódców, oba korpusy — tak włoski jak francuski — wprawdzie nie zdołały jeszcze zapewnić sobie dalszego odwrotu, w każdym bądź razie uzyskały możliwość skutecznej obrony. Liczba żołnierzy zdatnych do boju wynosiła około trzydziestu tysięcy. Lecz w pierwszym korpusie — korpusie Davout'a — panował bezład i rozprężenie: pośpieszny, zgoła nie przewidziany przebieg walki, nagłość obrotów nieprzyjacielskich, głód i nędza, zwłaszcza zaś fatalny przykład bezbronnych, pozbawionych koni jeźdźców, którzy rozpierzchli się na wsze strony, nawpół obłąkani ze strachu — wszystko to podziałało ujemnie, rozluźniając karność i dyscyplinę.

W mniemaniu, że Francuzi cofają się, nieprzyjaciel ponowił atak. Artylerya rosyjska — liczniejsza i lepiej od naszej obsłużona — pognąła galopem, otaczając nas zewsząd i morderczemi prażąc strzałami, podczas gdy baterye francuskie, które zawrócono od samych bram Wiaźmy, wlokły się powoli i z trudem. Tymczasem Davout i jego generałowie wiedli w ogień sprawne i nieustraszone pułki starych wiarusów. Liczni oficerowie

z ranami niezagojonemi jeszcze od krwawego starcia pod Borodinem — jeden z ręką na chustce, drugi z obandażowaną głową — nawoływali do boju, krzepiąc swoich ludzi słowem i przykładem. Ławą runęli też na baterye rosyjskie i zmusili je do odwrotu, zabrawszy im trzy działa. Nieprzyjaciel ustąpił; maruderzy zaniechali ucieczki; szlachetna ofiara krwi własnej i życia pożądanym wywarła wpływ, zwalczyła zło w zarodku.

Czując wówczas, że nieprzyjaciel wymyka mu się z rąk — Miłoradowicz zażądał posiłków. Itutaj również misyi gońca podjął się Wilson, obecny wszędzie, gdzie tylko można było działać na szkodę Francyi. Sędziwy feldmarszałek wypoczywał tymczasem przy wtórze głuchych salw armatnich i stłumionych oddaleniem odgłosów walki. Misya Wilsona spełzła wszelako na niczem; próżnemi były namowy i perswazye namiętnego Anglika.

Lecz ani rzeczowa argumentacya, ani nawet groźby nie dały pożądaných wyników: bądź to pod wpływem powszechnej niedoli, pożarnemi dymami osnutej, bądź też dla tego, że ta najbardziej ponura i najostrzejsza pora roku zwiększała starczą niemoc znużonego organizmu, nakłaniając do nadmiernej ostrożności tam, gdzie nie było nic do stracenia i do zbyt wielkiej opieszałości w chwilach istotnie ważnych, wymagających szybkiej i stanowczej decyzji — dość, że w dalszym ciągu trwał Kutuzow w swoim uporze. Tak jak pod Mało-Jarosławcem, zdawał się wierzyć niezachwianie, że tylko klimat pokonać może Napoleona; że w owym czasie zima nie dokuczyła

jeszcze dostatecznie cesarzowi i Wielkiej Armii; że natomiast — prędzej czy później — niepokalana biel śnieżnych bezkresów będzie całunem, który spowije sztywne zwłoki butnych najeźdźców; że srogie mrozy północy pomszczą ruinę i krzywdę narodu rosyjskiego.

Własnemu pozostawiony losowi, Miloradowicz usiłował przerwać linię bojową Francuzów, dziesiątkując gęstymi strzałami mocno już przetrzebione szeregi Eugeniusza i Davouta. Echa walki, toczącej się w oddali, na tyłach naszego prawego skrzydła, zaniepokoiły obu dowódców. Sądził bowiem, że z tej strony, drogą, która wiodła do Juchnowa, a której bronił Ney — nadciągała reszta armii rosyjskiej.

Były to tylko forpoczty. Ponieważ jednak bitwa trwała już od siedmiu godzin i krótki dzień zimowy miał się ku końcowi, w mniemaniu, że bagaże zdołały cofnąć się poza Wiaźmę — wicekról i ks. Eckmühl nakazali odwrót. Widok ustępujących regimentów francuskich stał się hasłem do ponownej szarży. Korpus Davout'a ocalał li tylko dzięki osłonie pobliskiego wąwozu, oraz nieustraszonemu męstwu żołnierzy 25-go, 57-go, 85-go pułku. Mniej gwałtownie zaatakowany, ks. Eugeniusz uszedł corychlej poza Wiaźmę. Niezwłocznie jednak ruszyli za nim Rosyanie. Za ledwie weszli do miasta, gdy Davout — ścigany przez dwudziestotysięczną armię, prażony ogniem ośmiudziesięciu dział — ukazał się na przedmieściach.

Przodem szła dywizya Morand'a. Nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, sądząc, iż

bitwa całkowicie jest ukończona — szybkim szła krokiem, ażeby połączyć się corychlej z wojskami wice-króla, gdy wtem z bocznych ulic runęły z nienacka pułki rosyjskie. Wśród nieopisanego zamętu, zmieszały się szeregi. Aczkolwiek z trudem, Morand zdołał wszelako przywrócić ład. Dywizya uszykowała się ponownie, a odpowiadając celnymi strzałami na salwy nieprzyjacielskie, przedarła się poprzez wrogie zastępy.

Ostatnia z kolei dywizya Compans'a dokonała dzieła. Atakowany przez najwaleczniejsze oddziały kozaków Miłoradowicza, bez wahania Compans zawrócił wstecz, osobiście stanął na czele swych ludzi, zniósł szeregi rosyjskie, a gdy walka nieco przycichła, w dalszą puścił się drogę. Bitwa ta przysporzyła sławy jednostkom, a szkodziła była i ujemna w skutkach dla ogółu wojsk naszych. Zarówno rozprężenie jak i brak jedności ważną odegrały tu rolę. Zbyt wielka liczba samodzielnych wodzów rozluźniła karność, a mnożące się — częstokroć sprzeczne — rozkazy i dyspozycje uniemożliwiały zwycięstwo. Dopiero około godziny drugiej popołudniu zebrali się dowódcy na wspólną naradę; lecz mimo narady, akcja niejednolitą była i niezgodną.

A gdy zapadł wreszcie zmierzch; gdy rzeka, miasto i korpus Ney'a odgradziły od nieprzyjaciela zdziesiątkowane i krwawe regimenty — przy migotliwem świetle obozowych ognisk, spękane od chłodu wargi jeły liczyć zabitych i rannych. Ocalał wprawdzie honor, lecz straty były niezmiernie: padło blisko cztery tysiące ludzi; zabrano nam i zburzono kilkanaście dział, liczne wozy i furgony.

Chcąc przywrócić jaki taki ład, trzeba było wszystko zmienić, wszystko przeinaczyć. Z każdego poszczególnego pułku pozostał zaledwie batalion; z każdego batalionu — zaledwie pluton. Osowiałym wzrokiem spoglądali żołnierze na nowe kadry, nowych kamratów i nowych, obcych sobie oficerów.

Przyświecała tej posępnej reorganizacji pozorna luna płonącej Wiaźmy; wtórował jej daleki, jak gdyby podziemny huk armat Ney'a i Miloradowicza, leśne budzący echa, dźwięczący ponuro w nocnej pomroce. Kilkakrotnie grały na alarm trąbki, a szorstkie, czarne od prochu dłonie, imaly za broń. Nikt wszakże nie atakował i noc przeszła spokojnie. Lecz gdy nazajutrz uformowały się szeregi, wszyscy bez wyjątku dziwili się, że tak nieliczni są, że brak tylu najdzielniejszych, najwaleczniejszych żołnierzy.

Mimo strat jednak, mimo nędzy i głodu — bliskość Smoleńska i przykład, jaki dawali oficerowie, podtrzymywały ducha w armii. Działał również ożywczo czysty błękit pogodnego nieba i złoty blask słońca, tego wieczystego źródła nadziei i życia, które zdawało się przeczyć otaczającym nas zewsząd bolesnym scenom śmierci i rozpaczy.

Lecz 6-go listopada, rankiem, błękit zasnuwa się mgłą; od północy nadciągają szare, ciężkie chmury; grubymi płatami padać zaczyna śnieg. Sam Bóg żąda snąć ostatecznej zguby naszej! Niebawem pod śnieżną powłoką wszystko innych nabiera kształtów, wszystko zmienia się i zlewa w bezkresie omglonych pól. Najmniejsza przeszko-

da rośnie i olbrzymieje; giną ścieżki i drogi. Podczas kiedy żołnierz bierze się za bary z szalejącą dookoła zawieruchą, gnane wiatrem białe płatki ścielą się wszędzie; zasypują jary, wyrwy i rozpadliny; gotują setkom istnień ludzkich chłodną, otchłanną mogiłę. A gdy nie znać już nic, gdy zasypane już wszystko, pod ciężkim butem żołnierskim osuwa się zdradziecka biel—na wieczny, nieprzerwany sen.

Napróżno odwracają się kamracy: śnieg miecie prosto w oczy, pod lodowatym tchnieniem nawałnicy wzbijają się co chwila śnieżne tumany; straszliwa zima północy zażarty toczy bój z żalobnymi szczątkami świetnych niegdyś pułków, przenika wskroś lekkie odzienie, chłodem ścina nawpół bosc stopy. Przemoczone mundury okrywa wnet szklista, lodowa powłoka; drętwią wszystkie członki; silny wiatr tamuje dech w piersiach; na brodach i wąsach osiadają sople lodu.

Drżąc z zimna, nieszczęśni żołnierze idą wciąż. Wkrótce jednak odmawiają posłuszeństwa zeszywniałe nogi, a pierwsza napotkana przeszkoda, kamień, leżąca w poprzek drogi gałąź, czy też bratni trup—stają się przyczyną zguby. Kto upadł raz, ten nie podnosi się już więcej: białe puchy otulają go szczelnie, w cementarne ścielą się mogiłki, coraz wyższe, coraz liczniejsze. Najodważniejsi, czy też może najbardziej obojętni, przechodzą mimo, odwracając głowę. Lecz przed nimi, za nimi, dookoła nich, zaległa jeno głucha cisza, jeno śnieżne tumany, jeno olbrzymi, śmiertelny całun, którym przyroda zdaje się okrywać armię. Na tle szarego nieba rysują się ostro

smukłe sylwetki świerków, ich ciemna zieleń, nieruchome, w dół opuszczone konary, które uzupełniają niejako bolesny widok męki ludzkiej i ogólnej martwoty, których poszum jest jedyną pieśnią, zawodzącą nad głowami tych zmarłych i tych konających!

Wszystko, nawet własna broń, nawet owe zwycięskie karabiny, które pod Mało-Jarosławcem raz jeszcze przysporzyły nam krwią zbryzganej, drogo okupionej sławy, a które odtąd służyć miały li tylko do obrony, wszystko jęło zwracać się przeciw armii. Skostniałe dłonie nie mogły już utrzymać ciężkich giwerów; palce, pozbawione ruchu niezbędnego, do konserwacji resztek życia i ciepła, przymarzały do kurków. Ci, którzy, przewróciwszy się, zdołali jeszcze powstać, powstawali zazwyczaj bezbronni; przy upadku bowiem gięły się lufy; pękały kolby lub też broń ginęła w śnieżnych zaspach.

Wzrastała nieustannie liczba maruderów, ludzi wszelkiej broni i wszelkiej narodowości, których nie podle tchórzostwo, lecz głód i zimno przywiodły do dezercyi. W tej beznadziejnej, ogólnej i indywidualnej walce, ulegając przeciwnym instynktom samozachowania — odbieżeli pułkowych sztandarów i, pokonani, bezbronni, szli oto w nieznaną dal, na tułaczkę, być może na śmierć!

Wielu z pośród nich zboczyło z traktu i rozpierchło się polnemi drogami po okolicy, w nadziei, iż zdołają znaleźć tam kęs chleba i dach na głowę. Lecz w promieniu siedmiu do ośmiu mil wszystko zburzone było, wszystko zrównane

z ziemią. Zamiast chleba i dachu, straszliwa czekała ich śmierć: śnieg spłynął krwią, pustka rozbrzmiała jękami! Chłopi rosyjscy, podburzani przez Aleksandra i Kutuzowa, zorganizowani w luźne partye, pod osłoną leśnych gąszczy, ciągnęli razem z armią, po obu stronach traktu. Wszyscy ci, których nie dosięgły kozackie piki lub chłopskie siekiery, musieli tedy wracać na trakt, na cmentarny, trupami usiany szlak.

Nadeszła wówczas noc, długa, szesnastogodzinna noc! Lecz wśród tych śnieżnych, jednako białych przestrzeni, niewiedomo gdzie zatrzymać się, gdzie spocząć, gdzie szukać jakichkolwiek jadalnych korzeni, czem rozniecić ogień! W końcu jednak znużenie, nocny mrok oraz powtarzane kilkakrotnie rozkazy zatrzymały tych, którzy pozostali wierni złotym orłom cesarza. Niedobitki rozłożyli się obozem. Ale i tutaj również szalejąca wciąż burza uniecestwiła pierwsze przygotowania do noclegu. Ośniedziałe świerki zamiast płomienia dawały jeno dym, a grube płaty śniegu, który w dalszym ciągu sypał bez przerwy, gasiły ognie biwaków, a wraz z nimi tlejącą jeszcze w duszach ludzkich nadzieję, ostatki sił i odwagi.

Gdy rozgorzały wreszcie ogniska, oficerowie i żołnierze poczęli krzątać się koło wieczerzy; pieczono nad ogniem krwawe ochłapy chudej, zylastej koniny; niektórzy, bardziej od innych przez los faworyzowani, na wodzie ze stopionego śniegu, warzyli żytnią zacierkę. Nazajutrz rano, dookoła wygasłych, śniegiem przysypanych palenisk, leżały liczne zwłoki zmarzniętych podczas snu żoł-

nierzy; okoliczne zaś pola usiane były kadłubami kilku tysięcy koni.

Począwszy od tego pamiętnego noclegu, każdy jął liczyć tylko na siebie, na własnych jedynie polegać siłach. W łonie wrażliwej, wysoce kulturalnej, rzec można nawet przycywilizowanej armii; wśród jednostek o namiętnych duszach, a płomiennej wyobraźni, szybko wkradł się bezład, niesubordynacja i zniechęcenie. Co dnia tedy, o zmierzchu, zdala od ogni biwaków, umykały chyłkiem ciemne, niestety! coraz liczniejsze, sylwetki dezertarów. Lecz oficerowie, podoficerowie i garść wytrzymałych, jak stal hartowanych szeregowców, oparła się zwycięsko tej zarazie tchórzostwa i niekarności. Wzajemnie dodawano sobie otuchy, powtarzając imię Smoleńska, który coraz bliższym był, w którym wynędzniałe szeregi dostać miały wszystkiego: strawy, odzienia i broni.

Bez względu na godność i rangę, zależnie od usposobienia, wieku i temperamentu, każdy, zarówno oficer, jak prosty żołnierz, zachowywał wówczas lub tracił wewnętrzną równowagę, moc ducha, spokój i energię. Wśród wodzów naszych, ci, którzy dotychczas największą odznaczyli się surowością, którzy przestrzegali najskrupulatniej obowiązujących przepisów, którzy byli uosobieniem ścisłości, porządku i systematyczności — w owych dniach klęski i próby, zrozpaczeni ogólnym rozprężeniem, najprędzej podupadali na duchu, a sądząc, iż wszystko stracone bezpowrotnie, pierwsi skłaniali się do dezercji.

Między Gzackiem, a Michalewskim, wioską leżącą na drodze z Drohobuża do Smoleńska,

w kolumnie cesarskiej nie zaszło nic godnego uwagi. Zanotować można jedynie fakt masowego wyzbycia się wszystkich łupów, z Moskwy wywiezionych. Liczne działa, starodawna, cenna zbroja, srebra i tkaniny oraz olbrzymi, pozłocisty krzyż z wieży Wielkiego Iwana, zatopione zostały w nurtach zemlewskiego jeziora. Owe zwycięskie trofea, sława i skarby, wszystko to, co zdobi i upiększa życie, nieznośnem zaciężyło brzemieniem: Jak okręt ginący w morskich odmętach, w przepastnej, bezdennej topieli, armia, otoczona zewsząd zakrzepłą falą śnieżnych zasp, rzuciła bez wahania skarby i bogactwa, zrzuciła wszystko, co mogło opóźnić i utrudnić odwrót!

Dzień 3-go i 4-go listopada spędził Napoleon w Sławkowie. Zarówno wypoczynek ten, jak i dotychczasowe koleje odwrotu, rozplłomieniły wyobraźnię cesarza. Wydane zostały rozkazy, mocą których nasze tylne strażę, cofające się w pozornym nieładzie, ściągnąć miały Rosyan w zasadzkę i zgnieść ich doszczętnie przy pomocy pułków cesarskich. Niebawem wszakże cesarz zajął się czem innem i rozkaz cofnięto. 5-go dotarł do Drohobuża. W magazynach miejskich znalazł znaczny zapas młynków ręcznych, obstalowanych niegdyś dla armii, bezużytecznych teraz wobec zupełnego braku wszelkiego ziarna. Wówczas to powstał plan kwater naszych w Smoleńsku.

Nazajurz, 6 go listopada, opodał Michalewska, w chwili, gdy zrywać się poczynały pierwsze podmuchy owej straszliwej śnieżycy, nadjechał hr.

Daru, a wkrótce później liczne widety otoczyły cesarza półkołem.

Tegoż dnia, pierwsza od dziesięciu dni sztafeta, która zdołała przedostać się do armii, przyniosła była hrabiemu nieoczekiwane wieści o dziwnym spisku*) uknutym w Paryżu, w głębi więziennej celi, przez nieznanego dotąd generała. Jedynym współnikiem Malet'a była fałszywa wieść o całkowitym pogromie Wielkiej Armii, oraz podrobiony rozkaz aresztowania ministra, prefekta policji i plackomendanta Paryża. Wszystko powiodło się najzupełniej, dzięki energii spiskowców, ogólnej nieświadomości i zdumieniu. Zaledwie jednak rozeszła się pogłoska o istotnych zadaniach spisku, uwięzieni zostali wszyscy, tak związkowi, jak i ci, którzy dali im wiarę.

Równocześnie dowiedział się Napoleon o zbrodni i o karze, jaką ponieśli przestępcy. Wszystkie spojrzenia pobiegły wtedy w stronę cesarza, śledząc chciwie wrażenia, wywołane smutną nowiną. Lecz klasyczne rysy nie drgnęły nawet; nie zmąciły się chłodne, jak stal połyskliwe źrenice. Siłą woli tłumił w sobie cesarz niepokój, żal i gniew, a zwracając się do hrabiego z temi słowy: „No, a gdybyśmy byli pozostali nadal w Moskwie!”—wszedł czemprowadz w głąb warownej chaty, w której mieścił się poprzednio urząd poczty liniowej.

Dopiero gdy znalazł się w otoczeniu najwierniejszych, najbardziej zaufanych oficerów,

*) Spisek Malet'a.

prysł sztuczny spokój, wybuchły na zewnątrz gwałtowne, z trudem opanowane wzruszenia! Wkrótce potem przywołać kazał kilku innych wodzów, aby ocenić należycie ogólny nastrój, oraz sposób, w jaki przyjęta została wiadomość o spisku. Ujrzał ze smutkiem ból i trwogę i zachwianą wiarę w trwałość rządów napoleońskich. Dowiedział się, że konsternacja wielką była; że oficerowie z lękiem spoglądali w przyszłość; że obawiano się wznowienia krwawych dni Wielkiej Rewolucyi, wznowienia straszliwego okresu społecznych i politycznych przewrotów. Dowiedział się, że niejedna pierś ciężkiem podnosiła się westchnieniem, że niejedna źrenica zaszła łzą żalu i zwątpienia. Wojna otaczała nas zewsząd; zewsząd groziło nam niebezpieczeństwo, widmo klęski i zagłady.

Byli wszelako i tacy, którzy cieszyli się z otrzymanej nowiny, w nadziei, iż przyśpieszy ona powrót cesarza do Francyi i położy kres dalszym wyprawom. Niepokój wewnątrz kraju zapewnić miał spokój na zewnątrz. Wkrótce jednak, wobec nędzy i głodu, umilkły szepty, zaprzestano narad i dyskusyi. Co się zaś tyczy Napoleona, to celem i ośrodkiem wszystkich myśli jego był obecnie Paryż; machinalnie też podążał ku Smoleńskowi, we własne zapatrzony sny, gdy nagle przybycie adjutanta Ney'a przywróciło mu świadomość czasu i miejsca.

Począwszy od Wiaźmy, Ney osłaniać jął odwrót, ten niezapomniany odwrót, który okrył kirem żaloby tysiące rodzin, jego zaś nieśmiertelną otoczył chwałą! Aż do Drohobuża, wojska

nasze nie napotkały żadnej poważniejszej przeszkody; prócz drobnych utarczek z kozakami, nic nie przerywało smutnej jednostajności posępnego marszu!

Nie tego wszakże dotyczył raport Ney'a. Zbliżając się do Drohobuża, dostrzegł on liczne ślady rozprzężenia i nadużyć, jakich dopuścili się poprzedzające go korpusy. Śladów tych nie był w stanie usunąć, ani też zatrzeć, a jakkolwiek oswoił się już z myślą zostawienia nieprzyjacielowi wozów i furgonów, widok pierwszych porzuconych armat wywołał na twarzy marszałka krwawy rumieniec wstydu i upokorzenia.

Tuż pod miastem korpus rozłożył się obozem. Lecz gdy minęła wreszcie długa, ciemna noc, w ciągu której rozpierzchnęła się większość zgłodniałych i zziębniętych żołnierzy, dzienny brzask, zazwyczaj tak niecierpliwie na biwakach wyglądany, oświetlił śnieżną zamieć, nadciągające pulki nieprzyjacielskie i opustoszałe, wygasłe ogniska. Próżnemi były usiłowania Ney'a; bezowocnym nieustraszone jego męstwo. Mimo bohaterckiego oporu, szczupła garstka oficerów i żołnierzy zmuszona została ująć czemprędzej poza Dniepr. „O tem właśnie pragnął marszałek uwiaśdomić cesarza”, nie tając nic, nie szcędząc żadnych, najprzykrzejszych nawet szczegółów. Przyboczny adjutant Ney'a, pułkownik Dalbignac, powiedział miał cesarzowi: „że, począwszy od Mało-Jarosławca, pierwszy krok wstecz zbił z tropu żołnierzy, którzy dotąd nigdy jeszcze nie cofali się; że bitwa pod Wiaźmą rzuciła posiew zniechęcenia i demoralizacji, a straszliwa śnieżycą,

jako zapowiedź srogiej i ciężkiej zimy, dokonała dzieła.

„Że wielu generałów, pułkowników i kapitanów, oficerów wszelkiej rangi i wszelkiej broni, utraciłszy wszystko, plutony, bataliony, pułki, nawet dywizye, pomnażało luźne bandy maruderów i włóczęgów, a brnąc pospołu z żołnierstwem przez śnieżne zasy, łączyło się bądź to z jedną, bądź z drugą gromadą; że wobec takiego bezładu i rozprzężenia nic ostać się nie mogło; że fatalny przykład działał ujemnie nawet na starych, w służbie osiwiiałych wiarusów, nawet na te pułki, które pamiętały jeszcze r. 1789, których wierności nie zdołała zachwiać krwawa zawierucha rewolucyjna!

„Najlepsi, najodważniejsi żołnierze szemrali głośno, pytając, dlaczego oni tylko i wciąż oni przelewać muszą krew, ażeby innym zapewnić odwrót; dlaczego żądano od nich nieustannego poświęcenia, nieustannej ofiary własnego zdrowia i życia, skoro ci, którzy niezdatni już są do boju, konają w najsroższych męczarniach, wszelkiej pozbawieni opieki; skoro owe nieprzeliczone furgony chorych i rannych, których wleczono za wojskiem od samej Moskwy, porzucono oto na pewną śmierć, krukom i sępom na żer; skoro okoliczne lasy i gaje rozbrzmiewają żałosnymi jękami i rżeniem konających! Jakaż czeka ich dola? W dzień nadludzkie wysiłki i trudy, forso-wne marsze, ustawiczną walka; w nocy—ból i głód; nigdy dachu nad głową, nigdy ciepłego kąta, jeno szum wichury na biwakach, jeno migotliwa czerwień nikłych płomieni, pusty nad ogniem kociolek i nędzny skon na obcej, wrogiej ziemi. Bo kto za-

snął raz, zmożony zimnem i głodem, ten nie budził się więcej... Bezwładnie zwiśły święte pułkowe sztandary; złoty orzeł cesarski nie chronił już, lecz zabijał!

„Pocóż więc nadal własną zasłaniać go pierśią? W jakim celu ginąć tłumnie, zaścielać trupami drogi i pola? Lepiej rozpierzchnąć się odrazu, a skoro uciekają wszyscy, skoro niema innego ratunku, uciekać wraz z nimi. Tchorze nie będą korzystali wówczas z krwawego znoju walecznych; jednakowe prawa przysługiwać będą wszystkim; dla wszystkich jedna będzie męka i jedna niedola"! Na zakończenie, Dalbignac podkreślić miał i uwydatnić należycie całą grozę sytuacji, za której dalsze skutki i wyniki Ney nie chciał być odpowiedzialnym.

Lecz Napoleon dostatecznie poinformowany był o wszystkim. To, co widział dookoła siebie, na co patrzył nieustannie, dawało mu miarę istotnego stanu rzeczy; czuł aż nadto dobrze, że nic nie zdoła uratować armii; że ginąć musi korpus za korpusem, pułk za pułkiem; że prócz czoła kolumny, nie ocaleje nikt. Przerwał też adjutantowi w pół zdania, mówiąc: „Pułkowniku, nie pytałem cię o te szczegóły"! Dalbignac umilkł, zrozumiał, że wobec ogólnej, wówczas już niechybnej klęski, cesarz obawiał się wszelkich skarg, jako elementu depresji i zniechęcenia, również dla obu stron szkodliwego.

Całe zresztą zachowanie się Napoleona, jednakowe aż do końca, nakazywało milczenie i szacunek. Poważny i zrezygnowany, mniej może od innych narażony na braki i dolegliwości fizyczne, bardziej natomiast zboląły i przygnębiony,

dźwigał bez szemrania straszliwe brzemię niedoli i upokorzenia.

W owej chwili nadciągnął ze Smoleńska konwój z żywnością, przysłany przez generała Charpentier. Bessières zagarnąć chciał wszystko dla gwardyi, lecz cesarz wyeksperymentować kazał niezwłocznie wozy i furgony do tylnych straży, twierdząc: „że najpierw powinni nasycić się ci, którzy osłaniają i strzegą innych”. Równocześnie polecił Ney'owi „bronić się tak długo, aby armia mogła dotrzeć do Smoleńska, wypocząć i zorganizować się”.

Jeśli jednak niektórzy krzepili się nadzieją rychłego wypoczynku, większość opuszczała szeregi, aby dorwać się czempredzej do tego, co miało być kresem cierpień ich i nędzy. Co się zaś tyczy Ney'a, to, czując, iż potrzebną jest ofiara i że on właśnie ma być poświęcony na ołtarzu ojczyzny, przyjął bez wahania niebezpieczną misję, powierzoną mu przez cesarza. Od tej pory przestał przywiązywać zbyt dużą wagę do utraty furgonów i dział, i gdy podczas przeprawy przez Dniepr część armat utknęła wśród śniegu i lodowych zwałów, w stóp stromych, oślizgłych wybrzeży, nie oglądając się poza siebie, przeszedł przez rzekę i zajął na przeciwległym brzegu stanowisko zaczepne.

Rosyjanie dążyli tymczasem za nami pod osłoną lasu i pozostawionych przez nas wozów. Ostrzeliwali stamtąd żołnierzy Ney'a, którzy, pod wpływem głodu i zimna, nie mogąc utrzymać w skostniałych dłoniach ciężkich karabinów, coraz liczniej rzucać poczęli broń i ratować życie

ucieczką. Lecz Ney skoczył wówczas za nimi, porwał pierwszy z brzegu karabin, a skrzyknąwszy uciekających, po raz wtóry poprowadził ich w ogień. Sam bił się, jak lew, niepomny bogactw swoich, tytułów i godności; pospołu z szeregowcami, walczył z zaciekłością skazańca, który nie spodziewa się już niczego, prócz rycerskiej, chlubnej śmierci! Nie zaniedbał wszelako obowiązków wodza; wykorzystał sumiennie właściwości terenu: stoki pobliskiego wzgórza i obszerny, częstokołem otoczony dom. Usiłowania marszałka poparli generałowie jego i pułkownicy, w pierwszym rządzie Fezensac; nieprzyjaciel, który zamierzał ścigać nas, zmuszony został do odwrotu.

Męstwo i poświęcenie Ney'a zapewniły armii dwudziestoczwierogodzinne wytchnienie i spokojny marsz na Smoleńsk. Rosyane ponowili jednak szarżę i zarówno następnego dnia, jak i później, w ciągu dni dziesięciu, nie ustawała bohaterska walka, nie milkły echa wystrzałów.

13-go listopada, opodal Smoleńska, dokąd Ney dotrzeć miał nazajutrz, w chwili gdy marszałek zawracał wstecz, ażeby odeprzeć raz jeszcze atak pułków nieprzyjacielskich, wzgórza, osłaniające jego lewe skrzydło, zaroily się nagle od uciekinierów. Obłądną chwyceni trwogą, nieszczęśni żołnierze pędzili na oślep i staczali się aż do stóp Ney'a po śnieżnych, krwią zbrzydzanych stokach. Oddział kozaków, widny zdaleka w pośrodku tego tłumu, wyjaśniał należycie przyczynę popłochu. Huknęły strzały. A gdy rozpierzchnęła się lotna jazda rosyjska, zdziwiony marszałek ujrzał pozanią zbieżoną, ze wszystkiego ogoloconą armię wicekróla.

Począwszy od Drohobuża, towarzyszyli jej stale kozacy Płatowa. Zaraz za miastem, ks. Eugeniusz zboczył był z traktu na drogę, wiodącą do Witebska, tę samą, którą przed dwoma miesiącami szły zwycięskie jeszcze pułki nasze. Wówczas jednak rzeka Wop' była wąskim, błotnistym strumieniem; obecnie zaś toczyła mętne, wzburzone fale, które obijały się z szumem o urwiste wybrzeża. Rozkopano tedy zmarznięty, śniegiem i lodem okryty brzeg; poczem wyszedł rozkaz rozebrania w ciągu nocy sąsiednich, drewnianych domostw, ażeby uzyskać materiał potrzebny do budowy mostu. Lecz rozkaz wicekróla, który większą cieszył się sympatją, aniżeli posłuchem, nie został wykonany. Pontonierzy zmęczeni się wkrótce napotykaniami trudnościami i gdy powrócił dzień, a wraz z nim kozacy, most, dwukrotnie zrywany przez lodową krę, nieukończony był i sterczał samotnie u brzegu.

Pięć do sześciu tysięcy karnego żołnierza, około dwunastu tysięcy wszelkiego rodzaju maruderów, chorych i rannych, przeszło sto dział, jaszczyki z prochem i amunicją, oraz liczne wozy i furgony, tłoczyły się w pobliżu rzeki, na znacznej przestrzeni. Mimo kry, usiłowano przeprowadzić się wpraw przez szumiący, groźny potok. Pierwsze armaty dotarły szczęśliwie do przeciwległego brzegu; lecz woda wzbierała nieustannie, a błotniste łożysko pogłębiało się coraz bardziej pod ciężarem dział i wozów. Utknął niebawem jeden furgon; za nim kilka innych, i wszystko stanęło.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

BIBLIOTEKA

ni Szkoły Państw. - Wych. L. 1325

Odstawienie od piersi

jest najważniejszym momentem w życiu niemowlęcia.

Lekarze stwierdzili, że

**MARZKA MLECZNA
NESTLÉ'a**

umożliwia odstawienie od piersi w każdej chwili, bez względu na porę roku i ułatwia znakomicie ząbkowanie.



Kto chce mieć pewność, że używa nabiał czysty, nie fałszowany, niech kupuje tylko ogólnie znane i od lat wielu wypróbowane

produkty mleczne (śmietankę, mleko i serki oraz buljon „Lacto“) firmy

„Rozentowo“

i niech nie zwraca uwagi na zachwalenie innych [podobnych produktów. Żądać wszędzie.

GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓLESTWO POLSKIE

A. SZMOLKE, WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 149. TELEFONU № 42-71.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński”

w Warszawie

ul. Elektoralna 35, telefon 600

poleca

Karpińskiego

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyskującą skłoną do wągrów i pryszczycy, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego

Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego

Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegł.

Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego

Mydła Neutralne

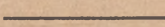
znakomity środek higieniczny do pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie  Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.

SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI
GAZETA WARSZAWSKA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZPITALNA 14.
 TELEF.: REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51.

Rocznie	rb. 9.00	Rocznie	rb. 12.—
półrocznie	„ 4.50	półrocznie	„ 6.—
kwartalnie	„ 2.24	kwartalnie	„ 3.—
miesięcznie	„ 75	Za granicą:	
za odosłanie do domu 10 kop. mies.		kwartalnie	rb 4.50
Z przysyłką pocztową:		Zmiana adresu 20 kop.	

CENA PRZEDPŁATY W WASZAWIE:

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich agencjach pism, kioskach i na kolejach.

Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

Magazyn Bielizny

R. MALICKI

Chmielna Nr. 20

Wybór wielki

Ceny przystępne.

„PROMIEN”

Czytelnia dla dzieci i młodzieży
 (oddział dla dorosłych)
 Marszałkowska 119 (parter)
 Telef. 181-90.

Książki w 4 językach; prenumer. pism.
*Codzienna dezynfekcja książek
 na miejscu.*

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,

ZŁOTYCH I

z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

FORTEPIANY PIANINA

po cenach najniższych poleca

A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.

tel. 110-38.

Gruntowne reparacje.

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw Sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84 18—24

AGATOL

proszek, eliksir i pasta

o silnym aromacie

DO CZYSZCZENIA ZĘBÓW

poleca Laboratorium

St. GÓRSKIEGO, Leszno 12.



Biblioteka

cz. 1

6127/4

Naukowa

18. Repet